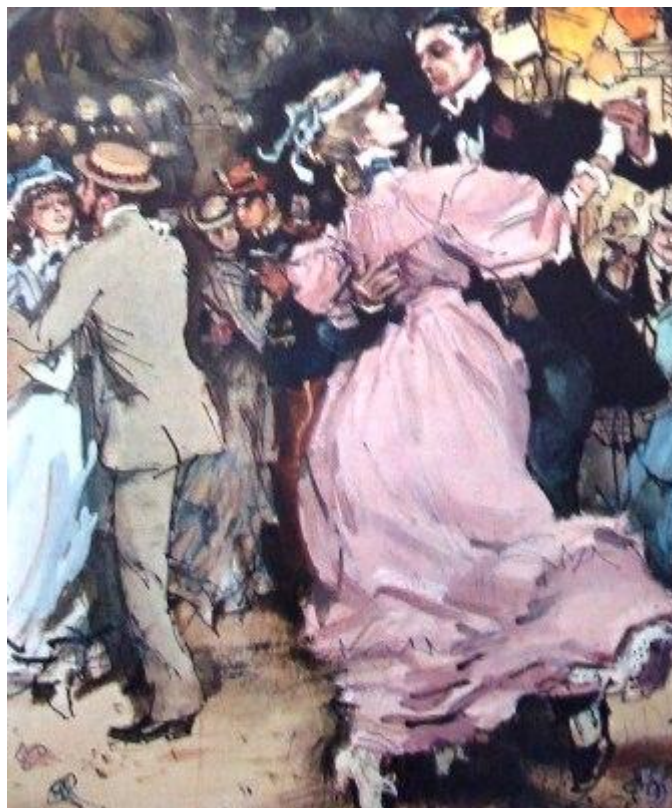




Barbara Cartland

Eksplorzja miłości

The Explosion of Love



Od Autorki

W latach 1892-1895 Francja znowu stała się widownią groźnych zamieszek i niepokoju wywołanych przez anarchistów.

W ciągu tych trzech lat życie w stolicy Francji zostało kompletnie sparaliżowane na skutek powtarzających się aktów terrorystycznych wymierzonych nie tylko w instytucje rządowe, ale również w ludność cywilną. Zarówno przedstawiciele władzy, jak i mieszkańcy Paryża żyli w nieustannej obawie o własne życie.

Prasa paryska podsyciała jeszcze psychozę strachu poprzez zamieszczanie sensacyjnych doniesień, jakoby anarchiści mieli zamiar wrzucić trujące substancje do sieci wodociągowej i wysadzić w powietrze system miejskiej kanalizacji.

Po zamachu bombowym dokonanym przez Augusta Vaillant w budynku Parlamentu, wprowadzono zaostrzone rygory prawne i zwiększono nadzór nad budynkami publicznymi. Zabójstwo prezydenta Francji, którego anarchiści dokonali w Lyonie 24 czerwca 1894 roku, było już ostatnim tego typu aktem terrorystycznym.

Po aresztowaniu wszystkich podejrzanych anarchistów, nie zanotowano już więcej zamachów bombowych i paraliżujący Francję strach nareszcie się skończył.

Rozdział pierwszy

ROK 1894

Księżniczka Marie-Celeste szła długim pałacowym korytarzem w stronę pokoju muzycznego. Nareszcie była sama i nikt nie pouczał jej, jak ma się zachowywać.

Zazwyczaj towarzyszyła jej hrabina Glucksburg, która nigdy nie spuszczała z oka swej podopiecznej. Jej chorobliwy wręcz kult dla etykiety i ustawiczne wygłaszanie kazań w rodzaju: „księżniczka tak nie postępuje”, czy też „księżniczce to nie wypada”, sprawiły, że życie młodej dziewczyny stało się nie do zniesienia. Marie-Celeste często miała wrażenie, iż jedynym sensem jej istnienia jest wysłuchiwanie uwag hrabiny i że tylko wtedy, gdy kładzie się spać, gardłowy głos opiekunki przestaje ją prześladować.

Ludność położonego między Francją a Niemcami księstwa Melhausen pochodziła z obydwu tych krajów, jednak aktualnie panujący książę wyraźnie faworyzował mieszkańców francuskiego pochodzenia. W efekcie większość nauczycieli Marie-Celeste i jej siostry była Francuzami. W tej sytuacji ze względów politycznych towarzyszącą księżniczkom damą dworu mogła być tylko Niemka.

Hrabina Glucksburg miała wszystkie cechy tak typowe dla nacji, z której się wywodziła. Była dyplomatyczna, wyniosła i szorstka w stosunku do osób, które jej podlegały, i niezwykle uległa, wręcz unizona, w stosunku do tych, od których była zależna. Księżniczkę Marie-Celeste traktowała bardzo surowo, żądając bezwzględного posłuszeństwa. Jednakże fala nietypowych jak na maj chłódów sprawiła, iż hrabina, podobnie jak wielu mieszkańców Melhausen, zapadła na influencję i musiała się położyć do łóżka. Tak więc Marie-Celeste nareszcie była wolna. Wprawdzie powtarzała sobie, iż nie powinna cieszyć się z choroby opiekunki, ale nic nie mogła poradzić na to, że świadomość swobody radowała jej serce.

— Teraz kiedy nie towarzyszy mi cień hrabiny — zwierzała się swej młodszej siostrze Racheli — czuję, iż mogłabym unieść się w powietrze i ulecieć do słońca.

— Tak bardzo ci tego zazdroścę — westchnęła Racheli.

Marie-Celeste wciąż zapominała, iż nie powinna mówić takich rzeczy przy siostrze, która, cierpiąc na dokuczliwe bóle kręgosłupa, zmuszona była spędzać długie godziny w łóżku.

— Przepraszam, siostrzyczko — powiedziała głosem pełnym skruchy.

— Nie bądź niemądra, Zazo — zawołała Rachela. — Wiesz dobrze, że kiedy nikt nas nie słyszy, możesz mówić do mnie, co tylko zechcesz.

Ilekcroć były same, Rachela zawsze nazywała swoją starszą siostrę „Zazą”. Imię to wiązało się z pewnym zdarzeniem sprzed lat. Bardzo popularny wówczas komik w zabawnym przebraniu kłowna śpiewał o swojej wielkiej miłości do kobiety o imieniu Zaza, na którą na próżno czekał. Racheli ta piosenka tak się spodobała, że zaczęła nazywać swoją siostrę „Zaza”.

W miarę upływu czasu Marie-Celeste do tego stopnia przyzwyczała się do swojego nowego imienia, iż szczególnie przy oficjalnych okazjach musiała ogromnie uważać, aby nie zapomnieć, że tak naprawdę nazywa się Marie-Celeste Adelaide Suzanne.

Poza profesorem muzyki Rachela była w pałacu jedyną osobą, z którą Marie-Celeste mogła szczerze porozmawiać i która zdawała, się rozumieć jej nieodpartą żądę poznania świata istniejącego gdzieś poza ścianami pałacu. Żyła jednak nadzieją iż kiedy dorośnie, będzie spotykała się z ludźmi o wiele ciekawszymi niż ci, którzy otaczali jej ojca. Być może, będzie nawet mogła podróżować, tak jak często obiecywała to jej matka.

Niestety, wielka księżna zmarła przed dwoma laty i do Zazy powoli zaczęło docierać, iż prawdopodobnie nigdy nie zrealizuje swych marzeń. Jej ojciec, ilekcroć otrzymywał zaproszenie do złożenia wizyty na dworze któregoś z europejskich monarchów, nigdy nie wyrażał życzenia, aby w podróży towarzyszyła mu córka. Prawdopodobnie uważał, iż sprawiałaby mu tylko kłopot.

Wielki książę poza granicami swego kraju cieszył się opinią bardzo sympatycznego mężczyzny, chociaż jednocześnie nawet najbardziej zagorzali jego zwolennicy przyznawali, że nie jest zbyt błyskotliwy. We własnym domu był jednak tyranem terroryzującym swoje córki i odnoszącym się do służby niczym kapral wydający rozkazy żołnierzom. Pomimo iż w jego żyłach płynęło więcej krwi francuskiej niż niemieckiej, był fanatykiem pruskiej dyscypliny i surowego protokołu, który obowiązywał na pruskich dworach.

W miarę jak Zaza dorastała, coraz mniej jej się to wszystko podobało. Być może wcale nie zdawałaby sobie sprawy z tego, jak bardzo monotonne było jej życie, gdyby nie rozmowy z profesorem Dumont. Minęło już dziesięć lat, jak wielka księżna zdecydowała, aby to właśnie on zajął się edukacją muzyczną jej córek. Zaza od początku podziwiała profesora, zafascynowana jego nieprzeciętną osobowością i niezwykłymi poglądami. Jednak dyskusje z ukochanym profesorem na wszystkie interesujące ją tematy nie byłyby możliwe, gdyby nie to, że hrabina Glucksburg zupełnie nie miała słuchu i

muzyka ją nużyła. Na lekcjach z profesorem Dumont, które zawsze odbywały się tuż po lunchu, szybko zasypiała! dzięki temu nauczyciel i jego pilna uczennica mogli dyskutować o różnych sprawach bez obawy, że ktoś ich słucha.

Profesor Dumont, człowiek o wybitnej inteligencji i rozległych zainteresowaniach, był nie tylko bardzo zdolnym muzykiem, który doskonalił swoje umiejętności u wielkich mistrzów, ale również autorem książki o filozofii i, jak sam o sobie mówił, człowiekiem, dla którego swoboda głosu poglądów była najwyższą wartością.

— Jestem za wolnością nie tylko ciała, ale i ducha — powtarzał setki razy.

To profesor muzyki, a nie nauczyciel literatury, wskazywał Zazie książki, które powinna przeczytać, i to profesor dyskutował z nią na ich temat, ukazując jej nowe horyzonty, o których istnieniu nie miała nawet pojęcia. Jej matka, wielka księżna, wiedziała o tym i całkowicie to akceptowała.

— Profesor jest wielkim erudytą— powtarzała córce. — Wiele możesz od niego się nauczyć. Nie zaniedbuj tylko muzyki, bo masz duże zdolności.

Profesor uczył Zazę gry na fortepianie oraz na skrzypcach, które były jego ulubionym instrumentem. Przede wszystkim jednak uczył ją myśleć. Dziewczynie wydawał się bardzo stary i bardzo mądry. Miał wprawdzie dopiero sześćdziesiąt pięć lat, ale od czasu kiedy go pierwszy raz ujrzała, wyraźnie się postarzał. Zaza była przekonana, iż wpłynął na to jego samotniczy tryb życia i nieprzywiązywanie wagi do właściwego odżywiania. Pochłonięty muzyką lub rozważaniami o nowych ideach, o których dowiadywał się z napływających ze wszystkich stron świata listów od przyjaciół, zapominał o bożym świecie. Najwięcej korespondencji profesor otrzymywał z Paryża, centrum kultury europejskiej, jak sam często powtarzał.

To od niego Zaza dowiedziała się o nowych prądach w sztuce, o czym w pałacu w Melhausen nie wolno było nawet wspominać. Ostatnio dużo mówił jej o rodzącym się w Paryżu nowym ruchu.

— Nadchodzą inne, wspaniałe czasy — powtarzał z entuzjazmem. — Już teraz moi przyjaciele mówią o nich „La belle époque”.

Zaza słuchała zafascynowana. Profesor opowiadał o pewnej grupie młodych artystów, która zbuntowała się przeciwko impresjonizmowi w sztuce. Wiadomość ta ogromnie Zazę zaintrygowała. O impresjonistach wiedziała już wszystko i teraz z zainteresowaniem przysłuchiwała się temu, co profesor mówił o nowym prądzie artystycznym: symbolizmie, który odrzucając obiektywizm, odwoływał się do intuicji i przeżyć emocjonalnych, przyjmując symbol za podstawowy środek wyrazu artystycznego.

Zaza nie była pewna, czy tak do końca rozumie, do czego dążą symboliści. Profesor żarliwie ją przekonywał, że symbolizm jest wrogiem fałszywej wrażliwości i że poprzez poezję usiłuje budzić te same uczucia, jakie muzyka budzi w tych, co potrafią jej słuchać.

— Paryż — ciągnął profesor — w dziedzinie poezji aktualnie może się poszczycić całą plejadą najwspanialszych talentów, jakie kiedykolwiek zrodziła literatura.

Zaza z zapartym tchem wysłuchiwała tych rewelacji, po czym poprosiła profesora o przyniesienie kilku tomików nowej poezji, aby mogła się z nią bliżej zapoznać.

Każda lekcja z profesorem dla żadnej wiedzy dziewczyny była niezapomnianym przeżyciem, ponieważ każda uczyła ją czegoś nowego. Teraz więc, kiedy hrabina Glucksburg zachorowała, z tym większą niecierpliwością czekała na kolejne spotkanie z uwielbianym nauczycielem.

Zbliżając się do pokoju muzycznego Zaza słyszała, jak profesor gra na fortepianie. Wiedziała, iż w młodości odnosił wielkie sukcesy, dając koncerty nie tylko w Paryżu, ale również w wielu innych europejskich stolicach, zanim bez reszty oddał się innej wielkiej pasji: egzotycznym podróżom. Wyjeżdżał do różnych krajów, gdzie wydawał wcześniej zarobione pieniądze na zwiedzanie zabytków, poznawał nowych ludzi i ich zwyczaje wciąż poszerzając swój zasób wiedzy i krąg oddanych przyjaciół. Kiedy po kilku latach powrócił do kraju i przekonał się, iż jako o muzyku nikt już prawie o nim nie pamięta, nie przejął się tym zbyt. Napisał książkę o swoich podróżach, która nie odniosła jednak specjalnego sukcesu, a następnie rozprawę z dziedziny filozofii, która również, mimo że była dosyć popularna wśród studentów, w szerszych kręgach czytelników nie wzbudziła zainteresowania. Po pewnym czasie zaczął mieć problemy finansowe, ale na powrót do sal koncertowych było już za późno. Poza tym, przeszedłszy wiele chorób, nie miał najlepszego zdrowia, a jego palce wyraźnie straciły sprawność.

Kiedy wielka księżna dowiedziała się, że profesor Dumont zjawiał się w Melhausen, przypomniała sobie, iż przed laty podziwiała jego grę. Natychmiast więc po niego posłała, a kiedy zjawiał się w pałacu, zapytała, czy nie zechciałby udzielać jej córkom lekcji muzyki, na co on skwapliwie się zgodził.

Profesor nigdy nie przypuszczał, iż osoba tak piękna jak księżniczka Marie-Celeste może być jednocześnie tak bardzo inteligentna. W krótkim czasie uczennica całkowicie zawojowała profesora. Pokochał ją jak własne dziecko, którego zresztą nigdy nie posiadał, wierząc jednocześnie, że potrafi natchnąć ją swoimi ideałami.

— Musisz walczyć o wolność serca i umysłu — powtarzał z uporem. I chociaż Zaza gotowa była przyznać mu rację, to jednak nie bardzo wyobrażała sobie, jak mogłaby o cokolwiek walczyć tu w pałacu, gdzie jej ojciec sprawował nieograniczoną władzę.

Kiedy weszła do pokoju, profesor przerwał grę i pospiesznie podniósł się z taboretu stojącego tuż przy ogromnym Bechsteinie.

— Bonjour ma Princesse! Hrabina nie przyszła dziś na lekcję? — zapytał wyraźnie zaskoczony.

— Nie, jest chora — wyjaśniła Zaza.

— To dobrze! To bardzo dobrze! — zauważył — ponieważ chciałbym coś ci powiedzieć.

— Ja również chcę z panem porozmawiać, profesorze — szeptem odezwała się Zaza.

Jednak profesor zdawał się tego nie słyszeć. Jego oczy błyszczały i wyglądał na tak podekscytowanego, iż nie ulegało wątpliwości; że nic nie zdoła go powstrzymać przed natychmiastowym wyjawieniem jakiejś dręczącej go tajemnicy.

— Co to za wiadomość? — zapytała.

— Otrzymałem list od moich przyjaciół z Paryża, którzy namawiają mnie, abym do nich jak najszybciej przyjechał. Dzieje się tam tyle fascynujących rzeczy!

— A więc jedzie pan do Paryża?

Serce Zazy ścisnęło się na myśl, że to może być prawda. Nie mogła jednak nie dostrzec malującej się na twarzy profesora ogromnej radości.

— Tak, wyjeżdżam już jutro — odrzekł. — Nie mówiłem ci o tym wcześniej, księżniczko, jednak planowałem ten wyjazd już od dłuższego czasu. Muszę włączyć się w wir zdarzeń. Nie mogę spędzić beczynnie mojego życia.

Zaza często to od niego słyszała, nie była więc ani zaskoczona, ani dotknięta, że ją opuszcza.

— Potrafię pana zrozumieć, profesorze — powiedziała ze smutkiem. — Ale nie wyobrażam sobie, jak tu bez pana wytrzymam.

— Odwagi, ma petite — pocieszał ją profesor. — Przykro mi, że nie możesz mi towarzyszyć. Przekonałabyś się, jaka to wspaniała duchowa uczta, kiedy słowa dyskutantów zderzają się ze sobą niczym sztylety przeciwników. Jakie towarzyszy temu napięcie, jaki dramatyzm! Niestety wiem, iż w tej chwili nie możesz opuścić pałacu.

Błyszczące z emocji oczy i wymowna gestykulacja bardzo go odmłodziły i Zaza pomyślała, że nigdy nie widziała go tak szczęśliwym, i jednocześnie poczuła się straszliwie samotna.

— A więc to już jutro — wyszeptała.

— Wyjeżdżam bardzo wcześnie — odrzekł profesor. — Miałem zabrać ze sobą moją bratanicę, ale zachorowała na influencję.

— W Melhausen prawie wszyscy teraz chorują.

— Poza tobą, księżniczko, i mną — uśmiechnął się do niej i wtedy Zaza odezwała się:

— Ja również muszę panu coś wyznać, profesorze. To straszne, że akurat teraz mnie pan opuszcza.

Miała wrażenie, jakby profesor dopiero teraz dostrzegł szczególny wyraz jej twarzy.

— Co cię martwi, ma princesse! Czy coś się stało? — zapytał z niepokojem.

— Papa poinformował mnie — odrzekła Zaza — że postanowił wydać mnie za małż za księcia Aristida Valoire.

— Wydać za małż! — zawołał profesor. — Mapauvre petiie. To okropne! A więc zamienisz jeden pałac na drugi. Co może cię tam dobrego czekać? Ten książę to pewnie straszny nudziarz, a do tego jeszcze zarozumiały i głupi jak te wszystkie książątka dookoła.

Profesor niezwykle krytycznie wyrażał się o wszystkich monarchach, a szczególnie o tych, których miał okazję spotkać w pałacu. Nie widział wśród nich kandydatów godnych ręki jego ulubienicy, a i sama Zaza uważała ich za ludzi wyjątkowo ograniczonych i ogromnie przy tym zarozumiałych. Musiała więc przyznać, że profesor ma rację i że książę Aristide z pewnością niczym się od nich nie różni. Jej życie, gdyby go poślubiła, byłoby identyczne jak teraz. Z tą tylko różnicą, że władzę nad nią zamiast ojca sprawowałby jej małżonek.

— Nie mogę się z tym pogodzić, księżniczko — ciągnął profesor — że taka mądra i inteligentna kobieta jak ty będzie musiała słuchać jakiegoś tępego burżuja, z upodobaniem dławiącego wszelkie swobody obywateli.

Zaza wiedziała, iż mówił tak pod wpływem swoich przyjaciół, którzy uważali, że źródłem wszelkich nieprawości i społecznych krzywd jest sprawowanie władzy przez burżuazję i przejęcie przez nią wszystkich stanowisk nie tylko w rządzie i parlamencie, ale również w kościele i wojsku.

— Ma pan rację, profesorze — powiedziała. — Ale co mogę zrobić?

— Nie wolno ci, księżniczko, zgodzić się na to małżeństwo. Musisz walczyć o swoją wolność. Jesteś wprawdzie tylko kobietą, ale za to wyjątkową, zdolną

do wielkich czynów. — Jego głos zdradzał, iż był w najwyższym stopniu poruszony.

Zaza westchnęła. Wiedziała, że ojciec nawet nie zechciałby jej wysłuchać. Wyobrażała sobie, jak by zareagował, gdyby ośmieliła się wspomnieć, iż sama wolałaby wybrać sobie męża. Wielki książę nigdy nie tolerował sprzeciwu. Zaza dla świętego spokoju często udawała, że akceptuje jego decyzje. Po czym, jeśli oczywiście było to możliwe, robiła swoje. Tak właśnie przez całe życie postępowała jej matka, a ponieważ była to kobieta wyjątkowo inteligentna, zawsze bez trudu osiągała to, na czym w danej chwili najbardziej jej zależało. Oczywiście było to możliwe przede wszystkim dlatego, że jej małżonek ogromnie ją kochał i darzył jednocześnie ogromnym szacunkiem. W stosunku do córek był jednak zupełnie inny. Często sprawiał wrażenie, jakby nie uważał ich za istoty rozumne. Dostrzegał wprawdzie ich istnienie, żądał, aby okazywały mu posłuszeństwo, ale jednocześnie zachowywał się tak, jakby były częścią pałacu, czymś w rodzaju krzesła czy stołu.

Zaza pomyślała, że może i powinna powiedzieć ojcu, co sądzi o swoim przyszłym małżeństwie. Była jednak pewna, że na nic by się to nie zdało. Na długo przedtem, zanim zdążyłaby wyjaśnić, o co jej chodzi, ojciec przerwałby jej w pół słowa nakazując milczenie i nie dopuszczając do żadnej dyskusji.

— Małżeństwo! — zawołał profesor — I to z jakimś kretyńcem, który nosi koronę tylko dlatego, że przed nim nosił ją jego ojciec, a jeszcze wcześniej jego dziadek! Jak można się na to zgodzić? Jak można się skazywać na tak ubogie duchem życie, na spędzanie czasu w towarzystwie kobiet podobnych do hrabiny Glucksburg!

Ta uwaga bardziej niż inne podziałała na Zazę. Wiedziała, że profesor ma rację. Ona nie może tak żyć. Jej szaroniebieskie oczy wyglądały na jeszcze większe niż zwykle, kiedy nieśmiało zapytała:

— Co robić, profesorze? Co robić?

Profesor wyciągnął ręce w pełnym dramatyzmu geście.

— Musisz uciekać, księżniczko — rzekł. — Musisz uciekać, zanim okaże się, że jest za późno. Gdy znajdziesz się w złotej klatce, nie będzie już dla ciebie ratunku.

Zaza zadrżała. Przypomniała sobie, co czuła, gdy jej ojciec powiedział, że jej małżeństwo zostało postanowione i że ambasador w Yaloire wszystko już z księciem uzgodnił. Miała wówczas wrażenie, że słyszy skazujący ją na dożywocie wyrok. Jednak teraz słowa profesora zabrzmiały jeszcze groźniej. Była autentycznie przerażona.

— Nie można się na to zgodzić, aby kobiety wciąż traktowano jak przedmioty. — zawołał wzburzony profesor, uderzając zaciśniętą pięścią w klawiaturę fortepianu. — Wystarczy, że Jego Królewska Wysokość powie „musisz zrobić to” lub „musisz zrobić tamto”, a ty go, księżniczko, posłuchasz. Wiesz, dlaczego? Ponieważ jesteś kobietą!

— To prawda — przyznała Zaza.

— Gdybyś była mężczyzną liczono by się z tobą. Mężczyzna mógłby powiedzieć: „Potrzebuję czasu do namysłu. Sam chcę decydować o wyborze własnej żony. Nie chcę być traktowany jak przedmiot, który nie ma nic do powiedzenia”.

— Ma pan rację! Oczywiście, że ma pan rację! — przyznała Zaza. — Ale doskonale pan wie, że papa nie zechce tego wysłuchać.

Profesor wiedział, że to prawda. Nie darzył wielkiego księcia sympatią i dosyć często krytykował go za sposób sprawowania władzy w Melhausen.

— Wasze szkoły są przestarzałe — powtarzał setki razy. — Macie tylko dwa uniwersytety i do tego z kadrą nauczycielską, która nie tylko że nie nadaża za zmianami, ale i zupełnie ich nie rozumie, uważając wszystko, co nowe, za rewolucyjne i buntownicze.

Zaza z desperacją pomyślała, że w Valoire z pewnością będzie tak samo, ale cóż mogła na to poradzić? Czy ktoś w ogóle zechce jej wysłuchać? Nie! Oczywiście, że nie! Może i zostanie panującą księżniczką, jednak nie przestanie być kobietą. Poza tym w Valoire z pewnością będzie czuła się obco.

— Nie mogę... tego zrobić! — powiedziała bardziej do siebie niż do profesora. Ale jej słowa do niego dotarły.

— Wygląda na to, że nie masz wyboru, księżniczko — zauważył. — Chyba że starczy ci odwagi, aby uciec.

— Uciec? — zdumiała się Zaza.

— Dlaczegoż by nie? Świat jest taki ogromny, a ty tak niewiele widziałaś, zamknięta w tej złotej klatce.

— Ale... dokąd? — zapytała Zaza, chociaż wyglądało na to, że zna już odpowiedź.

— Do Paryża, oczywiście, że do Paryża! — wykrzyknął profesor. — Spotkasz tam setki, tysiące ludzi, którzy myślą tak samo jak my. Ludzi, którzy wierzą w postęp, którzy nie znoszą stagnacji i pragną żyć pełnią życia.

Zaza głęboko wciągnęła powietrze. Tak bardzo chciała zobaczyć Paryż. To było jedno z największych jej marzeń. Przeczytała o tym mieście wszystkie książki, które dostarczył jej profesor, i przestudiowała wszystkie, do których sama dotarła. Ale słowo drukowane nigdy nie zastąpi tego, co można zobaczyć

na własne oczy. Tak bardzo chciała wtopić się w gwar ulic tego wspaniałego miasta i odetchnąć jego niepowtarzalną atmosferą.

— Skoro uważa pan, że powinnam... wyjechać do Paryża — powtórzyła — niech mnie pan zabierze ze sobą.

Ujrzała zdumienie na jego twarzy i doszła do wniosku, iż jak zwykle, dając się ponieść entuzjazmowi, profesor nie potrafi wrócić do rzeczywistości.

Zaległo kłopotliwe milczenie, po czym po chwili profesor odezwał się:

— Czy mam rozumieć, moja droga, że chciałabyś wyjechać wraz ze mną?

— Cóż w tym dziwnego? — zapytała Zaza. — Jeśli pańska bratanica nie może dotrzymać panu towarzystwa, dlaczego nie miałabym jej zastąpić?

Profesor spojrział na nią z uwagą, jakby dopiero teraz zrozumiał, do czego zmierzała.

Po chwili w zamyśleniu powiedział:

— Mam paszport mojej bratanicy, z którego można by skorzystać. Obawiam się jednak, że zatrzymają nas na granicy.

— Nie widzę powodu, dla którego ktokolwiek miałby podejrzewać, iż pańska bratanica to w rzeczywistości zbiegła księżniczka — zauważyła Zaza.

Profesor tak był przejęty tym nieoczekiwanym pomysłem, że zapominając o obecności księżniczki, bezwiednie usiadł na stojącym przy fortepianie taborecie.

— To możliwe, to zupełnie możliwe — wymamrotał. — Nareszcie, księżniczko, będę ci mógł pokazać mój ukochany Paryż. Prawdziwy Paryż, a nie ten malowany, który pokazuje się turystom.

— Zawsze o tym marzyłam — powiedziała Zaza. Wtedy profesor w wymownym geście wyciągnął

nagle ręce, jakby chciał objąć cały świat.

— A więc jedź ze mną! — zawołał. — Pokażę ci prawdziwe życie, życie, którego nigdy nie miałeś okazji poznać. I nawet jeśli wtrąca mnie do więzienia, nie będę tego żałował.

— Do więzienia! — z niedowierzaniem zawołała Zaza. — Czy to możliwe?

— Niestety! — odrzekł profesor. — Twój ojciec z pewnością oskarży mnie o uprowadzenie jego córki!

A to jest czyn, za który w każdym kraju grozi surowa kara, Melhausen nie jest tu żadnym wyjątkiem.

— Nie możemy więc pozwolić, aby nas złapano — beztrąsko zauważyła Zaza, ale już po chwili nieco poważniejszym tonem dodała: — Myślę, iż jest coś, co uchroni nas przed zdemaskowaniem. Papa za wszelką cenę będzie chciał uniknąć skandalu.

— To prawda — przyznał profesor. — Jego Królewska Wysokość ogromnie się liczy z opinią publiczną.

— Będzie chciał również ukryć przed księciem Aristidem — dodała Zaza — że uciekłam, ponieważ nie chciałam się zgodzić na to zaaranżowane małżeństwo. Mogłoby to popsuć stosunki między naszymi krajami.

— To bardzo sprytne — z uznaniem rzekł profesor.

— Moja koncepcja jest następująca — ciągnęła Zaza. — Muszę utwierdzić papę w przekonaniu, iż zdecydowałam się wyjechać na krótki wypoczynek. Zostawię mu list, w którym napiszę mu o tym. A ponieważ papa zawsze wierzy w to, w co chce wierzyć, nie przyjdzie mu do głowy, aby podejrzewać mnie o cokolwiek innego. Nie oznacza to oczywiście, że nie będzie zły, iż nie zwróciłam się do niego o pozwolenie.

— Doskonały pomysł! Naprawdę doskonały! — przyznał profesor. — Problem w tym, jak opuścisz pałac nie wzbudzając podejrzeń.

— Mam pewien pomysł — odrzekła Zaza. — To rzeczywiście nie będzie łatwe.

Kiedy następnego dnia o siódmej rano pociąg opuścił stację, Zaza, rozglądając się po przedziale drugiej klasy, stwierdziła, że wszystko okazało się znacznie łatwiejsze, niż początkowo przypuszczała.

Poprzedniego dnia, pożegnawszy się z profesorem, postanowiła natychmiast udać się do pokoju siostry. Biegła korytarzem tak szybko, iż gdyby hrabina Glucksburg to widziała, z pewnością by ją za to zganiła.

Rachela, wygodnie oparta o poduszki, z niecierpliwością czekała na powrót siostry z lekcji muzyki. Szczerze nienawidziła leżenia w łóżku, ale opiekujący się nią lekarze taką właśnie kurację zalecili na trapiące ją bóle i ciągłe znużenie. Długie godziny, kiedy nie miała co robić, ani z kim rozmawiać, zdawały ciągnąć się w nieskończoność.

Teraz, kiedy siostra jak burza wpadła do jej pokoju, Rachela uradowana zawołała:

— Nareszcie jesteś, Zaza!

— Muszę ci coś powiedzieć, Rachelo, coś bardzo, bardzo ważnego! — powiedziała Zaza, starannie zamknąwszy za sobą drzwi.

— Co się stało, siostrzyczko?

— Zdecydowałam się na ucieczkę!

— Na ucieczkę?! — wykrzyknęła Rachela.

— Od księcia Aristida i od nudnego życia w pałacu, w którym jeden dzień jest podobny do drugiego! Jadę do Paryża!

— Do Paryża? — powtórzyła Rachela, nie kryjąc zdumienia.

— Tak, razem z profesorem, i to już jutro rano. Będę potrzebowała twojej pomocy, Rachelo. Mam tyle do zrobienia, że dosłownie nie wiem, od czego zacząć.

— A co na to papa?

— Dopóki nie wyjadę, o niczym się nie dowie. Napiszę do niego list, w którym poinformuję go, że wyjeżdżam na parę dni, aby zastanowić się nad moim przyszłym małżeństwem. Mam nadzieję, iż papa zrozumie, że taki krok wymaga rozwagi.

— Papa nigdy nie zrozumie, iż ktokolwiek może się zastanawiać nad czymś, o czym on już od dawna zdecydował.

— Wiem o tym, ale prawda jeszcze bardziej by mu się nie spodobała. Przecież nie mogę się przyznać, iż wyjeżdżam do Paryża, aby spotkać się z ludźmi, którzy potrafią prowadzić interesujące rozmowy bez powtarzania w kółko: „Tak, Wasza Królewska Mość” czy „Nie, Wasza Królewska Mość”.

— Masz rację, że uciekasz — poparła siostrę Rachelę. — Boję się tylko, aby przedwczesne odkrycie twoich planów wszystkiego nie pokrzyżowało.

— Ja również się tego obawiam — przyznała Zaza. — Ale teraz musimy pomyśleć o tylu rzeczach. Najważniejsze są jednak pieniądze.

— Pieniądze! — zawołała Rachelę.

— Tak, pieniądze. Nie mogę pozwolić, aby profesor sam płacił za wszystko. Tym bardziej, iż nie muszę się liczyć z wydatkami.

— Ale my przecież nie mamy pieniędzy!

To była prawda. Księżniczki nie dysponowały własnymi funduszami. Nawet wtedy, gdy robiły zakupy, za wszystko płaciła towarzysząca im dama dworu. Czasami rachunki wysyłane były do pałacu i tam regulowane przez ochmistrza.

— Pieniądze! — w zamyśleniu powtórzyła Zaza, a po chwili, jakby w nagłym olśnieniu, zawołała: — Wiem, gdzie nasz ochmistrz trzyma pieniądze na wydatki związane z prowadzeniem domu: w sejfie.

— Ależ Zazo, nie możesz ich chyba stamtąd wykraść?

— A właśnie, że mogę!

Rachela spojrzała na nią w zdumieniu.

— Mam pewien pomysł... jak sądzę, bardzo dobry pomysł! — wyznała Zaza.

— Jaki?

— Powiem ci, jeśli mi się powiedzie. Jeśli nie, będziemy musiały wymyślić coś innego. Która godzina? — Spojrzawszy na zegarek stwierdziła, iż niewiele brakuje do czwartej. — Lepiej będzie, jak teraz pójdę do hrabiego Courlanda. Później może być zajęty rozmową z ojcem.

Zaza zerwała się nagle i ruszyła w stronę drzwi.

— Powodzenia! — zawołała za nią Rachel. Zaza uśmiechnęła się do siostry i pospiesznie wyszła

z pokoju. Ponownie pobiegła korytarzem, następnie schodami w dół do biura ochmistrza dworu, zastawionego solidnymi mahoniowymi meblami oraz skrzyniami, na których widniały książęce herby.

Tak jak się tego spodziewała, hrabia Courland, mężczyzna o surowej twarzy i solidnej budowie ciała, siedział przy biurku pochłonięty pracą. Widząc wchodzącą Zazę, z widocznym ociąganiem podniósł się z krzesła.

Zaza uśmiechnęła się do niego czarująco.

— Przepraszam, że panu przeszkadzam, hrabio — powiedziała — ale chciałam spojrzeć na biżuterię w sejfie. Wybieram właśnie nową suknię i muszę się zdecydować, czyjej kolor bardziej ma pasować do szafirów czy raczej do szmaragdów.

Ochmistrz w milczeniu wyjął klucz z szuflady biurka i zbliżył się do stojącego w rogu pokoju ogromnego sejfu, wewnątrz którego było mnóstwo półek. Jedne zawierały dokumenty oraz papiery wartościowe, inne biżuterię członków rodziny książęcej. Zaza wiedziała, iż na najniższej półce przechowywano monety i banknoty.

Kiedy tylko hrabia otworzył drzwi sejfu, Zaza wyciągnęła kilka skrawków materiału i zaczęła niepewnie obracać je w ręku.

— Ciekawe, który z nich będzie najodpowiedniejszy? — powiedziała do siebie, ale widać było, iż w żaden sposób nie może się zdecydować.

— Proszę się spokojnie zastanowić, a ja, jeśli Wasza Królewska Mość pozwoli, powrócę do mojej pracy — odezwał się hrabia Courland.

— Ależ oczywiście, hrabio. Postaram się, aby nie trwało to zbyt długo — odrzekła Zaza. Liczyła na to, że zajęty pracą zostawi ją w końcu samą.

Kiedy hrabia z powrotem zagłębił się w rachunkach, Zaza zbliżyła się do sejru i otworzyła jedną ze szkatulek z biżuterią, wewnątrz której znajdował się garnitur szafirów. To były ulubione klejnoty jej matki. Zaza pamiętała, jak pięknie prezentowały się na tle jej jasnych włosów i alabastrowej skóry. Zaza pomyślała, że jej włosy mają ten sam odcień i że powinna chyba wybrać turkusy, a nie szmaragdy, które jak zawsze powtarzał jej ojciec, nie były zbyt odpowiednie dla młodej dziewczyny.

Wyjęła z kasetki diadem, następnie naszyjnik oraz dwie bransolety do kompletu. Diadem był zbyt duży, aby mógł zmieścić się w innej kasetce. Wsunęła go więc za stojące na półce pudełko z biżuterią tak aby był

niewidoczny. Następnie szybko wrzuciła bransolety, broszkę, kolczyki i naszyjnik do pierwszej z brzegu kasetki, w której mogły się zmieścić.

Spojrzała przez ramię. Hrabia zagłębiony w rachunkach zupełnie nie zwracał na nią uwagi. Szybko zapełniła pustą kasetkę pieniędzmi z dolnej półki. Starła się zabrać banknoty o najwyższych nominałach dodając jedynie trochę monet, aby mieć pod ręką drobne pieniądze, po czym zamknęła wieczko kasetki i podeszła do hrabiego.

To był najbardziej krytyczny moment całego przedsięwzięcia. Nie chciała nawet myśleć, co by się stało, gdyby to, co zrobiła, wyszło na jaw.

Na widok zbliżającej się księżniczki hrabia ponownie uniósł się zza biurka.

— Obawiam się, hrabio, iż nie jestem w stanie podjąć decyzji, który z tych materiałów najbardziej pasuje do szafirów mamy. Sądzę więc, iż nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli zabiorę klejnoty na górę, aby pokazać je mojej siostrze i hrabinie Glucksburg. Wprawdzie hrabina nie czuje się w tej chwili najlepiej, ale jestem pewna, iż jutro będzie już w stanie mi doradzić.

— Rzeczywiście, słyszałem, że jest cierpiąca — przyznał hrabia.

— Szafiry będą zupełnie bezpieczne, ponieważ zamknę je na noc w moim biurku i przyniosę tu z powrotem jutro rano.

— W porządku, wasza wysokość — odrzekł hrabia.

Niezbyt uważnie jej słuchał. Jego wzrok utkwiony był w leżącym przed nim rejestrze i Zaza miała wrażenie, iż wciąż podlicza długie kolumny cyfr.

— Bardzo panu dziękuję, hrabio. Jest pan niezwykle uprzejmy.

Hrabia w odpowiedzi skłonił głowę i Zaza wyszła z pokoju. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, odetchnęła głęboko z ulgą. Jednocześnie poczuła ogromną satysfakcję, że wszystko tak dobrze jej poszło.

Rachela nie mogła wyjść z podziwu, kiedy Zaza pokazała jej zabrane z sejfu pieniądze.

— Papa będzie zbulwersowany, kiedy o wszystkim się dowie! — zauważyła z lękiem.

— A może hrabia nic mu nie powie. Papa z pewnością miałby do niego pretensje, że nie obserwował mnie przez cały czas, kiedy byłam przy sejfie, lub przynajmniej nie sprawdził, co zabieram ze sobą.

Siostry roześmiały się, uradowane z tak łatwo osiągniętego sukcesu, po czym Rachela zapytała:

— Co teraz, moja aroga?

— Muszę się zastanowić nad swoją garderobą — odrzekła Zaza. — Nie mogę przecież prosić lokaja, aby zniósł na dół mój bagaż i załadował go do powozu, który ma zawieźć mnie na stację.

— Nie mogę wyobrazić sobie zdumienia służących, gdybyś rzeczywiście o coś takiego poprosiła? — ze śmiechem dodała Rachel.

— Będę chyba musiała zadowolić się tym, co włożę na siebie i co zdołam zapakować do podręcznego bagażu — powiedziała Zaza. — W ostateczności mogę sobie kupić stroje w Paryżu. Pomyśl tylko, Rachelo, jakie to będzie ekscytujące! Mam już po dziurki w nosie tych wszystkich dworskich krawcowych, które tak trudno namówić na coś niezwykłego.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo bym chciała wyjechać z tobą — westchnęła Rachela.

— Ja także bym tego chciała najdroższa — odrzekła Zaza. — Czuję przy tym wyrzuty sumienia, że będziesz musiała sama stawić czoło całej tej awanturze po moim wyjeździe. Ale pamiętaj, z uporem powtarzaj, iż nie masz o niczym zielonego pojęcia. Nie można do tego dopuścić, aby papa dowiedział się, że byliśmy w zмовie.

— Masz rację — przyznała Rachela. — Ale będę za tobą tęskniła, rozpaczliwie tęskniła!

— Nie sądzę, abym wyjeżdżała na długo — odrzekła Zaza. — Wrócę najpóźniej wtedy, kiedy skończą mi się pieniądze.

— A... jeśli nigdy nie wrócisz?

— Myślę, iż wyjazd na zawsze raczej nie wchodzi w grę, ale... kto wie... kiedy opuszczę Melhausen, wszystko jest możliwe.

— Rozumiem, co masz na myśli — zauważyła Rachel. — Ale nie możesz chyba mieszkać w Paryżu sama? Będziesz musiała wyjść za mąż za kogoś, kto zapewne nigdy się nie dowie, kim jesteś, albo...

— Nie chcę teraz o tym myśleć — przerwała jej Zaza. — Marzę tylko o tym, aby się stąd wyrwać i wreszcie przekonać się, jak wygląda świat istniejący gdzieś za ścianami tej, jak to profesor nazywa, złotej klatki, w której jesteśmy uwięzione.

— Uważam, że to bardzo tramę określenie — wtrąciła Rachela. — Klatka jest piękna i bardzo drogocenna, a ludzie patrzący na nią z zewnątrz zazdroszczą nam, przekonani, iż nie robimy nic innego, tylko spacerujemy ubrani w korony i gronostaje, a wszyscy dookoła nisko się nam kłaniają. Nie zdają sobie sprawy, że to tak, jakby ciągle jadło się suchy chleb bez możliwości zmiany jadłospisu.

Zaza przysiadła na łóżku tuż obok leżącej siostry i wybuchnęła śmiechem.

— Och, Rachelo, uwielbiam cię! Zawsze potrafisz powiedzieć coś zabawnego. Ale przed chwilą doprawdy przeszłaś samą siebie. A więc, jak powiedziałaś, skazani jesteśmy na suchy chleb. To doprawdy straszne. —

Znowu się roześmiała, po czym uspokoiwszy się nieco, dodała: — Spodziewam się w Paryżu doskonałej kuchni, znakomitych kremów, trufli, szampana i ostryg.

— Będziesz musiała znaleźć sobie kogoś, kto za to zapłaci — zauważyła Rachel. — Albo szybko wydasz pieniądze i nie minie kilka dni, jak zjawisz się tu z powrotem!

— To była tylko zwykła metafora — wyjaśniła Zaza. — Ale musisz chyba przyznać, że to będzie bardzo ekscytująca przygoda.

— Bardzo, bardzo ekscytująca — zgodziła się Rachel, ale jej głos nieoczekiwanie zabrzmiał jakoś smutno i Zaza pomyślała, że to zbliżające się rozstanie najwidoczniej tak na nią podziałało.

Teraz kiedy pociąg nabrał szybkości, Zaza rozejrzała się po siedzących w wagonie podróżnych. Zauważyła, że profesor, zdjawszy kapelusz, wyciera chusteczką czoło, co z pewnością znaczyło, iż jest tak samo zdenerwowany jak ona.

Zaza długo zastanawiała się przed wyjazdem, w co powinna się rano ubrać, aby przez nikogo nie rozpoznana mogła spokojnie opuścić pałac. Zdecydowała się na bardzo skromną suknię, prosty, lekki płaszcz i słomkowy kapelusz, z którego usunęła wszystkie ozdoby, pozostawiając jedynie niebieskie wstążki. Wiedziała, że takie nakrycie głowy nosi prawie każda mieszkanka Melhausen. Wieczorem spakowała wszystko, co tylko mogła zmieścić do torby podróżnej znalezionej w jednym ze schowków przylegających do pokoju lekcyjnego. Torba była zniszczona i pokryta kurzem. Zaza pomyślała, iż w niczym nie przypomina bagażu, z którym zwykle wyruszała w podróż jej matka. Prawdopodobnie zostawiła ją któraś z guwernantek, doszedłszy do wniosku, iż nie nadaje się już do użytku! Zazie udało się w niej upchać sporo rzeczy, ponieważ letnie suknie nie zajmowały zbyt dużo miejsca. Skończywszy pakowanie, upewniła się, że torba nie będzie dla niej za ciężka.

Teraz pozostawał tylko problem dyskretnego opuszczenia pałacu. Jej atutem była wczesna godzina odjazdu pociągu. Miała nadzieję, iż przed szóstą rano uda się jej wymknąć niepostrzeżenie bocznym wyjściem. Długo leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć. Przewidywała różne przeszkody i komplikacje i zastanawiała się, jak sobie z nimi poradzi. Jednak w rzeczywistości wszystko okazało się znacznie prostsze, niż przypuszczała.

Kiedy przemierzała liczne korytarze bocznego skrzydła pałacu, kierując się w stronę kuchennego wyjścia, mijała służące, które spieszyły do swoich obowiązków, ale żadna z nich nie zwróciła na nią uwagi. Wydostawszy się na zewnątrz, minęła jakiś dziedziniec zastawiony pustymi butelkami i różnymi

pojemnikami, o którego istnieniu nie miała dotąd zielonego pojęcia. Bez trudu odnalazła wąską uliczkę prowadzącą z tyłu pałacu, która, jak Zaza się domyślała, służyła jako droga dojazdowa dla dworskich dostawców. Droga ta doprowadziła ją do bocznej bramy wjazdowej, gdzie stało dwóch wartowników. Byli jednak tak zajęci rozmową, że obrzuciwszy dziewczynę przelotnym tylko spojrzeniem, o nic jej nie zapytali.

Zanim Zaza dotarła do głównej ulicy, skąd wartownicy nie mogli jej widzieć, ramię obciążone ciężką torbą podróżną rozboleło ją już na dobre. Na widok jadącej w jej kierunku wolnej dorożki poczuła więc ogromną ulgę. Kiedy powóz się zatrzymał, kierujący końmi mężczyzna zapytał:

— Dokąd chciałybyś jechać? Jestem już w drodze do domu.

— Czy mógłby mnie pan zawieźć na dworzec? — zapytała Zaza, po czym, obawiając się, że zamierza jej odmówić, pospiesznie dodała: — Muszę złapać pociąg. Jeśli nie zdążę, wpadnę w ogromne tarapaty.

— W porządku — burknął dorożkarz. — Wsiadaj!

Nawet nie usiłował jej pomóc przy wniesieniu bagażu i Zaza uśmiechając się leciutko pomyślała, jak inaczej do tej pory była traktowana. Gdy tylko znalazła się w środku, dorożkarz zaciął konie i Zaza odetchnęła z ulgą że z każdą chwilą coraz bardziej oddala się od pałacu i że minie co najmniej kilka godzin, zanim odkryją jej nieobecność.

Po przybyciu na dworzec Zaza stwierdziła, iż zgodnie z umową profesor czeka już na nią przy głównym wejściu. Nie była pewna, czy na jej widok ucieszył się, czy raczej przeraził, dopiero teraz uświadomiwszy sobie, na co się zdecydowali. Tak czy inaczej, klamka już zapadła. Profesor zapłacił dorożkarzowi za kurs i odebrał od Zazy bagaż, po czym poszedł do kasy, aby kupić bilety.

Zaza bała się, iż ktoś może ją rozpoznać, ale pocieszała się, że pasażerom wyjeżdżającym wczesnym rankiem do Paryża, nawet do głowy by nie przyszło, że księżniczka Melhausen może podróżować jedynie w towarzystwie jakiegoś starszego pana. Mimo to odetchnęła z ulgą, kiedy na peron powoli wtoczył się pociąg wypuszczając kłęby pary.

Tym razem nie było ani czerwonego dywanu, ani orszaku, ani adiutanta, który wprowadziłby ich do królewskiej salonki. Nie było również stewarda, który obsługiwałby ich przy posiłku, ani też damy dworu troskliwie zdejmującej z niej płaszcz. Był tylko profesor pochłonięty bez reszty lekturą porannych gazet.

— Zrobiłam to! — powiedziała do siebie Zaza i w tej samej chwili miała ochotę krzyknąć: Zrobiłam to, uciekłam! Jadę do Paryża!

Rozdział drugi

Podróż do Paryża miała trwać pięć godzin i Zaza widząc, jak pasażerowie otwierają koszyki z prowiantem, nie mogła odżałować, iż nie pomyślała o zabraniu ze sobą czegoś do jedzenia.

Oczywiście, profesor, którego myśli zdawały się krążyć wokół spraw ducha, a nie ciała, nie mógł pamiętać o czymś tak prozaicznym jak jedzenie. I kiedy mijały godziny, narastające uczucie głodu zaczęło mocno Zazie doskwierać. Nic nie jadła przed opuszczeniem pałacu i teraz ze zdumieniem stwierdziła, że myśli o aromatycznej gorącej kawie, którą w tej chwili delectuje się Rachelą, oraz innych wspañałościach przyniesionych siostrze na śniadanie, nie mówiąc już o ciepłutkich ctoissants, które szef kuchni piecze na potrzeby dworu każdego dnia.

Wielki ksiązę uwielbiał wszelkie zestawy francuskich i niemieckich potraw i dbał o to, aby nigdy nie brakowało ich na stole. W efekcie, zdaniem Zazy, posiłki w pałacu były zdecydowanie zbyt obfite. Pamiętała, jak wraz z matką ze zdumieniem obserwowała, z jakim apetytem jej ojciec i otaczający go dworzanie pochłaniają ogromne ilości jedzenia, sprawiając przy tym wrażenie, jakby nie znali uczucia sytości.

Ale teraz, wraz z podnieceniem związanym z ucieczką, przyszło uczucie głodu i pragnienia, którego nigdy dotąd nie zaznała. I kiedy pociąg wjechał na jakaś większą stację, nie mogąc się już opanować, zapytała profesora;

— Czy nie można by tu kupić coś do jedzenia?

— Jedzenia? — zdumiał się profesor, jakby nigdy nie słyszał tego słowa.

— Jestem głodna — nieśmiało powiedziała Zaza.

— Że też o tym wcześniej nie pomyślałem! — zawołał profesor, z przerażeniem chwytając się za głowę.

— Może jednak moglibyśmy coś kupić na tej stacji? — powtórzyła Zaza.

— Oczywiście — zgodził się profesor i kiedy pociąg się zatrzymał, położył swój kapelusz na siedzeniu, jakby chciał mieć pewność, że nikt nie zajmie jego miejsca, po czym wybiegł na peron.

Obserwując, jak oddala się w kierunku budynku dworcowego, Zaza nagle uświadomiła sobie, iż raczej to ona powinna zająć się profesorem, a nie on nią. Od dawna wiedziała, że profesor jest nieprawdopodobnie roztargniony, ale wiedziała również o jego szlachetności i wielkiej życzliwości dla ludzi. Bezgranicznie mu więc ufała, wierząc, iż w razie potrzeby gotów jest dla niej umrzeć, chociaż miał pełne prawo obawiać się, że życie z nią może się okazać o wiele trudniejsze.

Większość pasażerów w pociągu stanowili komiwojażerowie lub sklepikarze zmierzający do Paryża w poszukiwaniu nowych towarów. Wszystko, co tylko było bardziej atrakcyjne w Melhausen, a szczególnie w stolicy księstwa Dorne, pochodziło z Paryża. Nie podobało się to oczywiście niemieckojęzycznej ludności, która często narzekała, iż jej potrzeby nie są w dostatecznym stopniu zaspokajane. Jednocześnie Zaza zawsze miała wrażenie, że mieszkańcy Melhausen, z uporem godnym lepszej sprawy, tak długo dostosowują to, co francuskie, do swoich gustów, aż w końcu gubią gdzieś po drodze francuski szyk, sprawiając, iż wszystko w ich rękach staje się nijakie, pospolite i bez gustu. Teraz wreszcie sama będzie mogła się przekonać, jak to naprawdę wygląda.

Czuła się szczęśliwa i ogromnie podekscytowana, ale zdawała sobie sprawę, że to, co najniebezpieczniejsze, mając przed sobą: muszę przekroczyć granicę. Ich paszporty wkrótce zostaną poddane kontroli i jeśli w pałacu odkryto już jej zniknięcie, ojciec mógł zawiadomić straż graniczną, aby zatrzymywano i sprawdzano każdą osobę w jej wieku, która odpowiadałaby jej rysopisowi. Jednocześnie starała się pocieszyć, że nie ma jeszcze powodu do niepokoju.

Pierwszą osobą, która z pewnością odkryje jej nieobecność, będzie służąca Elenmore. Jak zwykle wejdzie o ósmej do jej pokoju, aby ją obudzić i w pierwszej chwili zapewne pomyśli, że księżniczka jest u swojej siostry. Położy więc przygotowaną dla niej suknię i będzie spokojnie na nią czekała, żeby pomóc jej przy ubieraniu.

Zaza starała się nie zostawić w pokoju żadnych śladów, które mogłyby wzbudzić podejrzenia, iż nie ma jej w pałacu. List, który napisała do ojca, położyła na stoliku w korytarzu, gdzie jak przypuszczała, miną długie godziny, zanim ktokolwiek go zauważy.

— Jeżeli ktoś zapyta cię, gdzie jestem — instruowała siostrę — po chwili wahania odpowiedz, że pewnie mam dziś wcześniej lekcję muzyki albo że jestem u papy. Nikomu nie przyjdzie do głowy, aby to sprawdzić.

— Pomyślałaś o wszystkim — z uznaniem zauważyła Rachela. — Nigdy bym nie przypuszczała, że jesteś taka praktyczna.

— Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy coś tak skandalicznego jak ucieczka z pałacu — ze śmiechem odrzekła Zaza. — Ale pamiętasz, jak mama często powtarzała: „Jeśli uważasz, że powinnaś coś zrobić, zrób to dobrze”? Właśnie teraz mam zamiar się do tego zastosować.

— Masz rację — zgodziła się Rachela. — To byłoby okropne, gdybyś dała się złapać i do tego jeszcze, zanim dotarłabyś do Paryża.

— Też tak sędzę — dodała Zaza.

Długo jeszcze rozmawiały, aż Zaza uznała, że Rachela powinna już pójść spać. Opuszczając pokój siostry dodała:

— Kiedy już będę w Paryżu, zrobię wszystko, aby znaleźć jakieś lekarstwo na twoją chorobę. Słyszałam, że paryscy lekarze i francuskie medykamenty są najlepsze w Europie.

Mizerna twarzyczka Racheli jakby się ożywiła.

— Jeśli tylko znajdziesz czas, aby pomyśleć o mnie — powiedziała — będę bardzo szczęśliwa.

— Oczywiście, że będę myślała o tobie — rzekła Zaza. — Jak możesz w to wątpić? Bardzo bym chciała napisać do ciebie, ale obawiam się, iż może to okazać się niebezpieczne.

— Wyobrażasz sobie, co powiedziałby papa, gdybym otrzymała widokówkę z wieżą Eiffla! — zawołała Kachela i obydwie zachichotały na myśl, w jaką furię wpadłby wtedy wielki książę.

Wyglądając przez okno Zaza ujrzała wreszcie profesora, jak wracał do wagonu niosąc w jednej ręce talerz, na którym była kanapka z grubym plastrem szynki i dwa ciastka z kremem, w drugiej duży porcelanowy kubek z kawą.

— Wszystko wygląda bardzo apetycznie! — zawołała, otwierając przed nim drzwi.

— Niestety, kawę trzeba szybko wypić, ponieważ muszę zdążyć zwrócić kubek i talerz — odrzekł profesor. — Zostawiłem w bufecie kaucję.

W oczach Zazy pokazały się wesołe ogniki. Jakie to zabawne, iż komuś przyszło do głowy, że profesor mógłby ukraść filiżankę i talerz. Ciekawa była, co by ten podejrzliwy ktoś powiedział, gdyby usłyszał, że to jedzenie tak naprawdę przeznaczone jest dla księżniczki Marie-Celeste. Jednak w tej chwili głód, który odczuwała, był tak dokuczliwy, iż myśl, aby nachylić się do profesora i żartobliwie to skomentować nawet nie przyszła jej do głowy. Z apetytem zjadła kanapkę, delektując się zarówno jej smakowitą zawartością, jak i wspaniałym chrupiącym pieczywem.

— Czy pan także coś zjadł? — zapytała profesora, zgarniając z talerza ostatnią okruszynę.

— Szczerze mówiąc, nie pomyślałem o tym — powiedział.

— Jak można być takim nierozsądnym? — zganiała go Zaza. — Umrze pan z głodu, zanim dojedziemy do Paryża.

— Tak, tak, naturalnie — przyzna! ze skruchą. Po chwili wyciągnął z kieszeni zegarek i sprawdzwszy, która jest godzina, dodał: — Zdążę jeszcze coś zjeść, kiedy odniosę te naczynia do bufetu.

Zaza szybko dopiła kawę.

— Już może pan to zabrać — powiedziała — i niech pan koniecznie zje kanapkę z szynką. Jest znakomita!

Kiedy profesor wybiegł z pociągu, Zaza solennie sobie obiecała, że w Paryżu przypilnuje, aby się regularnie odżywiał. Bardzo się postarzał, pomyślała, i nie wygląda najlepiej. Zwróciła uwagę, że jego twarz była pokryta zmarszczkami, a skóra bardzo blada i niezdrowa. Co bym zrobiła, gdybym go straciła?, zadała sobie pytanie.

Wiedziała, iż gdyby tak się stało, nie miałaby już z kim rozmawiać w pałacu. Byłaby skazana na wykonywanie bezwzględnych poleceń ojca i wysłuchiwanie wciąż tych samych pouczeń hrabiny Glucksburg.

Zaczynała się już niepokoić, czy profesor, zapomniawszy o bożym świecie, nie spóźni się czasem na pociąg. Nagle z przerażeniem uświadomiła sobie, iż zupełnie nie ma pojęcia, gdzie mają się zatrzymać w Paryżu i jeśli przyjedzie tam sama, a profesor podaży za nią, to i tak nie będzie w stanie go odnaleźć. Kiedy konduktorzy zaczęli zamykać drzwi wagonów, a kierownik pociągu ruszył wzdłuż peronu trzymając w ręku czerwoną chorągiewkę, Zaza wpadła w panikę. Dosłownie w ostatniej chwili zobaczyła nadbiegającego profesora.

— Ale najadłam się strachu — powiedziała, otwierając mu drzwi. — Tak długo pana nie było, że pociąg z powodzeniem mógł odjechać bez pana.

— Ta kobieta bardzo opieszale wydawała mi pieniądze — usiłował tłumaczyć się profesor.

Kiedy wreszcie zatrzasnął drzwi i usiadł na swoim miejscu, rozległ się gwizdek, kierownik pociągu dał znak chorągiewką i pociąg ruszył.

To było dla Zazy zupełnie nowe doświadczenie. Kiedy podróżowała z ojcem, pociąg ruszał dopiero wtedy, gdy on na to wyraził zgodę, nigdy wcześniej. Teraz jednak najważniejsze było to, że profesor zdążył na czas i znów siedział obok niej. Uśmiechnęła się do niego. Nie wracała już do tych strasznych chwil, kiedy bała się, że zostanie sama, nie chcąc, aby profesor czuł, że ma o to do niego pretensję.

Pociąg zatrzymał się na ostatniej stacji w Melhausen i Zaza wyglądając przez okno widziała na peronie żołnierzy ubranych w zielone mundury, które jej ojciec uważał za bardzo eleganckie i do których sam wprowadził wiele zmian.

— Teraz przekraczamy granicę — powiedziała i głos jej nieco zadrżał.

Profesor sięgnąwszy do kieszeni wyjął paszport należący do jego bratanicy. Dokument sporządzony był w formie listu podpisanego przez ministra spraw

wewnętrznych i zobowiązującego odpowiednio służby do udzielenia wszelkiej pomocy i opieki pani Gabrielle Dumont, obywatelce księstwa Melhausen.

Zaza przeczytała go uważnie i teraz trzymając dokument w ręku czekała na kontrolę graniczną. Kiedy drzwi wagonu otworzyły się, do środka wszedł młody oficer, który rozpoczął kontrolę od Zazy. Wziął do ręki jej paszport, otworzył go i spojrzał uważnie na dziewczynę. Najwyraźniej przypadła mu do gustu, ponieważ przez dłuższą chwilę nie spuszczał z niej wzroku, po czym z lekkim skinieniem głowy, jakby w ten sposób chciał oddać hołd jej urodzie, zwrócił jej paszport w ogóle go nie oglądając.

— Merci, monsieur — powiedziała Zaza.

— Pani jedzie do Paryża, mademoiselle?

— Oui, monsieur.

— A więc życzę pani miłej podróży.

— Dziękuję panu, monsieur.

Teraz oficer obejrzał paszport profesora, po czym poszedł dalej, aby skontrolować pozostałych pasażerów. Co jakiś czas odwracał się jednak i patrzył na Zazę w taki sposób, iż nie ulegało wątpliwości, że w całym wagonie tak naprawdę tylko ona go interesuje. Opuszczając wagon, oficer uśmiechnął się do niej, a kiedy mu ten uśmiech odwzajemniła, zanim ruszył wzdłuż peronu, elegancko jej zasalutował.

Zaza pomyślała, iż po raz pierwszy w życiu młody mężczyzna potraktował ją jak zwyczajną dziewczynę, a nie jak księżniczkę, i że to bardzo miło być adorowaną wyłącznie dla siebie samej.

Przed odjazdem pociągu oficer ponownie przeszedł wzdłuż wagonu, jakby jeszcze raz chciał na nią popatrzeć. Świadoma tego Zaza nie spojrzała w jego kierunku udając, iż bardzo jest zajęta leżącą na kolanach profesora gazetą. Dopiero gdy pociąg ruszył, jakby pod wpływem nieoczekiwanego impulsu, wstała i wychyliła się z okna.

Tak jak się spodziewała, oficer był już prawie na końcu peronu i kiedy pociąg go mijał, ponownie jej zasalutował, a ona tym razem pomachała ręką na pożegnanie. Promienny uśmiech rozjaśnił mu twarz i Zaza odchodząc od okna miała uczucie, że zachowała się bardzo odważnie i bardzo niekonwencjonalnie. Wyobrażała sobie, jak jej otoczenie byłoby zgorszone tym, co zrobiła, nie mówiąc już o hrabinie Glucksburg, która z pewnością zemdlałaby z wrażeń.

Bardzo powoli, ponieważ droga biegła cały czas pod górę, pociąg wypuszczając kłęby pary wreszcie minął granicę. Byli we Francji.

Udało się!, pomyślała Zaza. Jestem wolna! Chciała krzyknąć z radości. Podróż miała trwać jeszcze trzy godziny, ale zupełnie nieoczekiwanie Zaza

zapragnęła, aby trwała jeszcze dłużej. Widok z okien pociągu był tak fascynujący, że nie spieszyło się jej już tak bardzo do Paryża. Krajobraz zmieniał się jak w kalejdoskopie. Góry o zboczach porośniętych lasami pozostały gdzieś z tyłu i teraz przed nimi, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się pola uprawne. Zaza mogła obserwować chłopów pracujących na roli. Niektórzy z nich jako siły pociągowej używali wołów, inni koni, a jeszcze inni siły własnych mięśni. W dali widać było maleńkie wioski i wieże kościołów, zdające się sięgać nieba. Zaza wprost oczu nie mogła oderwać z zachwytu. Wszystko wyglądało tak, jak na kolorowych obrazkach w książeczkach, które pamiętała z dzieciństwa.

Pociąg zatrzymywał się jeszcze kilkakrotnie i kiedy na jednej z większych stacji zanosilo się na dłuższy postój, profesor ponownie wyszedł na peron, aby przynieść coś do jedzenia. Zaza postanowiła, iż przy pierwszej okazji, kiedy tylko zostaną sami, powie profesorowi, że zabrała ze sobą mnóstwo pieniędzy i że zwróci mu wszystko, cokolwiek na nią wyda.

— Muszę być bardzo ostrożna — powiedziała sobie. — W podróży wszystko może się zdarzyć. Gdyby ktoś mnie okradł, znalazłabym się w prawdziwym kłopotcie. — W tym momencie przyszło jej na myśl, że na ogół ludzie nie wożą przy sobie większej gotówki, lecz korzystają z przekazów bankowych, które z pewnością są o wiele bezpieczniejsze.

Chciała zapytać profesora, co o tym sądzi, ale doszła do wniosku, że musi poczekać, aż zostaną sami. Dopiero w połowie drogi do Paryża wysiadło trzech jadących z nimi pasażerów i w wagonie oprócz Zazy i profesora pozostał tylko jeden starszy mężczyzna, ale ten siedział w odległym końcu wagonu i zdawał się pogrążony w głębokim śnie.

Teraz Zaza uznała, że może wreszcie swobodnie z profesorem porozmawiać. Nachyliła się więc w jego stronę i cichutko zapytała:

— Proszę mi powiedzieć, profesorze, jakie ma pan plany po przyjeździe do Paryża?

— Wysłałem wczoraj telegram do mojego przyjaciela, w którym go poinformowałem, że przyjeżdżam w dniu dzisiejszym z jeszcze jedną osobą — odrzekł. — Zarezerwują dla nas pokoje w hotelu przy ulicy Saint-Honore. W tym właśnie hotelu znajduje się cafe, gdzie zawsze spotykają się moi przyjaciele.

— W jakim celu się tam spotykają? — zapytała Zaza.

— Aby ze sobą rozmawiać, wymieniać poglądy i robić plany — odrzekł profesor. — To jest nasz klub dyskusyjny, który nazywamy „La Révolte des Coeurs”.

— Bunt serc — powtórzyła Zaza. — To brzmi doprawdy wspaniale.

— Mówimy sercem, czujemy sercem i walczymy sercem — z satysfakcją dodał profesor.

— Czy sądzi pan, że pańscy przyjaciele mnie przyjmą?

— Oczywiście! Zaakceptują każdego, kogo ja przyprowadzę — oświadczył profesor. — Ale pamiętaj, księżniczko, że będą cię uważali za moją bratanicę.

— Tak — przyznała Zaza. — Nie wolno mi o tym zapomnieć, jak również o tym, że powinnam się do pana zwracać „stryju Francois”.

— Będę tym ogromnie zaszczycony — rzekł profesor.

Oczy Zazy załśniły, kiedy po chwili dodał:

— Poznamy prawdziwą wolność! Wolność również dla kobiet! Nareszcie, księżniczko, zrozumiesz to, o czym przekonywałem cię od tak dawna.

Profesor mówił z coraz większym ożywieniem i Zaza przysłuchując się mu z zapartym tchem, czuła, iż jej również udziela się ten pełen niezwykłego uniesienia nastrój. Wydawało się jej, że śni. Obawiała się tylko, iż w pewnej chwili ten sen się skończy i wszystko będzie tak jak dawniej. Znowu powrócą tchnące nudą dni w pałacu, urozmaicane jedynie rozmowami z profesorem, kiedy hrabina Glucksburg zapadała w drzemkę.

Ponownie zajęła się wyglądaniem przez okno, podczas gdy profesor pograżył się w lekturze jakichś dokumentów. Po pewnym czasie złożył je i schował w jednym ze swoich neseserów.

— Zbliżamy się do Paryża — oznajmił. — Ciekaw jestem, czy któryś z moich przyjaciół wyjdzie po mnie na dworzec. Ale raczej to mało prawdopodobne. Wszyscy będą czekali na mnie w „Cafe” des Champs” i to, jak sądzę, z dużą niecierpliwością.

Wstał, aby zdjąć z półki bagaż, gdzie, jak Zaza zauważyła, znajdowały się również jego skrzypce, i w tej samej chwili rozległ się straszliwy huk. Wagon gwałtownie się zakołysał i profesor upadł na podłogę, a spadający z góry kufer przygniótł mu nogi.

Okrzyk przerażenia wyrwał się z ust Zazy. Poczowała, jak jakaś straszna siła pchają do przodu, ale mimo to udało się jej uniknąć upadku. I kiedy w końcu zdała sobie sprawę, co się naprawdę wydarzyło, usłyszała jęk profesora. Gdzieś z zewnątrz dobiegł ją odgłos uchodzącej gwałtownie pary, wołanie ludzi i przeraźliwy krzyk kobiety.

Kiedy wagon stanął na dobre, Zaza podniosła się szybko i uwolniła nogę profesora.

— Czy nic się panu nie stało? — zapytała z niepokojem.

Podniosła leżące na ziemi torby i postawiła je na siedzeniach. W chwili jednak, gdy wyciągnęła do profesora ręce, aby mu pomóc wstać, ponownie usłyszała jęk.

— Pan jest ranny! — zawołała.

— To kostka — wyszeptał. — Pewnie skręciłem ją podczas upadku.

— Nie sądzi pan, że to może być złamanie?

— Nie, nie. To z pewnością nie jest złamanie — zapewnił ją profesor — ale noga bardzo mnie boli. Pomóż mi usiąść.

Wyrwany gwałtownie ze snu starszy mężczyzna, wzburzony, wołał po niemiecku:

— To skandal! Takie wypadki nie powinny mieć miejsca! Ci Francuzi nie potrafią nawet poprowadzić głupiej linii kolejowej. — Nikt jednak nie przyłączył się do jego narzekań.

Zaza, widząc, że profesor bardzo cierpi, ostrożnie pomogła mu usiąść i wyciągnąć obolałą nogę. Zastanawiała się, czy w tej sytuacji w ogóle można będzie zdjąć z niej but.

Profesor wyglądał żałośnie. Ubranie miał zakurzone, a kapelusz brudny i pomięty. Zaza pomyślała, iż gdyby akurat w tym momencie, kiedy nastąpiła kolizja, profesor nie podniósł się z miejsca, z pewnością nie przytrafiłoby mu się to nieszczęście. Ale w tej chwili takie rozważania nie miały już sensu.

— Jak się pan czuje? — zapytała.

Zauważyła, że jest bardzo blady i dziwnie milczący. W pewnej chwili przyłożył rękę do serca i słabym głosem wyszeptał:

— Sięgnij, proszę, do mojej kieszeni. Powinna tam być butelka z lekarstwem. Podaj mi kilka kropli i za chwilę wszystko będzie dobrze.

Zaza w panice sięgnęła do jego kieszeni i znalazła maleńką buteleczkę. Chciała mu ją podać, ale doszła do wniosku, że jest zbyt słaby, aby mógł ją utrzymać w ręku. Kiedy zdjęła zakrętkę, zauważyła kroplomierz. Nabrała do niego trochę płynu i powiedziała:

— Proszę otworzyć usta.

Gdy profesor spełnił jej prośbę, naląła mu na język parę kropel.

— Czy to wystarczy? — zapytała.

Nie był w stanie jej odpowiedzieć. Skinął tylko głową i Zaza usiadła przy nim obserwując go z niepokojem. Po chwili z policzków profesora ustąpiła bladość i powróciło naturalne zabarwienie skóry.

Minęło kilka minut, podczas których Niemiec przez cały czas głośno wyrzekał. Teraz, wychyliwszy się przez okno, wołał do biegnących wzdłuż pociągu ludzi, chcąc się dowiedzieć, co się stało.

— Jak się pan czuje? — zapytała profesora Zaza.

— Trochę lepiej — odpowiedział prawie już normalnym głosem. — To wszystko z powodu serca. Ale dopóki mam przy sobie krople, nic złego nie może mi się przytrafić.

Zaza odetchnęła z ulgą. Schowała buteleczkę z lekarstwem do kieszeni profesora i podeszła do okna.

— Muszę zobaczyć, co się stało — powiedziała. Wychyliła się w kierunku lokomotywy, gdzie stało mnóstwo krzyczących i gestykulujących ludzi, podczas gdy ogromne kłęby wydobywającej się z sykiem pary zdawały się wskazywać, iż stoją tam dwie lokomotywy.

— Wygląda to na kolizję dwóch pociągów — rzuciła w stronę profesora.

— Tak właśnie myślałem — odrzekł.

Zaza zauważyła jakiegoś wyższego urzędnika kolei i towarzyszących mu mężczyzn, idących wzdłuż pociągu, którzy zatrzymywali się przy każdym wagonie pytając, czy nikt nie ucierpiał podczas wypadku.

Poczekwała, aż podejda bliżej i wtedy powiedziała:

— Jest tu pewien dżentelmen z bolesnym urazem nogi. Może znalazłby się lekarz, który udzieliłby pomocy.

Urzędnik w mundurze kolejarza spojrział w kierunku lokomotywy, jakby się spodziewał, iż w tłumie stojących tam osób powinien być lekarz.

W tej samej chwili jakiś mężczyzna w cywilnym ubraniu odezwał się:

— Może ja mógłbym w czymś pomóc? — Wzrok nieznajomego, kiedy spojrział na Zazę, był tak wymowny, iż dziewczyna odniosła wrażenie, że podobnie jak oficerowi na poprzedniej stacji, po prostu mu się spodobała i dlatego zaofiarował swoją pomoc. Ale ponieważ z wdzięcznością przyjęłaby w tej chwili pomoc od każdego, uśmiechnęła się do niego i nieznajomy wspiąwszy się po schodkach, wszedł do wagonu. Teraz wydawał się Zazie znacznie wyższy niż wtedy, gdy stał na dole przy oknie pociągu. Doszedłszy do wniosku, iż nie powinna ukrywać, jak bardzo się czuje bezradna, powiedziała po prostu:

— To jest mój stryj. Obawiam się, że złamał nogę w kostce, i dlatego chciałabym skonsultować się z lekarzem.

— Jestem pewien, że to tylko zwichnięcie — szybko dodał profesor.

— Niemniej jednak sędzę, że bardzo pan cierpi — zauważył nieznajomy.

— To prawda — przyznał profesor. Kiedy usiłował poruszyć chorą nogą, nagły grymas bólu wykrzywił mu twarz.

Zaza z przerażeniem zawołała:

— Proszę się nie ruszać! — Po czym zwracając się do nieznanego, bezradnie zapytała: — Co zrobić? Jak dostać się stąd do Paryża?

— Właściwie to już Paryż — odrzekł mężczyzna. — I jedyne, co mógłbym w tej chwili dla państwa uczynić, to sprowadzić powóz, który was zawiezie, dokąd zechcecie.

— Zrobi to pan? — zapytała Zaza. — To byłoby niezwykle uprzejme z pana strony.

— Jestem pewien, że nie będzie z tym kłopotu. — odparł mężczyzna. — Proszę tu spokojnie czekać i całkowicie zdać się na mnie.

Sądząc po tym, jak na nią patrzył, Zaza nie miała wątpliwości, że ten młody człowiek zrobi dla niej wszystko, co tylko możliwe. Już sobie wyobrażała, co by powiedziała jej siostra, widząc, jak znakomicie radzi sobie z mężczyznami, gdy jest z dala od surowych rygorów pałacu.

Tymczasem nieznanemu opuścił już wagon i Zaza podniosła się, aby zamknąć za nim drzwi. Kiedy wychyliła się przez okno, powiedział do niej:

— Nie sądzi pani, iż zanim odejdę, dobrze byłoby, gdybyśmy się sobie przedstawili? Nazywam się Pierre Beauvais.

— Mój stryj, to profesor Dumont — odrzekła Zaza.

— A pani? — zapytał nieznanemu. Widać było, że bardzo chce się dowiedzieć, kim ona jest.

— Nazywam się Zaza Dumont — odparła z uśmiechem.

— Dziękuję pani, mademoiselle — rzekł Pierre Beauvais. — Wrócę, jak tylko uda mi się załatwić powóz. Obawiam się tylko, że wielu pasażerów wpadło na ten sam pomysł.

— Mogę jedynie polegać na panu, monsieur — szepnęła Zaza.

Uśmiechnął się do niej, a ona jakiś czas jeszcze obserwowała go, jak idzie wzdłuż kolejowego nasypu. Był dosyć niezwykle ubrany, jednak zastanowiło ją iż nie miał na głowie kapelusza. Być może, myślała, uległ zniszczeniu, albo też zawieruszył się gdzieś w czasie niedawnej kolizji. Uważała poza tym, że ubranie, jakie miał na sobie, pasowało do paryskich artystów, ale nie włożyłby go żaden dżentelmen, a już z pewnością nie ci, których spotykała w pałacu.

— Może jest impresjonistą — pomyślała. — Jakież to byłoby ekscytujące, gdyby po tym, co profesor opowiadał jej o impresjonistach, właśnie teraz mogła poznać jednego z nich. Nagle, przypomniawszy sobie o ciężącym na niej obowiązku, szybko odwróciła się od okna i usiadła obok profesora.

— Ten uprzejmy młody człowiek, pan Pierre Beauvais, poszedł poszukać powozu, który mógłby nas zabrać do Paryża — oznajmiła. — Myślę, iż może

to drogo kosztować. Ale proszę się nie martwić, ponieważ zabrałam ze sobą dużo pieniędzy.

Mówiła cały czas szeptem, jakby się obawiała, że ktoś może ich podsłuchać, chociaż w tej części wagonu byli zupełnie sami.

— To doskonale — zauważył profesor. — Mam jednak tyle pieniędzy, iż wystarczy dla nas obojga.

— Nie mogę się zgodzić, aby pan płacił za mnie — odrzekła Zaza. — Kiedy poczuje się pan nieco lepiej, opowiem panu, w jaki sposób zdobyłam te pieniądze, i jak to się stało, że nikt w pałacu niczego nie zauważył.

— Moja noga z pewnością będzie jutro w porządku — oświadczył profesor. — Nie mogę przecież chorować, szczególnie teraz, kiedy jestem w Paryżu z tobą, ma princesse.

— Sza! — Zaza położyła mu palec na ustach. — Nie wolno panu tak mnie nazywać. To niebezpieczne. Jestem pańską bratanicą i nazywam się Gabrielle, rozumiano? Ale ponieważ sama obawiam się, iż mogę się pomylić, proszę mnie nazywać Zaza, tak jak mówi do mnie moja siostra.

— Zaza — powtórzył profesor z miną dziecka, które za wszelką cenę stara się coś zapamiętać.

— Zaza Dumont. Myślę, że to brzmi całkiem sympatycznie. — roześmiała się. — Niech mi będzie wolno powiedzieć, że czuję się ogromnie zaszczycona, iż mogę się uważać za pańską bratanicę. Mam tylko nadzieję, że nie sprawię panu zawodu.

— To ja czuję się zaszczycony — odrzekł profesor i Zaza wyczuła w jego głosie coś, co wskazywało, jak bardzo go poruszyły jej słowa.

— Mieć ciebie, księżniczko, przy sobie — ciągnął — i być w Paryżu, to tak jak osiągnięcie Eldorado, które przez tyle lat było jedynie mirażem na horyzoncie moich pragnień.

Mówiąc to, ujął jej dłoń i ucałował z najwyższym uwielbieniem.

— Moja najlepsza, moja najwspanialsza i najbardziej obiecująca uczennico — rzekł łamiącym się ze wzruszenia głosem. — Paryż, stolica nauki, kultury i wolności nareszcie stoi przed tobą otworem.

Jadąc w staromodnym powozie z profesorem siedzącym tuż obok niej i Pierre'em Beauvais naprzeciwko, Zaza nie potrafiła ukryć zmieszania widząc oczy młodego mężczyzny utkwione w niej z takim zachwytem, z jakim nikt dotąd na nią nie patrzył. Była mu jednak tak wdzięczna za to, co dla nich zrobił, iż nie mogła czuć się dotknięta czymkolwiek, co mówił czy robił, wiedząc ponadto, że sama z pewnością by sobie z tym wszystkim nie poradziła.

Pierre Beauvais wraz z innym jeszcze mężczyzną zanieśli profesora do stojącego w dosyć dużej odległości powozu. Natomiast trzeci mężczyzna zajął się ich bagażem. Zaza zastanawiała się, czy nie powinna dać mu napiwku, ale nie bardzo wiedziała ile. I kiedy wahała się, jak ma postąpić, zauważyła, iż Pierre Beauvais już ją w tym wyřęczył. Solennie wtedy sobie obiecała, że przy najbliższej okazji musi mu to wszystko zwrócić, chociaż nie miała wątpliwości, iż wcale nie będzie to łatwe.

Kiedy wreszcie uwolnili się od tłumu natrętnych pośredników oferujących im swoje usługi, powóz ruszył z miejsca, Pierre Beauvais nachyliwszy się do profesora powiedział:

— Proszę mi wybaczyć, monsieur, ale gdy podał pan adres „Hotel des Champs”, byłem ciekaw, czy istnieje jakiś szczególny powód, dla którego zdecydował pan tam właśnie się zatrzymać.

Profesor, który przez cały czas bardzo cierpiał i był w dosyć ponurym nastroju, spojrział na niego podejrzliwie i zapytał:

— Dlaczego to pana interesuje?

Pierre Beauvais przez chwilę jakby się wahał, po czym starannie dobierając słowa, powiedział:

— Interesują mnie raczej ludzie, którzy zbierają się w „Cafe des Champs”.

Profesor nagle się ożywił i po raz pierwszy z wyraźnym zaciekawieniem spojrział na swego rozmówcę. Siedzący przed nim młody mężczyzna ubrany był w aksamitną marynarkę oraz czarne spodnie, pod szyją zamiast krawata miał zawiązaną kokardę, a obok niego na siedzeniu leżał czarny, pilśniowy kapelusz z ogromnym rondem.

— Czy ktoś z pańskich przyjaciół jest bywalcem „Cafe des Champs”? — zapytał po chwili.

— Niestety, nie. Znam ten lokal jedynie ze słyszenia — odrzekł Pierre Beauvais. — Bardzo bym chciał poznać ludzi należących do „La Revolte des Coeurs”.

— A więc jest pan symbolistą! — zawołał uradowany profesor. — Sądząc po pańskim wyglądzie, od razu można było się tego domyślić. Jaki to jednak niezwykły zbieg okoliczności, że to właśnie pan nas wyratował.

Wyciągnął do niego rękę i kiedy Pierre Beauvais ją uścisnął, profesor dodał:

— Witaj, mój synu! Witaj w kręgu ludzi, którzy walczą o wolność serc i umysłów!

— Jestem szczęśliwy, że mogłem pana poznać, monsieur, — rzekł Pierre Beauvais. — Moim największym marzeniem było, aby „Les Coeurs” zechcieli mnie przyjąć do swego grona.

— Zrobią to na pewno, kiedy się dowiedzą, że jesteś moim przyjacielem — zapewnił go profesor. — Przyjmą cię z otwartymi ramionami, ponieważ masz duszę samarytanina i wyznajesz ideały, które są takie same jak moje i oczywiście mojej bratanicy Zazy.

— Czy mademoiselle jest także symbolistką? — ze zdumieniem zawołał Pierre Beauvais.

— Mam nadzieję, że nią będę — szybko dodała Zaza, uprzedzając odpowiedź swego opiekuna.

Profesor, jakby nie był zachwycony tym, co usłyszał, powiedział:

— To dziecko to moja najlepsza uczennica. Jest mądra, spostrzegawcza i bardzo odważna. A to, że urodziła się kobietą, nie może jej przeszkodzić w poznawaniu rzeczy nowatorskich i postępowych.

Pierre Beauvais spojrział na Zazę tak, jakby chciał powiedzieć, iż kobieta tak piękna jak ona, wcale nie potrzebuje być mądra. Zaza natomiast bardzo chciała zaimponować mu swoją inteligencją ale jego spojrzenie onieśmieliło ją do tego stopnia, że przez dłuższy czas unikała jego wzroku.

Tymczasem profesor, zapomniawszy o bólu, zaczął dłuższy wywód na swój ulubiony temat. Mówił o uwolnieniu społeczeństwa od rządów burżuazji, o nowej konstytucji i prawach człowieka.

— To, do czego dążymy — grzmiał — jest zaprzeczeniem życia dzisiejszej klasy średniej, tak wymownie przedstawionego na obrazach Renoira czy Degasa.

Zaza spojrzała na niego ze zdumieniem, ponieważ sądziła dotychczas, że profesor ceni impresjonistów za ich nowe podejście do sztuki, które było przecież jawnym buntem przeciwko królującemu na salonach i w Akademii konserwatyzmowi.

— Nie odpowiada nam również — ciągnął — krzykliwa wulgarność obrazów niejakiego Toulouse-Lautreca.

— Czego więc chcemy? — zapytał Pierre Beauvais.

— Chcemy zbudować nowy świat; świat, w którym o wartości człowieka decydować będą nie pieniądze, ale przymioty ducha.

Zaza z rozbawieniem obserwowała, jakim zaskoczeniem dla Pierre'a Beauvais były nie tylko poglądy profesora, ale również sposób, w jaki je wypowiadał. Tak często słuchała przemówień swego nauczyciela, że zdążyła się już do nich przyzwyczaić. Rozumiała jednak, że ktoś taki jak Pierre Beauvais miał prawo uznać je za niezwykle.

Ponownie pomyślała, jakie to szczęście, że los postawił tego człowieka na ich drodze. Z podziwem obserwowała, jak znakomicie sobie ze wszystkim

radził. Na przykład ułożył tak część bagaży, aby noga profesora znalazła oparcie i aby podróż do hotelu była dla chorego jak najmniej uciążliwa.

— Czy masz gdzie zatrzymać się w Paryżu? — zapytał profesor, nagle przechodząc od spraw wzniosłych do rzeczy najzupełniej banalnych.

— Jeszcze o tym nie myślałem — odrzekł z uśmiechem Pierre Beauvais. — Kiedy zawiozę państwa na miejsce, rozejrzę się za czymś dla siebie.

Profesor wykonał nieokreślony ruch ręką.

— Dlaczego nie miałbyś zatrzymać się w „Hotel des Champs”? — zapytał. — Nie ma tam wprawdzie luksusów, o czym nie muszę cię przekonywać, ale z pewnością jest czysto i dobrze dają jeść. Czegóż potrzeba więcej?

— Nie chciałbym państwu się narzucać — odparł Pierre Beauvais.

— Nie ma mowy o żadnym narzucaniu. Jesteś przecież jednym z nas i tylko to się liczy.

— Gdyby pan był na tyle uprzejmy i zechciał zarekomendować mnie nie tylko w hotelu, ale również w „La Revolte des Coeurs” — wtrącił Pierre Beauvais — byłbym panu dozgonnie wdzięczny.

Wprawdzie mówił do profesora, ale cały czas patrzył na Zazę, jakby chciał powiedzieć, że może zatrzymać się wszędzie, byleby tylko ona tam była.

Rozpakowując się w maleńkim pokoiku, którego okna wychodziły na ulicę Saint-Honore, Zaza pomyślała, iż jeszcze nigdy nie czuła się taka szczęśliwa. Być może sprawił to entuzjazm profesora i niezwykła atmosfera miasta, o którym od tak dawna marzyła, a może obecność Pierre'a Beauvais i świadomość, że w każdej chwili może liczyć na jego pomoc.

Musiała przyznać, że sposób, w jaki im tę pomoc okazywał, zrobił na niej duże wrażenie. Kiedy tylko powóz zatrzymał się przy hotelu, Pierre Beauvais natychmiast udał się na poszukiwanie odźwiernego, który pomógł mu wnieść profesora do jego pokoju, mieszczącego się na trzecim piętrze. Pokój był skromnie umeblowany, ale panowała w nim wzorowa czystość, a łóżko sprawiało wrażenie wygodnego.

— Jeśli wolno mi pani coś zaproponować, mademoiselle — rzekł Pierre Beauvais — to proszę pójść teraz do pokoju i rozpakować swoje rzeczy, a tymczasem ja pomogę profesorowi położyć się do łóżka. Postaram się również zdobyć w recepcji nazwisko i adres lekarza i albo sam go sprowadzę, albo pošlę kogoś z prośbą, aby zjawił się tu jak najszybciej.

— Czy jest pan pewien, że da sobie z tym wszystkim radę? — zapytała Zaza.

W tej chwili dotarło do niej, w jakiej niezręcznej sytuacji by się znalazła, gdyby sama musiała pomóc profesorowi rozebrać się i położyć. Była

przekonana, iż profesor, pamiętając kim naprawdę była, nigdy by się na to nie zgodził, co z pewnością wzbudziłoby podejrzenia obsługi hotelowej.

Tymczasem Pierre Beauvais zajął się profesorem, a Zaza poszła do swego pokoju, który znajdował się po drugiej stronie korytarza, i zaczęła rozpakowywać swój bagaż. Nigdy wcześniej sama się nie pakowała i teraz ze smutkiem stwierdziła, że wczoraj zrobiła to tak nieumiejętnie, iż większość sukienek wyglądała dosyć żałośnie. Poza tym okazało się, że zapomniała o wielu niezbędnych rzeczach. Z ulgą więc wyjęła z dna torby plik banknotów, które zabrała z pałacowego sejfu, i postanowiła jak najszybciej dowiedzieć się od Pierre'a Beauvais, ile zapłacił za powóz, i zwrócić mu napiwek, jaki wręczył woźnicy.

Nigdy nie miała do czynienia z pieniędzmi, nie wiedziała, ile co kosztuje, jaki się daje napiwek, ile powinna mieć przy sobie gotówki. Teraz obawiała się, iż jeśli zostawi pieniądze w pokoju, ktoś może je ukraść. Chciała porozmawiać o tym z profesorem, ale ponieważ był taki cierpiący, uznała, że nie powinna zwracać mu głowy. Kiedy zakończyła rozpakowywanie rzeczy i zastanawiała się, co jeszcze ma do zrobienia, usłyszała pukanie do drzwi.

— Kto tam? — zapytała.

— To ja, Pierre Beauvais.

Pośpiesznie podeszła do drzwi i otworzyła je.

— Profesor ma się nieźle i leży już w łóżku — oznajmił. — Posłałem również po lekarza, niestety nie wiem, kiedy się zjawi. Nie sadzę jednak, aby to było złamanie, chociaż noga w kostce jest bardzo spuchnięta.

— Skąd pan to może wiedzieć?

— Prawdę mówiąc, nie mam nic wspólnego z medycyną, ale widziałem wiele pęknięć i złamań i jestem prawie pewien, że pani stryj po prostu skrzył nogę. Wkrótce wszystko będzie dobrze. Zimne kompresy i odpoczynek to jedyny lek, jakiego mu w tej chwili potrzeba.

— Będzie mu przykro, że nie zobaczy się z przyjaciółmi.

— Myślę, iż chyba będą mogli go odwiedzić w pokoju.

— Oczywiście! — zawołała Zaza. — Dlaczego sama o tym nie pomyślałam? Może pan by się z nimi skontaktował. Właściciel hotelu albo ktoś z obsługi z pewnością wiedzą, kim oni są i gdzie ich znaleźć?

— Proszę zdać się na mnie — rzekł Pierre Beauvais. Mówił tak przekonywająco, że Zaza uczyniła to bez zastrzeżeń.

— Chciałabym gorąco panu podziękować za wszystko, co pan dla nas uczynił — powiedziała — i proszę, aby... przyjął pan pieniądze, które wydał pan na powóz i napiwki.

Poczuła się ogromnie niezręcznie i jej twarz nagle oblał rumieniec. Nigdy wcześniej nie rozmawiała z mężczyzną o pieniądzach i bardzo ją to wytrąciło z równowagi, chociaż nie miała właściwie pojęcia dlaczego?

Pierre Beauvais zdawał się także zakłopotany.

— To naprawdę drobiazg — odrzekł.

— Ale ja nie mogę pozwolić, aby pan płacił za nas... Mojemu stryjowi to również by się nie spodobało — zauważyła Zaza. — Nie ma sensu udawać, że jest pan zamożny, skoro zatrzymał się pan w takim tanim jak ten hotelu.

— Niczego nie udaję — odparł Pierre Beauvais. — Nie sądzi pani, iż powinienem raczej porozmawiać o tym z pani stryjem, kiedy poczuje się lepiej?

Zaza zbyt późno zrozumiała, iż jeśli chciała uchodzić za bratanicę profesora, jemu powinna zostawić wszystkie sprawy finansowe i że posiadanie przez nią własnych pieniędzy jest w tej sytuacji w najwyższym stopniu podejrzane.

Błyskawicznie jednak znalazła wytłumaczenie.

— Zdaję sobie sprawę — powiedziała — że kobiety, szczególnie wtedy, gdy są w towarzystwie mężczyzny, na ogół niewiele mają do czynienia z pieniędzmi. Ale profesor jest taki roztargniony, że często zapomina o przyziemnych sprawach. — Roześmiała się leciutko i mówiła dalej: — Bez przerwy zapomina o jedzeniu, a kiedy myśli o muzyce albo o swoim ukochanym symbolizmie, świat dla niego nie istnieje.

— Mogę to zrozumieć — wtrącił Pierre Beauvais — i wyobrażam sobie, że to spotkanie ma dla niego duże znaczenie.

— Ogromne! — przyznała Zaza. — Tak bardzo się cieszył z tej wyprawy do Paryża i że zobaczy przyjaciół. Jakie to byłoby smutne, gdyby musiał leżeć w łóżku.

— Proszę się nie martwić — wtrącił Pierre Beauvais — zajmę się wszystkim. Jeżeli tylko profesor zechce zejść na dół, natychmiast go tam zaniosę. Być może, będzie to nawet lepsze wyjście niż zapraszanie gości do jego pokoju. Przypuszczam, że brak by mu było muzyki, gwaru głosów, śmiechu i kawiarnianego gwaru, no i oczywiście dobrego jedzenia i wina.

— Pan tak doskonale wszystko rozumie — wtrąciła Zaza — tylko... niewielu ludzi... to potrafi.— W tej chwili pomyślała o swoim życiu w pałacu.

— Dlaczego tak pani mówi? — zdziwił się Pierre Beauvais. — Ci, którzy panią otaczają, z pewnością potrafią panią zrozumieć, mademoiselle Zaza, a przynajmniej o to się starają.

— To nie takie proste, jak się panu wydaje — odrzekła.

— Zastanawiam się — zmienił temat Pierre Beauvais — czy po tych wszystkich przejściach, jakie mamy za sobą, jest pani tak samo głodna jak ja.

Oczy Zazy wyraźnie ożywiły się.

— Rzeczywiście, jestem — przyznała — ale uważam, iż rozsądniej będzie poczekać na kolację.

— Z tego co przed chwilą powiedział pani stryj — rzekł Pierre Beauvais — zrozumiałem, że jego przyjaciół nie należy spodziewać się wcześniej niż o dziewiątej.

— Dopiero o dziewiątej! — z przerażeniem zawołała Zaza.

— W tej sytuacji uważam — ciągnął Pierre Beauvais — że przydałby się nam jakiś lekki posiłek, powiedzmy szklaneczka wina, omlet i filiżanka kawy. Później moglibyśmy już spokojnie czekać, aż profesor i jego przyjaciele zbiorą się w cafe.

— Myśli pan, że możemy to zrobić? — zapytała Zaza.

— Dlaczego nie? — odrzekł. — Wystarczy, że przyjmie pani moje zaproszenie.

Zaza nagle zdała sobie sprawę, iż z tego rodzaju zaproszeniem spotyka się po raz pierwszy w życiu. W pierwszej chwili myślała, że znalazłaby się sama w towarzystwie mężczyzny, którego dopiero co poznała i któremu tak naprawdę nie została nawet przedstawiona, była do tego stopnia oburzająca, iż chciała mu odmówić. To, co ten człowiek proponował, nie mieściło się jej po prostu w głowie. Natychmiast jednak uświadomiła sobie, ile w jej życiu się zmieniło. Przede wszystkim była wolna, wolna od konwenansów i etykiety dworskiej. Mogła robić to, na co miała ochotę. Podjęła decyzję.

— Bardzo panu dziękuję za zaproszenie! — powiedziała. — Z przyjemnością z niego skorzystam. Ale najpierw muszę zobaczyć się ze stryjem i poinformować go, jakie mamy plany.

— Będę więc czekał na panią na dole. Uśmiechnął się do niej i wyszedł z pokoju. Zaza czuła, jak jej serce mocno bije, jakby przerażone tym, na co się przed chwilą zdecydowała.

Kiedy wróciła do sypialni, wyjęła z torby pieniądze i zawinęła je w szyfonową chustkę, włożywszy uprzednio kilka banknotów do torebki. Następnie przeszła przez korytarz, zapukała do drzwi sypialni profesora i kiedy usłyszała głośnie „entrez”, weszła do środka.

Widok profesora leżącego w łóżku w koszuli nocnej nieco ją zaszokował. Nigdy wcześniej nie widziała mężczyzny w takim stroju, nawet własnego ojca, i pomyślała, że profesor wygląda bardzo dziwnie bez sztywnego białego kołnierzyka i czarnego krawata, w których niezmiennie go widywała od ponad dziesięciu lat.

— Że to się musiało zdarzyć, ma pńncessel — rzekł profesor, kiedy Zaza podeszła do niego. — Ale sam sobie jestem winien. Straszliwa ze mnie fajtłapa. Zaza roześmiała się.

— Skąd mógł pan wiedzieć, że tym pociągom przyjdzie do głowy zderzyć się ze sobą? Ale proszę się nie martwić. Kiedy pańscy przyjaciele zbiorą się już w kawiarni, monsieur Beauvais natychmiast zniesie pana na dół. Teraz niech pan wypoczywa i czeka, aż zjawi się doktor.

— Beauvais to bardzo miły, młody człowiek — zauważył profesor. — To idealny kandydat na symbohstę.

— Ponieważ nie ukrywam, że chętnie bym coś zjadła — dodała Zaza — monsieur Beauvais zaprosił mnie na małą przekąskę. Czy niczego panu nie trzeba?

— Ten młody człowiek o wszystko już się zatroszczył — odrzekł profesor. — Nie musisz się więc martwić o mnie. Idź i baw się dobrze. — Po chwili ciężko westchnął i dodał: — Tak bardzo chciałem ci pokazać Paryż i zobaczyć, jakie wrażenie wywrze na tobie moje ukochane miasto. Niestety, nic z tego nie będzie!

— Monsieur Beauvais twierdzi, iż po kilku dniach z pewnością pan dojdzie do siebie — starała się go pocieszyć Zaza. — Jestem przekonana, że zdąży pan pokazać mi jeszcze wiele interesujących rzeczy. Dobrze pan wie, jak bardzo mi zależy, aby właśnie z panem zwiedzać Paryż.

Widziała, jaką przyjemność sprawiły mu jej słowa. Po chwili profesor w milczeniu ujął jej dłoń i nie kryjąc wzruszenia, ucałował ją.

— Ty, księżniczko, i Paryż to dwa najpiękniejsze zjawiska na świecie, jakie dane mi było poznać — rzekł. — Dlatego właśnie tak bardzo chciałem zobaczyć cię tutaj.

— Nie wiedziałam, że jest pan takim poetą — z uśmiechem powiedziała Zaza. — Dziś wieczorem mam nadzieję usłyszeć wiele nowych poematów, których będę chciała nauczyć się na pamięć. Jestem taka szczęśliwa!

Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Wysoka temperatura, jaka o tej porze panowała w Paryżu, zaskoczyła ją. Było tu o wiele cieplej niż w Melhausen i drzewa, które widziała przez okno, zdawały się omdlewać w oczekiwaniu na deszcz. Pomimo to w powietrzu wyczuwało się coś, co działało ożywczo, jak podmuch wiatru czy dotyk mrozu w chłodny zimowy dzień.

— Jestem w Paryżu — powiedziała, jakby chcąc się upewnić, że to nie sen, że naprawdę dotarła wreszcie do wymarzonego celu podróży.

— Tak, to Paryż! — powtórzył za nią profesor. — Czuję się tak, jakbym po długiej tułaczce powrócił wreszcie do domu.

— Rozumiem pana doskonale — wyszeptała Zaza odwracając się do niego.
— Nie wychodzę na długo — dodała po chwili. — Mam nadzieję, iż nie jest panu przykro, że zostawiam pana samego?

— Ależ skąd — gorąco zaprzeczył profesor. — Baw się dobrze. Beauvais to miły człowiek i sędzę, że można mu zaufać.

— Jestem pewna, że można — potwierdziła Zaza. — Ale biorąc pod uwagę, iż nie wszystkim można ufać, przyniosłam tu moje pieniądze, aby były pod dobrą opieką, — Podała mu zawiniętą w szyfonową chusteczkę paczuszkę. — Proszę wsunąć to pod poduszkę — powiedziała. — Będzie tam z pewnością bezpieczna. Po powrocie zabiorę ją do siebie i pomyślę, gdzie ją ukryć, kiedy zejdziemy na spotkanie z pańskimi przyjaciółmi.

— Jesteś bardzo rozsądna — pochwalił Zazę profesor.

— Usiłuję wyobrazić sobie, co mama zrobiłaby na moim miejscu — odrzekła Zaza. — Zawsze uważałam, że Anglicy są bardzo rozważni i nie ulegają tak łatwo emocjom jak Francuzi.

— Są zimni, nieczuli i ograniczeni — błyskawicznie zareagował profesor.

— Podczas gdy Francuzi są pobudliwi, impulsywni i czasami bardzo rozpustni — zrewanżowała się Zaza.

Profesor już szykował się do riposty, ale Zaza nie dopuściła go do głosu.

— Powinien pan wypoczywać, a nie kłócić się ze mną. Niech pan zachowa swoje bons mots na wieczorne spotkanie z przyjaciółmi, a tymczasem proszę spróbować zasnąć!

— Jesteś dla mnie bardzo dobra, księżniczko — szepnął profesor. — Pan Bóg również, ponieważ sprawi, iż znaleźliśmy się wreszcie w Paryżu!

Rozdział trzeci

Siedząc w maleńkiej kawiarence Zaza pomyślała, że znaleźć się sam na sam z mężczyzną, to uczucie nie tylko niezwykle, ale również ogromnie ekscytujące. Jeszcze nigdy nie jadła posiłku w towarzystwie tylko jednej osoby, a co dopiero atrakcyjnego młodego człowieka, którego spojrzenia wprawiały ją w zakłopotanie, a jednocześnie tak bardzo podniecały.

Czuła się tak, jakby podświadomie czekała, że coś się wydarzy, chociaż zupełnie nie miała pojęcia, co mogłoby to być. Wiedziała, że wkracza na wiodącą w nieznaną drogę, pozostawiając za sobą wszystko, co dotychczas było dla niej zrozumiałe i bliskie.

Kiedy wczoraj szła korytarzem do pokoju muzycznego, nawet do głowy jej nie przyszło, że już niedługo ucieknie z pałacu, że dojdzie do kolizji pociągów podczas podróży i że w końcu znajdzie się w restauracji w towarzystwie mężczyzny, któremu nie została nawet formalnie przedstawiona.

Ponownie miała okazję się przekonać, jak bardzo Pierre Beauvais poczuł się w roli opiekuna, gdyż nie pytając jej nawet na co ma ochotę, zamówił dwa omlety z szynką, butelkę wina i kawę.

— Pani stryj zapewniał, że jedzenie w „Cafe des Champs” jest znakomite — powiedział. — Nie będziemy więc jedli zbyt wiele, aby wieczorem móc się o tym przekonać.

— Umarłabym z głodu, gdybym miała czekać do godziny dziewiątej — przyznała Zaza.

Sięgnęła po chrupiącą, świeżutką bułeczkę, która leżała przy jej talerzu i posmarowała ją masłem, nie mogąc się doczekać, kiedy przyniosą omlet.

— A teraz niech mi pani coś o sobie opowie — odezwał się Pierre Beauvais.

— Wolalabym, abyśmy raczej porozmawiali o ... panu.

— To niezbyt interesujące. Wszystko co pani dotyczy, jest znacznie ciekawsze.

— Nie rozumiem, co pan ma ... na myśli — zawahała się Zaza.

— Czy chce pani, abym mówił, jaka jest pani piękna?

Nie tyle słowa, ile sposób, w jaki je wypowiedział, sprawiły, że rumieniec oblał jej twarz. Spuściła wzrok, gorączkowo zastanawiając się, jak go powstrzymać od prawienia jej komplementów, choć jednocześnie pragnęła ich słuchać.

— Z trudem mogłem uwierzyć, że to nie sen — ciągnął Pierre Beauvais — kiedy ujrzałem, jak wychyla się pani z okna wagonu, prosząc o pomoc.

— Byłam zdenerwowana tym, co się przytrafiło mojemu... stryjowi.

— Bardzo mi przykro z tego powodu. Ale jednocześnie, gdyby się to nie stało, mógłbym przejść dalej, nawet nie podejrzewając, że ktoś tak wyjątkowy podróżuje wagonem drugiej klasy.

— Wprawia mnie pan... w zakłopotanie — zaprotestowała Zaza.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, po czym rzekł:

— To niesamowite, że moje tak bardzo wyważone komplementy wprawiają panią w zakłopotanie.

Zaza roześmiała się.

Ten człowiek nie ma pojęcia, pomyślała, że dotychczas nie miała zbyt wielu okazji, aby prawiono jej komplementy. Gdyby komukolwiek w pałacu przyszło do głowy przemówić do niej tak, jak to zrobił Pierre Beauvais, jej ojciec natychmiast kazałby straży wyrzucić go za drzwi.

— Skąd pani pochodzi? — zapytał.

Zaza zupełnie nie spodziewała się takiego pytania. Pomyślała, iż powinna była uzgodnić to z profesorem. Po chwili jednak doszła do wniosku, że kłamstwo nie miało w tym wypadku żadnego sensu. Przyjaciele profesora z pewnością wiedzą, że on mieszka w Melhausen. Poza tym nie było żadnego powodu, aby Pierre Beauvais miał w jakikolwiek sposób wiązać bratanicę profesora z najwyższymi sferami księstwa.

— Mój stryj mieszka w Melhausen — odpowiedziała.

— W Dome?

— Tak. Kiedyś był znanym muzykiem — ciągnęła, próbując zmienić temat rozmowy. — Dawał recitale w Paryżu i w wielu innych stolicach Europy.

Pierre Beauvais zmarszczył brwi, jakby usiłował coś sobie przypomnieć.

— Chce pani powiedzieć, że pani stryj to Francois Dumont?

— Tak.

— Teraz sobie przypominam. Słyszałem o nim, chociaż nigdy nie byłem na jego koncercie.

— Odnosił ogromne sukcesy za granicą — dodała Zaza. — Ale jego pasją stały się podróże. Zwiedził cały świat, dając czasami koncerty, a czasami spotykając się po prostu z ludźmi, którzy jak on kochają muzykę i poezję.

— Symbolizm to nie tylko poezja.

— Wiem, że obejmuje również i prozę — przyznała Zaza. — Mój stryj jest autorem dwóch książek.

— Koniecznie muszę je przeczytać.

— Niestety, od dawna nie były wznawiane.

— To może mógłbym je od pani pożyczyć?

— Nie mam ich ze sobą.

— W takim razie będzie pani musiała mi o nich opowiedzieć, abym w rozmowie z pani stryjem mógł mu pogratulować wiedzy.

— Nie powinien pan mówić czegoś, o czym nie jest pan w pełni przekonany — obruszyła się Zaza.

— Ależ ja już jestem przekonany, że to najwspanialszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Nie może być zresztą inaczej, skoro ma taką czarującą bratanicę.

Ponownie wprawił ją w zakłopotanie.

— Myślę... to chyba... niezbyt w porządku z pana strony... mówić do mnie w ten sposób — powiedziała z wahaniem.

— Niezbyt w porządku? — zdziwił się Pierre Beauvais. — Może to, co mówię, jest niekonwencjonalne, ale ale pani zalicza się przecież do entuzjastów symbolizmu, a symbolizm zwalcza wszystko, co konwencjonalne i stereotypowe, i wzywa do nieskrępowanego wyrażania uczuć. I ja właśnie to robię.

— Uważam ... że nie powinnam... panu na to ... pozwolić.

— Czy nie podoba się pani, że mówię prawdę?

— Nie o to chodzi, że mi się nie podoba ... ale to mnie po prostu ... krępuje.

— Zauważyłem, że tak jest, i muszę przyznać, że to najbardziej fascynująca rzecz, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła. — Po chwili milczenia powiedział jakby do siebie: — Zdążyłem już zapomnieć, że kobieta może się rumienić i zachowywać, jakby na świecie nie było ani zła, ani brzydoty.

— Mówi pan tak, jakby... coś panem wstrząsnęło lub raczej... wytrąciło z równowagi — z niepokojem powiedziała Zaza.

— Być może ma pani rację — rzekł — ale nie chcę o tym mówić. Wolę mówić o pani.

Zaza zastanawiała się, jak go odwieść od tego zamiaru, kiedy wniesiono omlety. Wyglądały tak apetycznie, a ona wprost umierała z głodu, tak że wykorzystując sytuację, w milczeniu pochyliła się nad talerzem.

— Jak zdążyłem się zorientować — po chwili odezwał się Pierre Beauvais — nigdy jeszcze nie była pani w Paryżu. Muszę więc panią przestrzec, aby pod żadnym pozorem nie chodziła pani sama po mieście.

Zaza spojrzała na niego z przerażeniem.

— Ale mój stryj, jak panu wiadomo, nie może dotrzymać mi towarzystwa.

— A więc będzie pani musiała pozostać z nim w hotelu, chyba że zgodzi się pani, abym zajął jego miejsce.

— To bardzo... uprzejme z pana strony — odpowiedziała Zaza — ale jestem pewna, że ma pan wiele innych... znacznie ciekawszych zajęć.

— Proszę mi wierzyć, iż marzę, aby pokazać pani Paryż.

— To byłoby cudownie! — zawołała. — Ale... może to... nie wypada.

— Nie wypada? — zdziwił się Pierre Beauvais. Zaza uświadomiła sobie, iż znów zapomniała, że nie jest księżniczką Marier-Celeste, lecz najzwyczajszą mademoiselle Dumont, i że w tej sytuacji śmiało może przyjąć towarzystwo mężczyzny, którego w dodatku zaakceptował jej opiekun. Chcąc chociaż częściowo naprawić swój błąd, powiedziała:

— Myślę, że... nie powinnam zajmować panu zbyt wiele czasu. Ale gdyby zechciał pan chociaż trochę pokazać mi Paryż, byłabym ogromnie... szczęśliwa.

— Tyle jest tu rzeczy do obejrzenia, że z pewnością zajmie to nam wiele czasu.

Zaza ciekawa była, jak by zareagował, gdyby mu powiedziała, iż wszystko zależy od tego, na jak długo wystarczy jej pieniędzy. Oczywiście nie mogła pozwolić na to, aby regulował za nią rachunki. Zdawała sobie jednak sprawę, że on z kolei z pewnością się nie zgodzi, aby płaciła za siebie. Pomyślała, że musi porozmawiać o tym z profesorem i że chciałaby, by zwrócił panu Beauvais wszystko, cokolwiek ten na nią wyda.

— Czym pani się martwi? — zapytał Pierre Beauvais.

— Skąd pan... wie, że się... martwię? — zdziwiła się Zaza.

— Pani oczy potrafią być pełne wyrazu, a przy tym takie tajemnicze — rzekł. — Jest coś, czego w pani nie rozumiem. Jednocześnie odnoszę wrażenie, że mogę czytać w pani myślach i wiedzieć, co pani czuje.

— Teraz dopiero mnie pan... zdenerwował! — zaprotestowała Zaza. — Nie życzę sobie, aby... ktokolwiek czytał w moich... myślach.

— Dlaczego?

— Ponieważ należą tylko... do mnie.

— Nie chcę, aby miała pani jakieś sekrety przede mną.

Powiedział to w taki sposób, iż poczuła, że musi jakoś zareagować.

— Jak pan może mówić coś podobnego — zapytała — skoro dopiero co poznaliśmy się.

— Nie widzę w tym nic niestosownego — zauważył Pierre Beauvais. — Przecież jako symbolistka musi pani wiedzieć, iż ważne jest nie to, jak długo się kogoś zna, lecz to, co się do niego czuje.

Po chwili wahania Zaza przyznała:

— Chyba ma pan rację.

— Oczywiście, że mam. Od pierwszej chwili, kiedy... ciebie ujrzałem, byłem pewien, iż jesteś kobietą, jakiej szukałem przez całe życie, choć nie wierzyłem, że istnieje.

Mówił prawie szeptem i Zaza czuła, że drży. Milczała jednak nie mogąc wykrztusić słowa i Pierre Beauvais, nie odrywając od niej oczu, ciągnął:

— Może spotkaliśmy się już w jakimś innym bycie, bo czuję, że od dawna cię znam, że twoje myśli są moimi myślami, a twoje uczucia moimi uczuciami.

Na te słowa jakieś dziwne wibracje zaczęły przenikać jej ciało tamując oddech.

— Jesteś taka piękna — mówił dalej Pierre Beauvais — tak doskonale i niewyobrażalnie piękna. Chciałbym zamknąć cię w szklanej klatce, aby oprócz mnie nikt nie mógł cię dotknąć. Jaki to dziwny zbieg okoliczności, że ze wszystkich miejsc na świecie za cel podróży wybrałaś właśnie Paryż.

— Nie... rozumiem, o czym... mówisz.

— Myślę, że rozumiesz — rzekł. — Ale teraz, ponieważ nie chciałbym, aby twój stryj pomyślał, iż go zaniedbujesz, proponuję, żebyśmy wracali już do hotelu.

Zaza chciała krzyknąć, że wcale nie pragnie stąd wychodzić. Woląca dalej go słuchać siedząc w tej maleńkiej, przytulnej kafejce, gdzie stoliki przykryte były serwetami w kratę i gdzie pod stopami czuło się zwykłą drewnianą podłogę. Nic jednak nie powiedziała. Zrezygnowała z deseru, i tylko wypła gorzką, mocną kawę, jakiej nigdy nie podawano w pałacu w Melhausen.

— Twój stryj spotyka się dziś wieczorem ze swoimi przyjaciółmi — odezwał się Pierre Beauvais, jakby nad czymś się zastanawiał. — Dotrzymamy mu towarzystwa podczas kolacji, ale później, biorąc pod uwagę długą podróż, którą masz za sobą oraz przeżycia związane z wypadkiem, uważam, że powinnaś pójść spać. Dzisiaj więc nigdzie cię już nie zaproszę. Ale jutro, być może, pójdziemy potańczyć.

— Potańczyć?

Oczy Zazy zaślniły. Czytała o takich miejscach w Paryżu, gdzie tańczy się na świeżym powietrzu. Wiedziała jednak, że profesorowi nie przyjdzie nawet do głowy, aby ją tam zaprowadził.

— Tak, potańczyć — powtórzył Pierre Beauvais. — Nie wątpię, że jesteś lekka jak puch, a ponieważ bardziej przypominasz bajeczne zjawisko niż istotę ludzką, twoje stopy z pewnością ledwie dotykają ziemi.

Zaza roześmiała się.

— Jaka to będzie kompromitacja, jeśli po tym wszystkim, co powiedziałeś, okaże się, że jestem ciężka jak kłoda.

— Powiem ci prawdę po pierwszym wspólnym tańcu — oznajmił śmiejąc się, jakby z góry wiedział, jaką wspaniałą będzie partnerką.

Nagle Zaza uświadomiła sobie, że w Paryżu tańczy się zupełnie inaczej niż w pałacu w Melhausen.

Od czasu gdy Zaza stała się na tyle dorosła, aby oficjalnie bywać w towarzystwie, ojciec wydał dwa bale, podczas których — z uwagi na jej pozycję — pozwolono jej tańczyć jedynie z najznamienitszymi arystokratami w Melhausen. Nie zrobili oni na niej najlepszego wrażenia. Wydawali się jej starzy i z pewnością nie byli dobrymi tancerzami.

Zmartwiła się więc teraz, iż nie ma pojęcia, jak tańczy się polkę, najpopularniejszy obecnie taniec wśród młodych mieszkańców Paryża.

— Obiecuję, że cię nauczę — powiedział po prostu Pierre Beauvais.

Zaza była przerażona: on rzeczywiście czytał w jej myślach.

— Mam wrażenie — ciągnął dalej — iż to wpływ profesora sprawił, że to co wiesz o muzyce, więcej ma wspólnego z klasyką niż ze współczesnością. Ale postaram się, byś nadrobiła te braki.

— Obawiam się, że jestem wielką ignorantką w tych sprawach — nieśmiało zauważyła Zaza.

— Jak dotychczas dowiodłaś zupełnie czegoś innego — odrzekł Pierre Beauvais.

Nie była pewna, co tak naprawdę miał na myśli, ale uznała to za komplement i w odpowiedzi uśmiechnęła się. Tymczasem Pierre Beauvais dopił wino i poprosił o rachunek.

Zaza ponownie pomyślała, czy mógł sobie pozwolić, aby płacić za nią, ale nie zaproponowała, iż pokryje swoją część rachunku. Wiedziała, że Pierre stanowczo by ten pomysł odrzucił. Jednocześnie uświadomiła sobie, iż gdyby nawet zaakceptował jej propozycję, to i tak nie wiedziałaby, o jaką kwotę chodzi.

Pierre Beauvais dał kelnerowi napiwek i ten kłaniając się nisko kilkakrotnie powtórzył:

— Merci, monsieur, merci beaucoup!

Zaza wstała od stolika i zabrała torebkę i rękawiczki, leżące na stojącym obok krześle, po czym obydwójce ruszyli do wyjścia, żegnani niskimi ukłonami właściciela lokalu. Kiedy wyszli na ulicę i Pierre Beauvais ujął ją pod ramię, Zaza poczuła, jakby przez jej ciało przebiegła iskra elektryczna. Pomyślała, że to dlatego, iż dotychczas nikt nie pozwolił sobie na taką wobec niej poufałość.

— Gdyby jakiś inny mężczyzna tak się zachował, czułabym z pewnością to samo — wmawiała w siebie, w głębi duszy jednak wiedziała, że się myli.

Do „Hotel des Champs” nie było zbyt daleko i kiedy po kilku minutach wchodzili do środka, odźwierny zwracając się do Zazy, powiedział:

— Jak to dobrze, że pani już wróciła, mademoiselle! Przed chwilą doktor poszedł do pokoju profesora.

— Dziękuję panu za wiadomość — rzekła Zaza i odwracając się do Pierre'a Beauvais, szepnęła: — Jestem ci ogromnie wdzięczna, że zabrałeś mnie do tej uroczej kafejki.

— Dobrze wiesz, że dla mnie była to prawdziwa przyjemność — odrzekł, patrząc na nią wymownie.

Zaza nie mogąc ukryć zmieszania, odwróciła się szybko i pobiegła schodami na górę. Po chwili zadyszana pukała do drzwi profesora. Kiedy weszła do środka, ujrzała mężczyznę w średnim wieku, który stał przy łóżku chorego. Po jego spojrzeniu widać było, że ogromne wrażenie wywarła na nim jej uroda.

— To moja bratanica — odezwał się profesor, po czym zwracając się do Zazy dodał: — Pozwól, moja droga, że przedstawię ci pana Sachet, który ma dla ciebie dobrą wiadomość.

— Noga pani stryja na szczęście nie jest złamana — rzekł doktor. — To tylko bolesne zwichnięcie w kostce. Przez kilka najbliższych dni chory musi leżeć. Jeśli się do tego zastosuje, wkrótce wszystko będzie w porządku.

— To bardzo smutne, że stryj nie może chodzić — zauważyła Zaza. — Tyle miał planów związanych z przyjazdem do Paryża.

— Najważniejsze, że tu jestem — rzekł profesor. — I chociaż bardzo cierpię, cieszę się, iż nie spotkało mnie nic gorszego.

— Dopilnuję, aby stryj zastosował się do pańskich zaleceń — obiecała Zaza.

Doktor uśmiechnął się do niej, jakby w ten sposób raz jeszcze chciał wyrazić uznanie dla jej urody, po czym odwrócił się, by pożegnać się ze swym pacjentem. I wtedy na stojącym obok stoliczku ujrzał małą buteleczkę z kroplami, którą jak Zaza przypuszczała, Pierre Beauvais wyjął z kieszeni profesora, kiedy kładł go do łóżka.

— Co to za krople? — zapytał doktor.

— To krople na serce — odrzekł szybko profesor.

— A więc ma pan kłopoty z sercem!

— Czasami serce zaczyna mi bardzo szybko bić, trudno mi oddychać i trochę mi słabo.

Doktor jeszcze raz spojrzął na krople i twarz jego nagle spoważniała.

— Niech pan nie lekceważy takich objawów — rzekł. — Jeśli wystąpią, proszę mnie niezwłocznie wezwać.

Spojrzął na Zazę.

— Niech pani pamięta, mademoiselle, serce potrafi być nieobliczalne i bardzo niebezpieczne, jeśli się je zaniedbuje.

— Mój stryj źle się czuł po wypadku — powiedziała Zaza — ale kiedy podałam mu te krople, natychmiast poczuł się lepiej.

— W takim razie zawsze powinien je mieć przy sobie — rzekł doktor. — Jeśli tylko będą jakieś problemy, mieszkam w pobliżu.

— Pan jest doprawdy bardzo miły. Z pewnością o niczym nie zapomnę — zapewniła go Zaza.

Doktor wyciągnął rękę.

— Do widzenia, profesorze. Pamiętam, że słuchałem pana gry, kiedy studiowałem jeszcze na Sorbonie. To było dla mnie niezapomniane przeżycie. Czuję się wtedy tak, jakby ktoś przeniósł mnie w inny świat, o którego istnieniu nie miałem nawet pojęcia.

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję! — powtarzał profesor. — To wielka dla mnie radość, że nie wszyscy jeszcze o mnie zapomnieli.

— Wielu pana pamięta, profesorze. Ale na ogół są to ludzie ze starszego pokolenia. Teraz młodzież nie fascynuje się muzyką klasyczną,

— To prawda — westchnął profesor. Doktor zwrócił się teraz do Zazy:

— Au revoir, mademoiselle. Czy pani również jest ;l pianistką?

— Jedyne amatorką. Ale bardzo lubię słuchać gry mojego stryja — odrzekła Zaza.

— Jestem przekonany, że przy tak pięknej słuchaczce, można zapomnieć, iż młodość dawno już ma się za sobą — z uśmiechem zauważył doktor. — Proszę mnie wezwać, jeśli tylko będę potrzebny, mademoiselle.

— Bardzo panu dziękuję, monsieur.

Zaza odprowadziła doktora do schodów, po czym wróciła do pokoju profesora.

— Tak mi przykro! Przez tyle dni będzie pan musiał pozostać w łóżku — powiedziała do niego ze smutkiem.

— Bardzo się bałem, że to złamanie i będę musiał chodzić w gipsie. Teraz kiedy znam prawdę, czuję się szczęśliwy, ponieważ mogło być znacznie gorzej.

— Ja również czuję się szczęśliwa — odrzekła Zaza. — Ale słyszał pan, profesorze, co powiedział doktor. Musi pan zgodzić się, aby monsieur Beauvais zniósł pana na dół, kiedy pańscy przyjaciele się tu zjawią

— Najważniejsze, że przyjdą. A to, jak do nich dotrę, nie ma dla mnie znaczenia. Dziś wieczorem czeka nas wielkie wydarzenie. Nareszcie, ma princesse, spotkasz wspaniałych, mądrych ludzi, ludzi szlachetnych, takich, którzy chcą walczyć o prawo i sprawiedliwość, a przede wszystkim o wolność!

Głos profesora grzmiał jak dzwon w maleńkim pokoju, ale Zaza go nie słuchała. Myślała o tym, jakie to szczęście, że jest przy niej Pierre Beauvais i że ona nie musi się o nic martwić.

Rozglądając się po „Cafe des Champs”, Zaza doszła do wniosku, iż wnętrze lokalu wygląda zupełnie inaczej, niż się spodziewała.

Oczekiwała, że cafe będzie czymś w rodzaju większej kawiarenki, do której wcześniej zaprosił ją Pierre Beauvais. W rzeczywistości okazało się, że to była mieszcząca się w suterenie hotelu ogromna zadymiona sala, o ścianach udekorowanych dosyć prymitywnymi rysunkami, które, jak Zaza przypuszczała, wyszły spod ręki impresjonistów. Stoliki nie były przykryte obrusami, a siedzący przy nich goście nie pasowali do jej wyobrażenia o Francuzach.

Większość gości stanowili mężczyźni. Zauważyła również kobiety, ale ich stroje były jakieś dziwne, a twarze wymalowane, co według Zazy wyglądało dosyć wulgarnie.

W rogu, w odległym końcu sali stał duży stół, wokół którego siedzieli przyjaciele profesora. Ich wygląd był jeszcze bardziej dziwaczny niż pozostałych gości. Prawie każdy miał na sobie pelerynę, a na głowie czarny pilśniowy kapelusz z szerokim rondem. Zaza obserwując ich zachowanie, doszła do wniosku, że nie byli to ludzie tak dobrze ułożeni, jak się spodziewała. Zdumiała ją to bardzo, ponieważ uważała profesora za człowieka wyjątkowo kulturalnego i pochodzącego z dobrej rodziny. Sądziła więc, iż jego przyjaciele będą przynajmniej tacy jak on. Tymczasem większość z nich wcale nie wyglądała na intelektualistów, a niektórych określiłaby nawet jako dosyć pospolite, a czasami wręcz wulgarnie indywidua. Niemniej jednak musiała przyznać, że powitali ją bardzo grzecznie i od razu zaakceptowali Pierre'a Beauvais, kiedy profesor przedstawił go jako swego przyjaciela i wybawcę.

Profesora usadowiono przy stole w takim miejscu, aby mógł swobodnie ułożyć chorą nogę na stojącym obok stołeczku. Pierre Beauvais zadbał nawet o to, aby przyniesiono kilka poduszek i podparto nimi siedzącego w fotelu profesora.

Wkrótce zamówiono jedzenie i wino, ale Zaza zauważyła, że część osób zdecydowała się wyłącznie na wino. Zaza całkowicie zdała się na wybór Pierre'a Beauvais i kiedy po dłuższym oczekiwaniu przyniesiono zamówione przez niego potrawy, uznała je za wyborne. Jednak profesor był tak pochłonięty rozmową że zanim zdążył cokolwiek zjeść, wszystko już dawno wystygło.

Początkowo mówił jedynie o przeszłości, o listach, które pisywali do siebie, oraz o łączącej ich przyjaźni, która, pomimo dzielącej ich odległości, nie tylko że nie osłabła, ale stała się jeszcze silniejsza.

W pewnej chwili jeden z mężczyzn odezwał się:

— Od czasu, kiedy tu ostatnio z nami byłeś, Dumont, dużo się zmieniło. My również żeśmy się zmienili.

— Jak to zmieniliście się? — zdumiał się profesor.

— Nie zajmujemy się wyłącznie poezją, prozą i muzyką. Zostawiliśmy to tym, którzy przychodzą do „Soleil d'Or”.

— Słusznie! — zauważył ktoś inny. — Mamy inne podejście do różnych spraw i dlatego teraz tu się spotykamy.

Zaza była zaskoczona. Profesor tyle jej opowiadał o „Soleil d'Or”, kawiarni przy placu Saint-Michel, o tym, jak to wszystko się zaczęło, gdy poeta Leon Deschamps, założył czasopismo literackie pod nazwą „La Plume”. W każdą sobotę w cafe organizowane były spotkania, podczas których współpracujący z pismem literaci recytowali swoje poematy lub czytali artykuły, entuzjastycznie przyjmowane przez stałych bywalców kawiarni.

Zaza marzyła o tym, aby zobaczyć „Soleil d'Or”, i spodziewała się, że kiedy przyjadą do Paryża, profesor ją tam zabierze. Z ogromnym więc rozczarowaniem przyjęła wiadomość, że spotkanie z jego przyjaciółmi odbędzie się w „Cafe des Champs”. Teraz wszystko zrozumiała. Miała tylko nadzieję, że profesor nie będzie zawiedziony.

— W liście, który otrzymałem od ciebie dwa dni temu, nie było ani słowa o powodach odejścia z „Soleil d'Or” — zauważył profesor.

— Odeszliśmy stamtąd, ponieważ nie interesują nas sprawy, którymi oni się zajmują.

— Dlaczego? — zapytał profesor.

Mężczyzna, do którego skierowane było to pytanie, rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje i odrzekł:

— Nie podobały się nam plany przeprowadzania zmian pokojowymi metodami. Dlatego właśnie postanowiliśmy odejść i sami działać!

Profesor ściągnął brwi i po chwili ponownie zapytał:

— Co masz na myśli?

— Uważamy, że tylko wojna może przynieść postęp.

— Tyle razy już o tym mówiliśmy — odezwał się profesor. — Wszyscy pragniemy wolności. Wszyscy jesteśmy również przekonani, że nasze poglądy są zwalczane przez klasę, która sprawuje w kraju władzę i która nie chce wprowadzić żadnych zmian akceptowanych przez burżuazję.

Jego słowa spotkały się z gwałtowną reakcją słuchaczy.

— Burżuazja! To nasi wrogowie! Trzeba ich zniszczyć wszystkimi dostępnymi środkami!

Profesor wyprostował się nagle.

— Jak to zniszczyć? — zapytał.

— Musimy się od nich uwolnić. Z naszego gadania nic nie wynika. Czas więc przystąpić do czynu.

Profesor pokręcił głową.

— Jesteście w gorącej wodzie kąpani. Rozumiem, że macie prawo czuć się sfrustrowani. Zgadzam się, iż powinniśmy bardziej zdecydowanie walczyć o nasze przekonania i ideały, ale...

— Rzeczywiście bardziej zdecydowanie! — odezwał się inny głos. — Przekona się pan, profesorze, iż w tym wypadku nic nie jest tak skuteczne jak nóż czy bomba.

Zaza poczuła, że drży.

Przerażały ją nie tylko słowa, ale i agresywny ton ich wypowiedzi. Miała wrażenie, iż profesor, tak bardzo wierzący w swoje ideały, zupełnie nie zdaje sobie sprawy, do czego ci ludzie dążą.

Spojrzała na Pierre'a Beauvais, który z uwagą wszystkiemu się przysłuchiwał. Ciekawa była, co o tym myślał. Ona sama miała chaos w głowie i nie bardzo rozumiała, o co toczy się ten spór. Nie było w tym zresztą nic dziwnego, biorąc pod uwagę, iż nigdy przedtem z tego typu ludźmi nie miała do czynienia.

Powoli zaczęła sobie przypominać, co mówiło się w Melhausen o zamieszkach we Francji oraz o zamachu pewnego młodego fanatyka, który wrzucił butelkę ze stężonym kwasem siarkowym do pomieszczeń Giełdy Paryskiej i oddał trzy strzały z pistoletu, nie raniąc na szczęście nikogo. Gazety w Melhausen donosiły, że to był człowiek niezrównoważony psychicznie i że nie należy traktować go poważnie.

Zaza przypomniła sobie również, iż w grudniu ubiegłego roku miał miejsce zamach terrorystyczny w gmachu parlamentu francuskiego. Wielu deputowanych brało akurat udział w debacie, kiedy o godzinie czwartej po południu z galerii dla publiczności rzucono bombę, która eksplodując w powietrzu, zasypała obradujących gradem śmiertelnie ostrych kawałków metalu. Gazety donosiły, że wielu deputowanych i osób postronnych odniosło rany od calowej długości gwoździ, ale że ofiar śmiertelnych nie było. Obrady zostały wznowione po dwudziestu minutach, kiedy opatrzone rannych i przywrócono porządek.

Zaza czytała, że sprawca tego zamachu, August Vaillant, został wkrótce ujęty. Był to młody człowiek, który w swoim życiu zdążył już doświadczyć wielu rozczarowań i poniżeń.

August Vaillant przyznał, że chciał uderzyć w Parlament, gdyż, za rosnącą w kraju nędzę winą obciążał rząd. Oświadczył, iż jego zamach był „krzykiem rozpaczny tych, którzy domagają się dla siebie praw i już wkrótce przejdą od słów do czynów”.

Zaza przypominała sobie nie tylko zamieszczone w prasie reportaże z procesu, ale również to, że skazanie człowieka na śmierć, pomimo iż on sam nie zabił nikogo, uważała wówczas za niesprawiedliwe. Wyrok uznała za pomyłkę sądową, i powiedziała o tym profesorowi, chociaż nie ośmieliła się powtórzyć tego samego ojcu, który z pewnością miał na ten temat zupełnie odmienne zdanie; Profesor przyznał wtedy, że wyrok był zbyt surowy.

Skazany zachował się bardzo dzielnie i kiedy prowadzono go na miejsce kaźni, zawołał: „Śmierć burżujom, niech żyje anarchia!” Oddał swoje życie za sprawę i Zaza potrafiła zrozumieć, że przyjaciele profesora nie mogli się z tą śmiercią pogodzić, i że chcieli zmienić prawo lub ludzi, którzy to prawo stanowili. Jednocześnie myślała, że ograniczą się jedynie do dyskusji o akcjach terrorystycznych, ale tak naprawdę nigdy ich w czyn nie wprowadzą.

Tymczasem profesor słuchał jednego z przyjaciół, który relacjonował mu to, o czym niebezpiecznie było pisać w listach.

— Nie tylko my uważamy, że coś musi się stać, i to stać jak najszybciej! — mówił mężczyzna.

— Czy dużo was jest? — zapytał profesor.

— Zbyt długo mieszkaleś w Melhausen — odrzekł mężczyzna. — Takich grup jak nasza jest teraz przynajmniej setka i wszystkie są gotowe do czynu.

Profesor zdawał się zaskoczony tą wiadomością.

— Paryżanie są tak zastraszeni — z satysfakcją gnął mężczyzna — że wielu właścicieli domów publicznie ogłasza, iż nie wynajmuje mieszkań ani sędziom, ani policjantom! — Roześmiał się, ale ten śmiech zabrzmiał dziwnie złowrogo.

— Czy chcecie powiedzieć, że wydajecie wojnę wszystkiemu, co ma jakikolwiek związek z władzą? — zapytał profesor.

— Właśnie! — zauważył ktoś inny. — Tylko przez niszczenie obecnych struktur państwa zbudujemy nowe państwo, już bez udziału burżujów.

— To niemożliwe! — zawołał profesor.

— Dlaczego?

Przez chwilę zapanowało kłopotliwe milczenie, po czym mężczyzna odparł:

— Być może nigdy pan nie słyszał, profesorze, co powiedział Emile Henry, kiedy został oskarżony o rzucenie bomby do lokalu „Café Terminus” w pobliżu dworca Saint-Lazare.

Profesor zmarszczył brwi, jakby coś sobie przypomniał.

— Czy to było wtedy, gdy rany odniosło dwadzieścia osób?

— Tak, Poza tym Emile Henry przyznał się do skonstruowania bomby, która zabiła pięć osób na posterunku przy rue des Enfants.

— Powtórz profesorowi, co on powiedział przed sądem — niecierpliwiał się jakiś głos.

Mężczyzna przyciszonym niskim głosem wyrecytował:

— „Nie chcemy ani waszej litości, ani miłosierdzia. Pójdziemy naprzód aż do zwycięstwa. Doprowadzimy do rewolucji, która obejmie swoim zasięgiem cały świat i przyniesie mu wolność.” — Po chwili milczenia dodał: — Dysponujemy maszynami, na których drukujemy gazety i ulotki instruujące naszych czytelników, jak poprzez akcję zbrojną obalić panujący polityczno-społeczny system.

— Jak tego mają dokonać? — nieco cynicznie zapytał profesor.

— Otrzymują instrukcje nie tylko o tym, jak walczyć, ale również jak produkować bomby domowym sposobem.

— Jeśli skonstruują je i użyją, czeka ich gilotyna! — z irytacją zawołał profesor.

— Tylko wtedy, jeśli zostaną złapani!

— Tak, oczywiście. Ale chcę wam powiedzieć, że czytałem ostatnio, chociaż nie sądzę, aby to miało bezpośredni związek z wami, iż rząd zdecydowany jest zamknąć wszystkie rewolucyjne kluby i podjąć surowe działania przeciwko każdemu, kto w jakikolwiek sposób powiązany jest z tym, co uważa się za anarchizm.

— Władza zaczyna wpadać w panikę — rzucił ktoś triumfalnie. — Dowiedziałem się, że wszyscy ministrowie są w nieustannym strachu o własne życie.

Zaza czuła się zakłopotana. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie przyjaciół profesora. Zastanawiała się, czy on również był zaskoczony ich wypowiedziami.

Tyle razy rozmawiali o tym, ile piękna i ekspresji jest w poezji i muzyce symbolistów i jakie wzniosłe ideały się w nich zawierają. A tu mówiono o terroryzmie, którego ofiarą padają w większości niewinni ludzie, którzy zajmują się swoimi zwykłymi sprawami i z ich działalnością na pewno nie mieli nic wspólnego.

Zaległa cisza. Po chwili profesor z pewnym wahaniem powiedział:

— Oczywiście chcemy uwolnić świat. Co do tego wszyscy jesteśmy zgodni. Nie sądzę jednak, aby można było to osiągnąć waszymi metodami.

Równie dobrze mógł w tej chwili sam rzucić między nich bombę, pomyślała Zaza. Wybuchła niesamowita wrzawa. Wszyscy naraz zaczęli mówić o tym, czego dokonali, z satysfakcją podkreślając, iż władza jest przerażona, a nawet zaczyna wpadać w panikę. Kiedy się trochę uspokoili, profesor oznajmił:

— Wciąż uważam, że to nie jest droga, która może nas zaprowadzić do celu. Jej jedynym efektem będą represje, a wielu z was skończy w więzieniu.

— Nie, nie, mylisz się! — krzyczeli jeden przez drugiego i znowu wszyscy naraz zaczęli go przekonywać, że nie ma racji.

Spotkanie trwało już ponad godzinę i Pierre Beauvais dał sygnał do rozejścia się.

— Uważam — odezwał się spokojnym, ale jednocześnie zdecydowanym głosem, kiedy dyskutanci zaczęli napełniać swe kieliszki, — że profesor powinien udać się na spoczynek. Ma za sobą długi dzień, doznał urazu i wciąż jest cierpiący. Jestem pewien, że tę niezwykle interesującą dyskusję z powodzeniem można przesunąć na jutro.

W pierwszej chwili wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem. Przez cały wieczór nie odezwał się ani słowem i Zaza podejrzewała, że uznano go za milczka. Teraz, czując, iż powinna go poprzeć, szybko dodała:

— Pan Beauvais ma rację. Mój stryj jest rzeczywiście zmęczony. Doktor zalecił mu wypoczynek i sądzę, że byłby bardzo niezadowolony, gdyby wiedział, gdzie o tej porze przebywa jego pacjent.

— Ma pan bardzo ładniutką pielęgniarkę, profesorze! — zauważył jeden z gości i wszyscy się roześmiali,

Pierre wraz z jednym z gości zanieśli profesora do jego pokoju, który chociaż sprawiał wrażenie zmęczonego, wciąż miał ochotę do dyskusji.

— Oni się mylą absolutnie się mylą! — powtarzał z uporem.

— Powie im pan to jutro — odrzekł Pierre. — Teraz powinien pan zasnąć, a więc im szybciej położymy pana do łóżka, tym lepiej dla pana.

Spojrzał wymownie na Zazę i dziewczyna zrozumiała, że chce, aby wyszła z pokoju.

Podeszła więc do profesora i powiedziała:

— Dobranoc, stryju Francois. Dziękuję za bardzo ciekawy i ekscytujący wieczór.

— Rzeczywiście ekscytujący — mruknął zirytowany profesor.

Zaza uśmiechnęła się do niego i wyszła. Kiedy znalazła się w swoim pokoju i zaczęła się rozbierać, pomyślała, iż nigdy jeszcze nie była w takim niezwykłym towarzystwie. Nigdy też nie przypuszczała, że kolacja w Paryżu tak właśnie będzie wyglądała.

— Czyżby przyjaciele profesora mówili serio? — po raz kolejny zadawała sobie pytanie. Nic nie mogła na to poradzić, iż słuchając tej dyskusji o rzucaniu bomb i mordowaniu burżujów, chciała wierzyć, że to tylko słowa. Porównywała ich do młodych żołnierzy, którzy przechwalają się, ilu zabijają wrogów, gdy tylko wybuchnie wojna. Nawet teraz przypominając sobie, jak ci ludzie rozmawiali o tych strasznych rzeczach, Zaza zadrżała z przerażenia. Po raz pierwszy dotarło do niej, iż symboliści, których tak bardzo chciała poznać, byli po prostu anarchistami!

To wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, ale nie tylko profesor związał się z tymi ludźmi. W pewnym sensie dotyczyło to również i jej. Nagle poraziła ją myśl, że gdyby ci anarchiści dowiedzieli się, kim ona naprawdę jest, jej życie mogłoby znaleźć się w niebezpieczeństwie.

Kiedy cztery lata temu, w roku 1890, dokonano zamachów na życie króla Włoch, cesarza Niemiec, króla Hiszpanii oraz cara Rosji, błąd strach padł na wszystkie dwory królewskie w Europie.

Zaza pamiętała, jakie środki ostrożności podejmował jej ojciec, ilekroć wraz z matką opuszczali pałac. Na dworze w Melhausen co najmniej przez rok nie mówiło się o niczym innym, jak tylko o anarchistach i zagrożeniu, jakim byli dla koronowanych głów. Z czasem wszystko zaczęło wracać do normy i chociaż niebezpieczeństwo nie całkiem minęło, monarchowie mogli już spać znacznie spokojniej. Jednak teraz działania terrorystów wymierzone były w klasę średnią.

„Anarchizm!”, szepnęła do siebie Zaza i nagle ogarnął ją lęk. Drgnęła, słysząc nieoczekiwane pukanie.

— Kto... tam? — zapytała drżącym głosem.

— To ja, Pierre.

Zaza poczuła, jak serce zaczyna jej mocniej bić, ale to nie strach był tego przyczyną.

— Co się stało? — zapytała, otwierając drzwi.

— Chciałem tylko powiedzieć, że z profesorem wszystko w porządku. Zasnął, zanim zdążyliśmy go rozebrać.

— Dziękuję... bardzo dziękuję... jest pan doprawdy wspaniały.

Zaległo milczenie i Zaza pomyślała, iż Pierre Beauvais już odszedł, ale po chwili usłyszała:

— Zobaczymy się jutro. Czy zechce pani zjeść ze mną śniadanie?

— Śniadanie?

— Na dole, ale nie tam, gdzie byliśmy dziś wieczorem, lecz w restauracji na parterze. Czy możemy się tam spotkać, powiedzmy o wpół do dziewiątej? A może woli pani, aby to było później?

— Wpół do dziewiątej to bardzo dobra... pora — odrzekła Zaza.

— Będę czekał. Bonsoir, mademoiselle.

— Dobranoc, monsieur, i jeszcze raz... bardzo, bardzo dziękuję!

Czekała, aż ucichną jego kroki na korytarzu. Kiedy już była gotowa do snu, nagle przestała się bać. Jej serce zdawało się śpiewać ze szczęścia. Jutro znowu się z nim zobaczy!

Rozdział czwarty

Zaza stojąc w cieniu rozłożystego drzewa czuła, że upał z każdą chwilą staje się coraz bardziej nie do zniesienia. Czując nagły powiew wiatru, zdjęła z głowy kapelusz i zwróciła twarz ku Pierre'owi.

Jej jedyny kapelusz, jaki zabrała ze sobą do Paryża, nie był, jej zdaniem, wystarczająco elegancki na spotkanie z Pierre'em Beauvais, musiała się jednak na niego zdecydować. Był to ten sam maleńki kapelusz słomkowy z niebieskimi wstążkami, który miała na głowie w czasie podróży. Do tego dosyć skromnego nakrycia głowy za najstosowniejszą uznała różową suknię z muślinu. I kiedy tak ubrana wyszła z Pierre'em na ulicę, nagle jakby pod wpływem jakiegoś impulsu, zatrzymała się przed pierwszym straganem z kwiatami.

— Wybacz mi, proszę, że sam na to nie wpadłem — rzekł Pierre — ale miałem zamiar kupić ci kwiaty w drodze powrotnej do hotelu.

— W tej chwili potrzebny mi tylko jeden kwiat — z uśmiechem odrzekła Zaza.

Był zaskoczony, ale kiedy sięgnęła po portmonetkę, aby zapłacić, stanowczo zaprotestował. Wybrała jeszcze nie w pełni rozwiniętą blad różową różę i korzystając z odbicia w szybie wystawowej, przypięła ją do rąka kapelusza.

— Wspaniale — z uznaniem powiedział Pierre.

Zaza musiała przyznać, że efekt był rzeczywiście doskonały, i poczuła się tak, jakby nieoczekiwanie stała się częścią tego pięknego miasta. Teraz położyła kapelusz na znajdującym się tuż obok parapecie, pozwalając, aby wiatr chłodził jej czoło i rozwiewał włosy. Pomyślała, iż nareszcie czuje się wolna i nie musi liczyć się z żadnymi konwenansami.

Rano była tak podekscytowana, że natychmiast po przywitaniu się z profesorem zbiegła schodami na dół, gdzie w maleńkiej restauracji czekał już na nią Pierre. To tu stołowała się większość gości hotelowych, ale również i inne przypadkowe osoby, którym nie odpowiadała zatłoczona kawiarnia w podziemiach.

Wewnątrz poza nimi siedziały tylko dwie osoby i Zaza, rumieniąc się lekko, pomyślała, jakie to romantyczne siedzieć przy stoliku sam na sam z mężczyzną bez obawy, że ktoś usłyszy ich rozmowę. Ciekawa była, co też powiedziałyby hrabina Gluckburg, gdyby ją teraz mogła zobaczyć,

— Dzisiaj — odezwał się Pierre Beauvais — mam zamiar pokazać ci Paryż. A ponieważ pogoda nam dopisała, proponuję zacząć od spaceru po mieście.

— To dobry pomysł — przyznała Zaza. — Bardzo bym chciała zobaczyć Paryż barona Haussmanna*. Dzięki niemu stolica Francji, jak czytałam, należy do najpiękniejszych urbanistycznych kompleksów w Europie.

* Prefekt Departamentu Sekwany, który na polecenie Napoleona III w latach 1852-1856 przeprowadził wielką urbanistyczną przebudowę Paryża. (Przyp. tłum.)

— To prawda — rzekł Pierre Beauvais. — I jako Francuz jestem z tego bardzo dumny.

— Ja również jestem Francuzką — zauważyła Zaza, a kiedy spojrzał na nią z niedowierzaniem, pospiesznie dodała: — Oczywiście w mojej krwi jest również domieszka innych narodowości, ale dziś chcę o sobie myśleć jedynie jako o części „la Belle France”.

— I to wyjątkowo pięknej części! — cicho powiedział Pierre i Zaza ponownie poczuła zakłopotanie.

Trasa, jaką wybrał Pierre, należała do jednej z piękniejszych w Paryżu. Szli wzdłuż rue de Rivoli, przy ogrodach Tuileries, aby w końcu, po nie kończących się zachwytach nad placem de la Concorde, znaleźć się nad brzegiem Sekwany.

— Czy możemy się zatrzymać? — zapytała Zaza. — Chciałabym popatrzeć na rzekę, o której tyle słyszałam.

Teraz Sekwana wyglądała jak mieniąca się w słońcu złota wstęga. Była szersza i bardziej majestatyczna, niż Zaza przypuszczała, i oczywiście bardziej urzekająca. Wspaniałe budowle po obydwu jej stronach, liczne mosty łączące brzegi, wyładowane towarami barki wolno przesuwane po wodzie, wszystko wyglądało jak sen.

— To takie piękne... nieprawdopodobnie piękne! — powtarzała z zachwytem.

— Ja też tak uważam — rzekł Pierre, ale wcale nie patrzył na rzekę. Jego oczy zwrócone były w zupełnie inną stronę. Po chwili milczenia odezwał się: — Powiedz mi, co myślisz o wczorajszym wieczorze.

Zaza już wcześniej się spodziewała tego pytania. Jakiś czas milczała, po czym z wahaniem, jakby ważąc każde słowo, odrzekła:

— Nie był taki, jak się spodziewałam.

— A czego się spodziewałaś?

— Że jego przyjaciele będą tacy sami jak prof... to znaczy mój stryj — odpowiedziała — że to idealisci, uważający, że ich sztuka może zmienić świat.

— Świetnie to ujęłaś — wtrącił Pierre Beauvais.

— Ale... wczoraj wieczorem... — Zaza nagle urwała.

— Chciałbym usłyszeć, co o tym sądzisz — nalegał.

— Chyba nie mówili poważnie... nie uważasz?

— Sam chciałbym to wiedzieć.

— Uważam, że zachowywali się jakoś dziwnie teatralnie. Listy, jakie przysyłali do stryja Francois, były pisane w zupełnie innym tonie.

— A o czym pisali?

— Oczywiście o symbolizmie oraz o tym, jak bardzo pragną uwolnić się od burżuazji. Ale nigdy nie było w nich nawet najmniejszej wzmianki, iż... chcieliby wejść... na drogę... przemocy. — Zaza widziała, że Pierre Beauvais słucha jej bardzo uważnie. Umilkła na chwilę, jakby ważyła to, co ma powiedzieć, po czym dodała: — Stryj pokazywał mi te listy. We wszystkich były wezwania do powrotu do tajemniczości, marzeń i symboli w poezji.

— Bo tak właśnie należy rozumieć symbolizm — rzekł Pierre Beauvais.

— Zawsze... uważałam — mówiła dalej Zaza — że jego... istotą jest niepodawanie... dokładnych wyjaśnień... a tylko pewne sugestie... budzenie określonych uczuć... tak jak czyni to muzyka.

— Masz rację — rzekł Pierre Beauvais. — Liczy się symbol, a nie sam przedmiot.

— Jak to możliwe — nie mogła się pogodzić Zaza — aby tak szybko ulotniły się wzniosłe ideały, ustępując miejsca... przemocy? — Wykonała nieokreślony ruch ręką i dodała: — Czy możesz sobie wyobrazić, aby mój stryj chciał kogoś zabić, a co dopiero kogoś, kogo zupełnie nie zna? — Widząc, że Pierre milczy, zapytała: — Ty chyba nie sadzisz, że oni mówili... poważnie?

— Tego jeszcze nie wiem — odrzekł Pierre. — Podobnie jak ty, też jestem zaszokowany tym, co usłyszałem. Ale oczywiście może to tylko jakiś idiotyczny popis słowny.

— Z pewnością tak jest... tak musi być! — Zaza leciutko westchnęła. — Jestem bardzo... rozczarowana.

— Dlaczego?

— Ponieważ oczekiwałam, że będę słuchać wspaniałej muzyki i zachwycać się wierszami recytowanymi przez najlepszych poetów francuskich, takich jak chociażby Mallarme.

Pierre Beauvais patrząc na nią, z uśmiechem powiedział:

— Zapomnij na chwilę o wielkiej poezji i posłuchaj czegoś, co zapewne zrozumiesz bez trudu. — Podniósł do góry wzrok i zaczął mówić przytłumionym głosem:

Bóg stworzył świat i wszystko dokoła Słońce, księżyc, tęczę I twoją urzekającą twarz.

Zaza. wyglądała na zaskoczoną. Po pewnej chwili zapytała:

— Czy... to ty napisałeś?

— Tak, napisałem to ostatniej nocy specjalnie dla ciebie.

Zarumieniła się, ale kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał prawie naturalnie:

— Myślę, że to... całkiem... dobre.

— I do tego prawdziwe.

— Bardzo mi... pochlebia, że napisałeś... ten wiersz specjalnie dla mnie. Nikt dotychczas tego... nie uczynił.

— Musiałaś więc chyba być zamknięta gdzieś w wieży, skoro pomimo zainteresowań twego stryja miałaś tak mały kontakt z poetami.

W pałacu rzeczywiście nie było ich zbyt wielu, pomyślała Zaza. Pomyśl, że ktoś z otoczenia jej ojca mógłby pisać wiersze, wydał się tak absurdalny, że mimo woli uśmiechnęła się, co widząc Pierre Beauvais zapytał:

— Co cię tak rozbawiło? Mam nadzieję, że nie moje nieudolne wysiłki, aby wyrazić to, co czuję.

— Nie, oczywiście, że nie — pospiesznie zaprzeczyła Zaza. — Pomyślałam, jak bardzo moje życie w Paryżu... różni się od tego... jakie wiodłam... w Melhausen.

— Czyżbyś nie zawsze mieszkała ze swoim stryjem? — zapytał Pierre.

— Nie, również z innymi... krewnymi.

— Pewnie byli zupełnie inni niż profesor.

— O tak, zupełnie inni — przyznała. — Nie rozumieli ani poezji, ani muzyki, ani nie pozwalali mieć własnego zdania.

— A więc musiałaś sama sobie radzić?

— Dużo zawdzięczam mojemu stryjowi.

— Teraz zaczynam rozumieć to, co do tej pory tak bardzo mnie intrygowało — rzekł Pierre Beauvais.

Zaza obawiała się, że Pierre zacznie wypytywać o jej dom, nie poprosiła go więc, aby wyjaśnił, co miał na myśli. Szybko więc powiedziała:

— Próbowałam pisać wiersze, ale doszłam do wniosku, że łatwiej mi wyrazić to, co czuję, kiedy gram na fortepianie.

— Bardzo bym chciał usłyszeć, jak grasz.

— Powinieneś raczej posłuchać mojego stryja. To wspaniałe muzyk.

— Chciałbym posłuchać tego, co ty chcesz wyrazić swoją grą.

Zaza pomyślała, że mogłoby to dla niej okazać się niebezpieczne i odwróciwszy od niego twarz, spojrzała na Sekwanę. Widok był tak fascynujący, iż nie miała wątpliwości, że na zawsze pozostanie w jej sercu. Kiedy powróci już do pałacu i poczuje się samotna i nieszczęśliwa, będzie mogła przywołać z pamięci ten obraz oraz uczucia z nim związane.

— Jesteś smutna — zauważył Pierre Beauvais. — Czy coś się stało?

— Nie chciałabym... o tym... mówić — szybko odparła Zaza.

— Dlaczego? — zapytał. — Myślę, że skoro już tyle o sobie wiemy, powinniśmy rozmawiać o wszystkim. Nawet o tym, co czujesz, kiedy twoje oczy zdają się smutne, a usta drżą.

Było coś tak wyjątkowo serdecznego w sposobie, w jaki to powiedział, że Zaza nagle poczuła neodpartą chęć, aby mu o wszystkim powiedzieć. Miała wrażenie, że potrafiłby ją zrozumieć, gdyby się przyznała, że uciekła, ponieważ choć na chwilę chciała się wyrwać ze swojej złotej klatki, że czuła lęk przed przyszłością ponieważ zmuszano ją do małżeństwa z księciem, którego nigdy wcześniej nie widziała, i przeniesienia się z Melhausen do innego pałacu, skąd nie będzie już ucieczki.

Natychmiast jednak pomyślała, iż gdyby powiedziała mu prawdę, mógłby dojść do wniosku, że jego obowiązkiem jest zganić profesora za to, co się stało.

Pierre Beauvais może i wyglądał jak poeta, może był nawet symbolistą, ale jego zachowanie jak dotąd było tak nienaganne, iż nawet jej ojciec czy hrabina Glucksburg nie mogliby mu nic zarzucić. Zabronił jej samej spacerować po ulicach Paryża i by nie czuła się zażenowana, sam zajął się profesorem, gdy trzeba było położyć go do łóżka.

Wprawdzie byli na kolacji tylko we dwoje, a nawet zaprosił ją na tańce, ale czuła, iż nie miał niczego złego na myśli. Z pewnością nie zaproponowałby jej jakiegoś nieprzyzwoitego lokalu, o których słyszała, że istnieją na Montmartrze. Spodziewała się raczej, iż wybierze jakąś elegancką restaurację w pobliżu Pól Elizejskich. A może go źle oceniała. Jednak, dokąd nie będzie go całkiem pewna, postanowiła, że nie ujawni mu swojej tajemnicy.

Głos Pierre'a Beauvais gwałtownie przerwał jej myśli.

— Jesteś taka śliczna, kiedy promienie słońca tańczą w twoich włosach — rzekł. — Chciałbym napisać o tym poemat, ale zdaję sobie sprawę, iż poeta, który by temu zadaniu sprostał, musi dopiero się narodzić.

— Jeśli dłużej będę ciebie słuchała, z pewnością stanę się bardzo próżna — ze śmiechem odrzekła Zaza. — Myślę, że to urok Paryża tak na ciebie podziałał, a nie moja skromna osoba.

— To nieprawda i ty o tym dobrze wiesz — odrzekł Pierre Beauvais. — Ale zanim jakoś wszystko sobie poukładam, chciałbym jeszcze tyle się o tobie dowiedzieć. Czy ktoś cię już kiedyś... całował?

To pytanie bardzo Zazę zaskoczyło i kiedy zastanawiała się, co ma na to odpowiedzieć, jego twarz nagle znalazła się tuż obok jej twarzy. Nigdy jeszcze

nie znalazła się w takiej sytuacji i nigdy jeszcze tak bardzo nie odczuwała bliskości mężczyzny.

Z trudem zbierając myśli, wykrztusiła:

— Sądzę, monsieur, że nic pana... nie upoważnia do zadawania mi... takich... pytań!

— Nie musi pani nic mówić i tak znam odpowiedź — odrzekł. — Dlatego właśnie pragnę, tak jak dotychczas niczego na świecie, być tym, kto uczyni to pierwszy.

Zaza już otwierała usta, aby mu odpowiedzieć, że nikomu na to nie pozwoli, gdy jego oczy sprawiły, iż nie była w stanie się poruszyć. Nie wiedziała, jak to się stało, ale nagle wydało jej się, że na całym świecie istnieje tylko słońce i on. Wszystko poza tym przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, zniknęło po prostu z jej życia. Jej ojciec, pałac, ona jako księżniczka, wszystko odpłynęło gdzieś w nicość. Były tylko oczy Pierre'a i zniewalająca świadomość, że nie ma już dla niej ratunku. Chciała coś powiedzieć, gdzieś uciekać, ale jednocześnie chciała pozostać. Czowała przyspieszone bicie swego serca, lecz zdawało się jej, że nie może oddychać i że cały świat zamiera w bezruchu.

Nagle, jak zdarza się to w poezji czy w muzyce, w sposób tak naturalny jak ruch wody w płynącej w dole rzece, czy powietrza, którym oddychali, jego ramiona objęły ją, a usta znalazły drogę do jej ust. Przez chwilę Zaza zupełnie straciła poczucie rzeczywistości. Nie była nawet pewna, czy to, co się stało, nie jest tylko wytworem jej wyobraźni.

Poczuła, jak fala ciepła biegnie przez jej ciało, obmywa piersi, dociera do krtani i staje się częścią ich warg. I już nie byli dwojgiem ludzi, ale jednością. Nie potrafiła tego sobie wytłumaczyć. Ogarnęło ją dziwne uniesienie, jakby ją przeszył płomień tak silny i gorący jak samo słońce... Słyszała muzykę, która zdała się brzmieć zarówno w powietrzu, jak i w jej sercu, jakby jej źródłem był zarówno świat widzialny, jak i ten istniejący gdzieś poza zasięgiem zmysłów, w krainie wyobraźni.

Doznanie było tak cudowne i zachwycające, że miała wrażenie, iż umarła i znalazła się w niebie. Jednocześnie nigdy jeszcze nie czuła w sobie tyle życia. Istniała i oddychała jak liście na drzewie, poruszane muśnięciami wiatru, jak sam Paryż wreszcie. Czowała, że wargi Pierre'a stają się coraz bardziej zachłanne i pożądliwe. Coś wewnątrz niej drżało w odpowiedzi na jego wezwanie, powodując, iż z każdą chwilą stawali się sobie coraz bardziej bliscy nie tylko ciałem, ale i duszą.

To była miłość! Miłość, za którą bezwiednie zawsze tęskniła. Nie chciała wyjść za mąż bez miłości, ponieważ czuła, że miłość jest samym życiem.

Pierre podniósł głowę i Zaza, jakby nagle wyrwana z cudownego snu, nie mogąc zrozumieć, co się z nią dzieje, usiłowała protestować, po czym bezradnie wtuliła twarz w jego ramiona.

— Mój skarbie! Moja najdroższa! — powtarzał.— Przez całą noc nie byłem w stanie zmrużyć oka, ponieważ wciąż myślałem o tobie.

Dreszcz przeszedł jej ciało i Pierre tuląc ją do siebie ze wzruszeniem powiedział:

— Czyż może być lepsza forma niż poezja, aby przedstawić to, co się czuje?
— Milczał chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym tak zaczął mówić:

Poranek, który budzi świat do życia, Miękkość warg, które całuję, Tęcza i krople rosy, Wszystko, czego szukałem od lat, Znalazłem w twoim sercu.

Zaza wstrzymała oddech. Poruszyły ją nie tylko słowa Pierre'a, Ton jego głosu sprawił, iż zdało się jej, że słyszy niebiańską muzykę. Jego oczy wciąż były utkwione w jej twarzy.

— To wszystko prawda — rzekł. — Ale zdaję sobie sprawę Jak trudno wyrazić w słowach twoją doskonałość i nieziemską urodę. — Mówiąc to uniósł jej twarz ku sobie. — Jestem jednak w błędzie — dodał po chwili, patrząc na nią z zachwytem. — Nie wystarczy powiedzieć, że jesteś piękna. Ty jesteś po prostu pięknem samym w sobie! O, moja ukochana, jak to możliwe, że aż do tej pory nie wiedziałem o twoim istnieniu?

I znowu zaczął ją całować z taką pasją i pożądaniem, aż rozpalony w niej płomień, powoli zaczął ogarniać całe jej ciało, aby w końcu dotarłszy do ust, połączyć się z płomieniem jego warg. Czują, że ziemia zostaje gdzieś w dole, a oni unoszą się do nieba otoczeni aureolą słonecznego blasku.

— Kocham cię! — powiedział Pierre.

Ale Zazie się zdawało, iż jego głos dobiega gdzieś z bardzo daleka, tak że z trudem tylko rozróżniała słowa. W pewnej chwili Pierre wypuścił ją z ramion i Zaza, nagle tracąc oparcie, o mało nie upadła.

— Tracę przez ciebie głowę — głucho powiedział, i jego głos w niczym już nie przypominał tego, który słyszała nie tak dawno. Stał do niej tyłem i oparłszy się o balustradę, patrzył na płynącą w dole Sekwanę.

Zaza wyciągnęła ręce, z trudem łapiąc równowagę. Tak nagle została sprowadzona na ziemię, że teraz potrzebowała czasu, aby pozbierać myśli. Wiedziała tylko jedno, że znowu chce być blisko niego i, że czuje się nieszczęśliwa, ponieważ on tak nagle się zmienił, jakby mu już na niej nie zależało.

— Co się... stało? Czy zrobiłam coś... złego? — zapytała.

— Nic się nie stało.

— Czy poczułeś się... zawiedziony, kiedy... mnie pocałowałeś?

Odwrócił się do niej i Zaza dostrzegła w jego oczach coś jakby cień smutku.

— Zawiedziony? — powtórzył. — Jak coś takiego mogło ci przyjść do głowy? Nigdy nawet nie przypuszczałem i przysięgam, że mówię prawdę, iż pocałunek może być taki cudowny, taki porywający i tak bardzo się różnić od wszystkiego, co dotychczas przeżyłem.

Nieco uspokojona powiedziała:

— Przestraszyłam się, że chcesz ode mnie odejść,

— Kiedy chciałem cię pocałować — rzekł — myślałem tylko o sobie i o tym, że bardzo cię pragnę. Nagle przeraziłem się, iż mogę cię skrzywdzić.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, iż uważasz, że to stało się zbyt szybko i że jestem... lekkomyślna?

Gdy z trudem wymówiła to słowo Pierre znowu ją objął i mocno przytulił do siebie.

— Ależ skąd! — zaprotestował. — Dla mnie zawsze będziesz czysta i niewinna jak anioł. Nie, to nie to jest powodem mojego smutku, najdroższa. Martwi mnie po prostu, że nie mogę ci niczego ofiarować poza moją miłością.

— Nie chcę... niczego więcej — pospiesznie dodała Zaza.

— W tej chwili być może tak — odrzekł Pierre — ponieważ teraz żyjemy terażniejszością. Ale niestety, bez względu na to, co o tym sądzymy, istnieje coś takiego jak „jutro” i „przyszłość”.

— Nie myślmy teraz o... jutrze — szybko powiedziała Zaza. — Chcę cieszyć się dniem dzisiejszym, nie myśleć o przyszłości.

Mimo to wiedziała, że przyszłość, jak przysłowiowy miecz Damoklesa, wciąż wisi nad jej głową. Kiedyś przecież musi wrócić do Melhausen i stanąć twarzą w twarz ze swoim ojcem i księciem Aristidem.

Odniosła wrażenie, że jej słowa przyniosły Pierre'owi ulgę. Przytulił ją mocno do siebie, jakby w odpowiedzi na niemą prośbę jej oczu i ust.

— A więc cieszymy się dniem dzisiejszym, najdroższa — rzekł. — Jeśli o mnie chodzi, nie śmiem prosić o nic więcej.

Zaczął ją znowu całować z tą samą co przedtem żarliwością. Jednak teraz w jego pocałunkach Zaza wyczuła coś, czego nie zauważyła uprzednio. To było tak, jakby się śpieszył, aby wykorzystać każdą podarowaną im przez los chwilę, wiedząc, że to nie może trwać wiecznie i że, choćby nie wiem jak się przed tym bronili, „jutro” przyjdzie nieuchronnie.

W jakiś czas potem siedzieli na tarasie maleńkiej restauracyjki, znajdującej się przy bocznej ulicy, gdzie ruch nie był zbyt wielki. Czekali na zamówiony

przez Pierre'a lunch. Białoczerwone markizy skutecznie chroniły ich przed żarem słonecznym, a lekki wietrzyk poruszając liśćmi rosnących po obydwu stronach ulicy drzew, pomagał zapomnieć o zmęczeniu.

Pierre wybrał swoje ulubione potrawy, których, o czym nie omieszka! powiedzieć Zazie, nigdzie nie przyrządzano tak dobrze, jak właśnie w tej restauracji. Do tego zamówił wspaniałe, złociste wino i Zaza pijąc je pomyślała, że wygląda i smakuje, jakby ktoś uwięził w nim słońce. Ale być może sprawiły to wpatrzone w nią oczy Pierre'a i samo powietrze, które zdawało się mienić, pulsować i lśnić, jakby w nim było życie.

— A może powinnam już... wrócić do hotelu i... zobaczyć, czy ze stryjem wszystko w porządku — niepewnie odezwała się Zaza.

— Nie musisz się martwić — odrzekł Pierre. — Widziałem się z nim przed wyjściem i uprzedziłem, że mam zamiar zabrać cię na lunch.

— I nie miał nic przeciwko temu? — zapytała Zaza.

— Myślę, że był raczej zadowolony — odrzekł Pierre. — Wspomniał, że zastanawia się, co powinien powiedzieć swoim przyjaciołom, kiedy ponownie zbiorą się dziś wieczorem, i że potrzebuje jeszcze wiele rzeczy przemyśleć.

— Cóż może więcej zrobić, poza wezwaniem ich do rozsądku? Mam tylko nadzieję, iż to, że nie okazali się j tacy, jak tego oczekiwał, specjalnie go nie rozczarowało.

— Coś mi się zdaje, że rozczarowanych było więcej — wtrącił Pierre. — Wśród siedzących przy stole zauważyłem trzech mężczyzn w wieku twojego stryja;

którym poglądy panów Laurenta i Boisseau z pewnością, nie przypadły do gustu.

— Tak, rzeczywiście, ci dwaj wywarli na mnie dosyć odpychające wrażenie — przyznała Zaza. — Nie wyobrażam sobie, aby to mogli być poeci.

— Bardzo bym chciał przeczytać ich wiersze — mruknął Pierre.

— Uważam, że stryj Francois powinien namówić swoich przyjaciół, aby każdy z nich głośno coś zarecytował, tak jak to zawsze robili w „Cafe du Soleil d'Or” — powiedziała Zaza. — W ten sposób będziemy mogli się przekonać, czy są symbolistami, za jakich się podają, czy raczej...

Urwała nagle i wtedy Pierre zapytał:

— A kim oni są według ciebie? Strasznie jestem ciekaw, jakie masz na ten temat zdanie.

— Z początku nie wiedziałam, co o nich myśleć, ale kiedy zaczęli gloryfikować człowieka, który miesiąc temu został zgilotynowany, nabrałam podejrzenia, że są to... anarchiści.

Ostatnie słowo Zaza wymówiła prawie szeptem, taki budziło w niej lęk. Przypomniła sobie, jak jej ojciec czytając o zamachu na życie króla Włoch, powiedział:

— Te bestie zabiją nas wszystkich! Nie ma co do tego wątpliwości, prędzej czy później zamordują nas jak Aleksandra II.

— To nie anarchiści zamordowali cara Aleksandra — spokojnie oświadczyła wielka księżna.

Zaza była bardzo dumna, że w głosie matki nie wyczuła nawet cienia hysterii, czego nie można było powiedzieć o ojcu.

— Wiem, że to zrobili nihiliści — sucho oznajmił wielki książę. — Ale jeżeli się ginie od bomby, jakie to ma znaczenie, za kogo uważa się zamachowiec.

To była prawda i Zaza nie mogła zapomnieć przerażenia w oczach ojca. Jakie to poniżające, pomyślała wtedy, że mężczyzna o takiej wspaniałej prezencji, taki dumny i pewny siebie, szczyjący się tak znakomitym pochodzeniem i pozycją społeczną, może jednocześnie tak bardzo drżeć o swoje życie. Zaza niejednokrotnie słyszała, jakie niezwykle środki ostrożności podejmował, ilekroć opuszczał pałac. Natomiast jej matka zawsze potrafiła zachować zimną krew. I jeśli nawet czasami się bała, nigdy nie dała tego po sobie poznać.

— Czy ty się, mamó, naprawdę nie boisz? — zapytała kiedyś Zaza, słysząc o kolejnym zamachu na głowę koronowaną.

— Zaczynam myśleć, iż jestem fatalistką — odrzekła wielka księżna. — Jeśli Bóg zechce, abyśmy zginęli, zginiemy i mam tylko nadzieję, że uczynimy to z godnością.

Zaza spojrzała na matkę z uwielbieniem.

— Jestem pewna, że ty, mamó, potrafisz tego dokonać.

Wielka księżna rzeczywiście umarła z godnością, chociaż nie stało się to za sprawą ręki zamachowca. Umierała długo i w wielkim cierpieniu, zaatakowana przez raka, chorobę, na którą nie było ratunku.

Teraz, patrząc na Pierre'a, Zaza zapytała:

— Czy Paryżanie są naprawdę tak zastraszeni, jak wczoraj mówili ci mężczyźni?

— Rzeczywiście, można zauważyć pewne objawy paniki — odrzekł Pierre — a policja i rząd też w jakimś sensie jej ulegają.

— Czy wiele było zamachów od czasu stracenia Emila Henry?

— Dwa wybuchy były w marcu — odrzekł Pierre — i jeden z anarchistów wyleciał w powietrze podczas próby zdetonowania ładunku w kościele Św. Magdaleny.

— Można by powiedzieć, że sprawiedliwości stało się zadość! — zawołała Zaza. — Jak mógł się dopuścić zamachu na kościół! Trudno uwierzyć, aby chodziło mu o wymierzenie ciosu w burżuazję.

— Jeśli dłużej będziemy rozmawiać o bombach i zamachach — zauważył Pierre — zaczniesz się naprawdę obawiać o swoje bezpieczeństwo. Ale ponieważ jak mi wiadomo, nie masz nic wspólnego ani z rodziną królewską, ani z burżuazją, możesz być, najdroższa, zupełnie spokojna.

Zaza ciekawa była, co by powiedział, gdyby znał prawdę. Jednak uśmiechnęła się tylko i wtedy Pierre dodał:

— Żaden normalny mężczyzna nie mógłby zranić kogoś tak pięknego jak ty. Poza tym chciałbym cię zapewnić, iż w razie potrzeby, potrafię cię obronić.

Skończyli jeść lunch i Pierre oparłszy ręce na stole wpatrywał się w twarz Zazy.

— Chciałbym tak na ciebie patrzeć i patrzeć bez końca. Uwielbiam sposób, w jaki się uśmiechasz, i drżenie powiek, kiedy się rumienisz. Wyglądasz wtedy tak zniewalająco i tak nieziemsko pięknie, że za każdym razem, gdy to widzę, czuję, iż coraz bardziej cię kocham.

Zaza bezradnie rozłożyła ręce.

— Jak to się stało? Jak mogliśmy... to poczuć... tak szybko?

— Dla zakochanych czas nie ma znaczenia — odrzekł Pierre. — Miłość przychodzi w jednej chwili jak błyskawica czy strzała wypuszczona z łuku Kupidyna, która bezbłędnie trafia w czyjeś serce. — Uśmiechnął się i dodał: — To właśnie przytrafiło mi się wczoraj, kiedy ujrzałem twoją twarz w oknie wagonu. To było ucieleśnienie wszystkich moich ideałów i wyobrażeń o pięknie i poezji.

— A co właściwie tam robiłeś? — zapytała Zaza. — Jakoś wcześniej nie przyszło mi do głowy, aby cię o to zapytać.

— To proste — odparł. — Byłem w tym drugim pociągu, który uderzył w twój. Teraz uważam, że to Amor podjął tak dramatyczną decyzję, aby nas ze sobą połączyć.

— Bardzo kosztowną dla kolei! — zauważyła ze śmiechem Zaza.

— Ale wspaniałą dla nas — odrzekł Pierre.

Nie mówił już nic więcej, tylko znowu patrzył na nią z uwielbieniem, aż w końcu Zaza zasłoniła się przed nim rękami.

— Jeśli będziesz tak na mnie patrzył — powiedziała — dostrzeżesz zbyt dużo wad, rozczarujesz się, a ja będę musiała odejść i nigdy już więcej ciebie nie zobaczę.

— Jeśli to zrobisz — rzekł Pierre — co stałoby się; ze mną?

W jego głosie było coś, czego Zaza nie zrozumiała. Po chwili z wahaniem, jakby słowa z trudem przechodziły jej przez gardło, cicho odezwała się:

— Chciałabym dłużej tu zostać i rozmawiać z tobą, ale myślę, że powinniśmy już wracać.

— Dlaczego?

— Martwię się o stryja.

— Jestem pewien, że potrafi być szczęśliwy bez ciebie. Poza tym nie sądzę, aby chociaż przez sekund potrzebował ciebie bardziej niż ja. — Pierre wyciągnął ręce w stronę Zazy. — Tak bardzo cię pragnę! Czyżbyś w głębi serca nie czuła, że jesteśmy dla siebie stworzeni? — Wahala się chwilę, po czym wsunawszy ręce w jego dłonie, mocno je ścisnęła. — Odpowiedz mi — nalegał Pierre.

— Kocham... cię! — wyszeptała Zaza — chociaż wciąż nie mogę uwierzyć, że to naprawdę się wydarzyło.

— I będziesz moja, tak jak tego pragnę?

Przez ułamek sekundy Zaza pomyślała o swoim ojcu i swojej pozycji jako księżniczki Marie-Celeste. Ale już po chwili zapomniała o wszystkim. Była świadoma jedynie przebiegających przez jej ciało cudownych prądów, ponieważ on jej dotykał, ponieważ czuła jego wzrok na swoich ustach tak sugestywny, jakby ją już całował.

A on wciąż czekał na to, co powie, i po chwili Zaza powiedziała ledwie dosłyszalnym szeptem:

— Jestem... twoja.

Ujrzała błysk szczęścia w jego oczach i twarz nagle mu pojaśniała.

— O mój skarbie, moja ukochana! — rzekł. — Tak bardzo chciałem to usłyszeć. Wiem, że jesteś moja i jestem pewien, że w dziesiątkach innych wcieleń już od początku świata należałaś do mnie. Tak bardzo pragnę, abyś i ty była tego pewna.

— Ja jestem... pewna — szepnęła Zaza. — Ale to wszystko wcale nie jest takie... proste.

Jej myśli plątały się i nie bardzo wiedziała, czego on tak naprawdę od niej żąda. Jednak przez cały czas gdzieś w podświadomości tkwiło w niej przekonanie o istnieniu leżącej między nimi bariery urodzenia i klasy społecznej.

Była księżniczką, wychowaną w przeświadczeniu, że różni się od zwykłych ludzi, że ma inne niż oni prawa i inne też obowiązki.

Jedną z zasadniczych różnic pomiędzy nią i dziewczętami w jej wieku polegała na tym, iż ona, dla dobra kraju, musi wyjść za męża za człowieka, którego dla niej wybrano; one natomiast za tego, którego kochają. W jej życiu nie było miejsca na miłość. Chyba że po ślubie zakocha się we własnym mężu i zdobędzie jego wzajemność.

Zaza wiedziała, iż czasami się to zdarzało. Jej rodzice byli ze sobą szczęśliwi. Kiedy Zaza stała się na tyle dorosła, aby myśleć o nich nie jak o rodzicach, ale po prostu jak o zwykłych ludziach, z łatwością dostrzegła, że ojciec jest bardzo zakochany w matce i że uważa ją za wyjątkowo atrakcyjną kobietę. Gdy jednak chodziło o matkę, Zaza miała już pewne wątpliwości. Oczywiście, matka zawsze okazywała mu ogromną tkliwość i przywiązanie, szczególnie, kiedy znajdowali się w gronie rodzinnym. Jednak czasami w jej oczach Zaza widziała jakiś dziwny smutek, jakby była gdzieś daleko, w świecie, do którego nikt nie miał dostępu. Po jej śmierci Zaza często się zastanawiała, czy matka nie kochała kogoś bez pamięci. I nie była pewna, czy tą osobą był jej ojciec.

Nie pozna już odpowiedzi na to pytanie i nigdy już nie porozmawia z matką o miłości.

Z poezji, o której często dyskutowała z profesorem, i książek, po które sięgała za jego radą, wiedziała, że to, czego najbardziej pragnęła, to Miłość, i że można ją wyrażać na tysiące sposobów. Słyszała ją w muzyce profesora, kiedy grał na fortepianie lub na skrzypcach i czuła w sercu, gdy tęskniła za wolnością. To poszukiwanie miłości skłoniło ją do ucieczki z pałacu w którym zaczynała się dusić.

Teraz, patrząc na Pierre'a, wiedziała, że to za nim tęskniła. Od dawna czuła, że on istnieje, że gdzieś na nią czeka i że musi go odnaleźć. To dzięki niemu poznała to uczucie tak wspaniałe i cudowne, które ogarnęło ją niczym tornado. Zdawało się jej, że unosi się na skrzydłach i nigdy jeszcze nie czuła się taka szczęśliwa i wolna.

Nagle Pierre ściskając mocno jej palce powiedział:

— Odeszłaś gdzieś daleko ode mnie. Boję się, że mogę cię utracić. Wracaj, Zazo! Wracaj do mnie!

Roześmiała się lekko.

— Jestem tutaj.

— Chcę, abyś należała do mnie cała— rzekł— nie tylko ciałem, bardzo pięknym zresztą, ale i duszą która usiłuje uciec przede mną tak jak to się stało przed chwilą.

— Skąd... o tym wiesz? — zapytała z lękiem.

— Czyżbyś zapomniała, że należysz do mnie i że wszystko o tobie wiem?

— Wszystko? — zawołała.

— Wszystko, co najistotniejsze — odrzekł. — Jestem w stanie zajrzeć nie tylko do twojej duszy, aby się przekonać, że jest pod każdym względem doskonała, ale również do twego serca, które bije trochę mocniej, ponieważ jesteśmy razem. Zaza, jak to możliwe, abyśmy mogli żyć bez siebie?

— Ja chcę... być z tobą — wyszeptała. Dobrze wiedziała, że to niemożliwe, ale trzymała się go tak rozpaczliwie, jakby był liną ratunkową, która musi ją utrzymać nad wzburzonym morzem.

Kiedy w drodze powrotnej Pierre poprowadził ją maleńkimi bocznymi uliczkami i uroczymi pasażami, dzięki czemu nie wiadomo kiedy znaleźli się przed „Hotel des Champs”, Zaza powiedziała sobie, iż jeszcze nigdy nie czuła się taka szczęśliwa. Nietrudno to było nawet dostrzec, ponieważ dosłownie promieniowała szczęściem.

W pewnej chwili Pierre patrząc na nią rzekł:

— Podobno każda kobieta, kiedy się zakocha, jest piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Boję się, iż będę ci musiał zapewnić policyjną ochronę.

Zaza śmiejąc się, powiedziała:

— Być może powinni mnie chronić przed... tobą!

— Nie byłbym tym zachwycony — rzekł Pierre. — Ale to dziwne: myślę, iż jedyną osobą, która niczego nie zauważy, będzie twój stryj.

— Stryj Francois ma wystarczająco dużo kłopotów ze swoimi przyjaciółmi. Sądzę, że martwi się tym, co usłyszał wczoraj wieczorem. Czy mógłbyś go jakoś podnieść na duchu?

Pierre wzruszył ramionami.

— Nie bardzo wiem, co mógłbym powiedzieć. Myślę, że Lauret i Boisseau to osobnicy, z którymi prawdziwi symboliści nie powinni mieć nic wspólnego. Ale jeśli odważyłbym się otwarcie ich skrytykować, z pewnością wyrzucono by mnie z „La Revolte des Coeurs”.

— A więc, lepiej nie mów nic! — szybko dodała Zaza. — Gdyby tak się stało, moglibyśmy mieć kłopoty z widywaniem się, a tego bym nie zniosła.

— Ani ja — przyznał Pierre. Chwilę milczał, po czym dodał: — Sądzę, że lepiej będzie, jeśli spokojnie poczekamy na rozwój wypadków.

— Jestem pewna, że stryj Francois wpłynie na nie, aby nie zrobili jakiegoś głupstwa — zapewniła Zaza.

— Wydaje mi się, iż kiedyś rzeczywiście się z nim liczyli — wtrącił Pierre — ale zbyt długo go tu nie było. Szkoda tylko, że „Les Coeurs” opuścili „Cafe du Soleil d'Or”.

— To prawda — przyznała Zaza. — Tak bardzo bym chciała tam pójść. Jestem przekonana, iż jest tam dużo sympatyczniej niż w „Cafe des Champs”.

— Powiem ci, co zrobię — rzekł Pierre. — Powtórzę twojemu stryjowi, że chciałabyś wieczorem posłuchać trochę poezji i muzyki. Jestem pewien, że z przyjemnością zagra na skrzypcach, przynajmniej przed tymi, którzy oprócz umiejętności konstruowania bomb domowym sposobem, mają jakieś inne uzdolnienia i potrzeby.

Zaza krzyknęła z przerażeniem:

— Nie... błagam... nawet nie mów takich... rzeczy.

— Przepraszam — pospiesznie dodał Pierre, biorąc Zazę w ramiona. — Ja tylko żartowałem. Jak już powiedziałem, nikt nie ośmieli się rzucić na ciebie bomby, mój skarbie. A gdyby nawet, to potrafię cię obronić.

Wyglądało na to, że nie traktował poważnie jej obaw, i Zaza pomyślała, że zupełnie nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo te obawy były uzasadnione. Te liczne przed czterema laty zamachy na panujących w Europie nie mogły nie zostawić trwałych śladów w świadomości młodzieńczej dziewczyny.

Zaza prawie już o tym zapomniała, ale teraz wszystko znowu odżyło. Wczorajsze spotkanie anarchistów bardzo ją przerażyło. Przypomniała sobie ojca strach, atmosferę napięcia w pałacu i to, jak ona i jej siostra za każdym razem na widok tłumu zastanawiały się, czy gdzieś wśród tych ludzi nie ma człowieka, który chce je zabić, tylko dlatego że należą do rodziny królewskiej.

Ale przez ostatnie trzy lata Zaza nigdy nie myślała o swoim bezpieczeństwie. Nigdy też nie wyobrażała sobie, że ktoś mógłby chcieć jej śmierci tylko dlatego, że była księżniczką. Dopiero teraz poczuła niepokój.

— Moje biedactwo, oni rzeczywiście wystraszyli cię tą beznadziejną gadaniną. Porozmawiam z twoim stryjem i powiem mu, że jeśli nie jest w stanie przekonać swych przyjaciół, zabiorę cię gdzieś na kolację i nie będziesz musiała słuchać tych bzdur.

— Uważasz, że to... bzdury? — zapytała Zaza.

— Jestem tego pewien! — dodał uspokajająco Pierre Beauvais. — Anarchia po prostu staje się modna, tak jak podczas ostatnich kilku lat pamasizm, symbolizm, kabalistyka, instrumentalizm, czy dziesiątki innych ruchów, które

po przeżyciu krótkotrwałej popularności popadły w zapomnienie, ilekroć na horyzoncie pojawiała się nowa moda.

Zaza spojrzała na niego z podziwem.

— Jestem... głupia, a ty jesteś bardzo... mądry — szepnęła.

— Czy nie lepiej użyć określenia „kobieca”. Mnie ono bardzo odpowiada. Panicznie się boję wyemancypowanych kobiet, które zdają się tak dzielne jak mężczyźni, ale są od nich o wiele bardziej agresywne.

— Nigdy... taką... nie będę — zapewniła Zaza.

— Nie wyobrażam sobie, abyś kiedykolwiek mogła stać się inna, niż jesteś w tej chwili: moim snem, moim marzeniem, moim życiem.

Mówił prawie szeptem, ponieważ zbliżali się do „Hotel des Champs”. Zatrzymali się jeszcze na chwilę przy drzwiach wejściowych patrząc na siebie w milczeniu. I nagle Zaza poczuła dotyk jego ust na swoich wargach. Po czym z trudem, ponieważ nie mogła znieść myśli, że ich wspólny wieczór dobiegł końca, oderwała się od niego i przeszedłszy przez ciężkie szklane drzwi, weszła do środka.

Rozdział piąty

Beauvais wspomniał mi, że chciałabyś dziś wieczorem posłuchać trochę poezji i muzyki — rzekł profesor. — Obiecałem mu, że spróbuję coś zorganizować.

— Dziękuję panu, profesorze — zawołała Zaza.— Chciałam poznać atmosferę w „Cafe du Soleil d'Or”, o której tak często mi pan opowiadał.

— Jakież te wieczory były urocze — z rozrzewnieniem odezwał się profesor. — Teraz wszystko jest takie inne.

W jego głosie zabrzmiała nuta żalu i Zaza czuła, iż podobnie jak ona profesor wciąż był ogromnie wstrząśnięty tonem wczorajszej dyskusji. Po powrocie do hotelu Zaza dowiedziała się, że rano i wczesnym popołudniem profesora odwiedziło kilku przyjaciół, ale jak zdążyła się zorientować, jego nastrój po tej wizycie wcale się nie poprawił.

— Czy nie czuł się pan zbyt samotnie? — zapytał wchodząc do jego pokoju.

Miała poczucie winy, ponieważ zostawiła profesora samego na dłużej, niż początkowo zamierzała. Nie powiedział, że dla zakochanych czas się nie liczy, i Zaza dopiero teraz z przerażeniem zdała sobie sprawę, ile godzin ich nie było. Z prawdziwą ulgą przyjęła więc odpowiedź profesora.

— Ależ skąd! Wcale nie czułem się samotnie. Miałem gości i rano, i po południu. Ale prawdę mówiąc, te wizyty tak mnie zmęczyły, że odetchnąłem z ulgą, kiedy wreszcie zostałem sam.

Sadząc z tonu jego głosu, Zaza nie miała wątpliwości, że tymi przyjaciółmi, którzy go tak zmęczyli, byli panowie Laurent i Boisseau, ale taktownie to przemilczała.

Zauważyła tylko:

— To dobrze, że się pan nie nudził. Byliśmy z panem Beauvais na długim spacerze i tyle po drodze zobaczyliśmy, iż pomyślałam, że wybaczy mi pan to opóźnienie.

— Najważniejsze, abyś przyjemnie spędzała czas — rzekł po prostu profesor.

Zaza pomyślała, iż rzadko się spotyka kogoś tak wyrozumiałego jak on. Chwilę jeszcze rozmawiała z profesorem i kiedy już miała pójść do siebie, nagle usłyszała pukanie do drzwi, po czym, ku jej zdumieniu, do pokoju wszedł doktor Sachet.

— Byłem w pobliżu i postanowiłem sprawdzić, jak czuje się mój znakomity pacjent — wyjaśnił.

— Myślę, że już znacznie lepiej — odrzekła Zaza. Doktor Sachet po obejrzeniu nogi profesora wyglądał na zadowolonego.

— Jeśli zbyt szybko nie zacznie pan chodzić — oznajmił — wkrótce wszystko będzie dobrze.

— Jest przenoszony za każdym razem, kiedy tylko opuszcza łóżko — wyjaśniła Zaza.

W oczach doktora pokazały się wesołe ogniki.

— Od początku nie wierzyłem, że profesor będzie leżał w łóżku, kiedy jego przyjaciele zbiorą się w „Cafe” des Champs”.

— Proszę do nas dołączyć dzisiejszego wieczoru — zaproponował profesor.

Doktor Sachet pokręcił przecząco głową.

— Jestem już na to za stary — rzekł. — Nużą mnie krzykliwe deklaracje tych, którzy zbyt szybko chcą zmienić świat.

— Spróbujemy uzdrowić ich umysły, tak jak pan uzdrawia ciała — odparł profesor.

— A więc niech każdy z nas robi to, co do niego należy — roześmiał się doktor.

Pożegnał się z profesorem, ale kiedy skierował się do drzwi, Zaza podążyła za nim.

— Chciałabym pana o coś zapytać — powiedziała. Doktor zatrzymał się i kiedy spojrzał na nią, jego oczy były pełne zachwytu. Pomyślał, iż nigdy jeszcze nie widział tak pięknej dziewczyny i że profesor jest ogromnym szczęściarzem, mając taką bratanicę.

— Moja siostra od pewnego czasu nie czuje się dobrze — ze smutkiem ciągnęła Zaza. — Zastanawiam się, czy tu w Paryżu, nie znalazłabym czegoś, co mogłoby jej pomóc.

— A co jej dolega? — zapytał doktor. Zaza opowiedziała mu, że Rachela z miesiąca na miesiąc czuje się coraz słabsza i że odczuwa bóle kręgosłupa. Doktorzy nie są w stanie ustalić przyczyny i jedyną kuracją jaką jej zalecają jest ciągłe leżenie w łóżku.

— To niedobrze, bardzo niedobrze — mruknął doktor Sachet. — Czy jest pani pewna, iż rzeczywiście nie wykryto u siostry żadnych fizycznych zmian.

— Jestem pewna, że gdyby tak było, już dawno by ją zoperowano — odrzekła Zaza.

Doktor Sachet skinął głową, jakby podzielał jej opinię, po czym rzekł:

— Trudno mi postawić diagnozę, skoro nie widzę pacjentki. Jednak z tego, co pani mówi, podejrzewam, że przyczyną choroby jest niedobór żelaza i niewłaściwe odżywianie. Co jada pani siostra?

— Ona nigdy nie jest głodna — odrzekła Zaza. — Doktorzy zalecili jej lekkostrawną dietę, o której mój ojciec nie wyrażał się najlepiej.

— Tak przypuszczałem — mruknął doktor Sachet. — Zamierzam zalecić jej inny jadłospis. Niech pani powtórzy swojej siostrze, że musi codziennie jeść wątrobę, i to w jak największych ilościach.

— Wątrobę? — wykrzyknęła Zaza.

— Można ją przyrządzić na bardzo wiele sposobów i od czasu do czasu zastąpić cynadrami, które ja, nawiasem mówiąc, po prostu uwielbiam.

Wyjął receptę i zaczął wypisywać skład specjalnego bulionu, który również powinna pić chora.

— Taki bulion zawsze podawany jest Jej Wysokości Cesarzowej Austrii, ilekroć wybiera się na polowanie — dodał. — Jeśli chodzi o dietę, cesarzowa jest niezwykle ostrożna, ponieważ boi się utyć. Jednak ten bulion zaakceptowała bez żadnych zastrzeżeń. Po jego wypiciu przez cały dzień może być na koniu i wcale nie czuje zmęczenia.

— Jestem pewna, że to pomoże Racheli — z przekonaniem odrzekła Zaza.

Kiedy spojrzała na wypisane na kartce składniki, dosłownie zaniemówiła. Miał to być wywar z najlepszej wołowiny z dodatkiem dziczyzny (na przykład sarniny czy mięsa z zająca) i dzikiego ptactwa w rodzaju kuropatwy czy bażanta.

Doktor zapewnił ją, iż bulion jest tak esencjonalny, że jedna jego łyżka ma wartość kilku steków.

— Jestem przekonana, że to postawi Rachelę na nogi — mruknęła do siebie Zaza.

— I jeszcze jedno — dodał doktor. — Mojemu koledze po wielu eksperymentach udało się z kości młodych zwierząt wyprodukować specjalną maczkę, którą przy pewnych schorzeniach podaje się ludziom.

— Maczkę z kości? — ze zdumieniem zawołała Zaza.

— Mój kolega, który jest profesorem i cieszy się ogromną sławą, stwierdził wyjątkową skuteczność tego preparatu w przypadku jego zastosowania u dzieci ze zmianami kostnymi wynikającymi z niedożywienia. Preparat podawany jest również starszym pacjentom w okresie rekonwalescencji po urazach takich jak pęknięcie czy złamanie kości.

— To bardzo interesujące — zauważyła Zaza.

— Przyniosę pani jutro trochę tej maczki — obiecał profesor Sachet. — Proszę przekonać siostrę, aby ; zażywała co najmniej jedną łyżkę dziennie tego preparatu. Jestem przekonany, że jej to pomoże.

Zaza serdecznie mu podziękowała i kiedy doktor wyszedł, długo jeszcze myślała o jego dziwnych zaleceniach. To, co przepisał doktor Sachet, w niczym nie przypominało kuracji dworskich lekarzy, które w końcu okazały się zupełnie nieskuteczne.

Uszczęśliwiona Zaza, czując, iż wreszcie odnalazła potrzebny siostrze lek, natychmiast usiadła do pisania długiego listu do Racheli. Zdawała sobie sprawę, iż list z Paryża wzbudziłby w pałacu liczne komentarze, a nawet podejrzenia, że to ona go wysłała. Włożyła więc swój list do środka drugiego, który podpisała nazwiskiem zatrudnionej przed kilku laty w pałacu francuskiej guwernantki.

Zmieniwszy charakter pisma Zaza donosiła w nim, że bardzo tęskni za pałacem w Melhausen i swoimi drogimi wychowankami. Była prawie pewna, iż jeśli nawet kogoś zainteresuje otrzymany przez Rachelę list, to podpis mademoiselle Capucine zniechęci go do czytania. Wierzyła jednocześnie, że nikomu nie przyjdzie nawet do głowy, iż wewnątrz koperty jest jeszcze drugi list.

Aby siostra jak najszybciej zaczęła kurację, Zaza natychmiast po napisaniu listu, zakleiła kopertę i zbiegłszy na dół, poleciła posłańcowi pójść na pocztę.

Idąc na górę zastanawiała się, czym w tym czasie zajmował się Pierre. Nie miała od niego żadnej wiadomości, ale pomyślała, że pewnie poszedł odwiedzić przyjaciół. Natychmiast jednak przypomniała sobie, jak tuż po przyjeździe do Paryża twierdził, że nie ma się gdzie zatrzymać. Nagle zastanowiło ją iż tyle chciał o niej wiedzieć, podczas gdy on o sobie nic nie mówił.

Jest taki przystojny i atrakcyjny, pomyślała, i nieoczekiwanie poczuła lęk, że będąc z dala od niej, może spotkać jakąś inną kobietę, która wyda mu się nie mniej interesująca niż ona. Natychmiast jednak powiedziała sobie, iż miłość jest czymś tak niezmiernie rzadkim i fascynującym, że może się zdarzyć tylko raz w życiu.

— Kocham go — wyszeptała. — I wiem, że on również mnie kocha. — Zadrżała, przypomniawszy sobie jego pocałunki i wszystkie doznania, jakie w niej obudził.

— Nigdy nie przypuszczałam, że kiedy wyjadę z profesorem do Paryża, spotkam kogoś tak cudownego jak on — wciąż powtarzała w duchu.

Paryż okazał się taki, jak go sobie wyobrażała: promieniujący słońcem i miłością. Ale przecież mogła nie spotkać Pierre'a! Wtedy nie pozostawałoby jej nic innego, jak siedzieć przy profesorze i słuchać nie kończących się rozmów z jego dziwnymi przyjaciółmi.

— Miałam szczęście, miałam dużo szczęścia — wyszeptała Zaza i słowa dziękczynnej modlitwy popłynęły z jej ust, ponieważ nie tylko profesor, ale również i Pierre całkowicie odmienili jej życie.

Nieco później siedząc w zadymionej sali „Cafe des Champs” Zaza pomyślała, że gdyby ją teraz zobaczył ktoś z Melhausen, nie uwierzyłby własnym oczom.

Cafe była jeszcze bardziej zatłoczona niż poprzedniego wieczoru. Profesora i jego przyjaciół siedzących przy stole w odległym kącie sali uprzedzono, że będą mieli bardzo ważnego gościa. Profesor był bardzo podekscytowany, kiedy mu powiedziano, że Emil Pouget wyraził chęć przyjścia, by spotkać się ze sławnym symbolistą, za którego uchodził Francois Dumont.

— Czy on rzeczywiście tak mnie nazwał? — dopytywał się profesor.

— Oczywiście! Pouget powiedział tylko to, o czym my wiemy od dawna.

Profesor był uszczęśliwiony i Zaza z uśmiechem pomyślała, że podobnie jak ona nie potrafił pozostać obojętny na komplementy. Nie mógł się wprost doczekać, aby opowiedzieć jej o Emilu Pouget.

— To wydawca „Le Pere Peinard”, znanej i świetnie redagowanej gazety atakującej burżuazję.

— Chciałabym ją przeczytać — wtrąciła Zaza.

— Nie miałem w ręku wszystkich numerów, ale te artykuły, które przeczytałem, utwierdziły mnie w przekonaniu, że na tle innych redagowanych bez polotu gazet, ta jaśniej niczym najczystszej wody klejnot.

— A czym ona się tak wyróżnia? — zapytała Zaza.

— Kiedy zdobędę jakiś egzemplarz — odparł profesor — sama się przekonasz, jak wspaniałym językiem się posługuje. To prawdziwy, niezwykle barwny żargon paryskiego proletariatu.

— Czy to jedyna jej zaleta?

— Nie, oczywiście że nie. Pouget to wybitny talent dziennikarski. Jego styl, chociaż zupełnie odmienny od mojego, to doskonałe połączenie jowialności i uporczywości, rubasznosci i śmiertelnej powagi. Taka też jest jego gazeta.

Zaza roześmiała się.

— To jakaś piekielna mieszanka.

— To prawda — przyznał profesor. — Ale właśnie dzięki bogactwu jego stylu i doskonałym rysunkom utalentowanych i sławnych karykaturzystów „Le Pere Peinard” osiąga bardzo duży nakład.

— To znaczy? — zapytała Zaza.

— Sprzedaje około piętnastu tysięcy egzemplarzy tygodniowo.

— To rzeczywiście dużo!

— Zauważ — dodał z powagą profesor — że chociaż nie podzielam głoszonych przez Pougeta idei, podziwiam jego talent i przedsiębiorczość.

— Z przyjemnością go poznam — z uśmiechem powiedziała Zaza.

— Nie znam go osobiście — przyznał profesor. — Wiem tylko, że był kiedyś urzędnikiem, ale został wyrzucony za próbę zorganizowania w miejscu pracy związku zawodowego.

Zaza odniosła wrażenie, że profesor usiłuje coś przed nią ukryć. Wydawało się jej, że stara się przedstawić Emila Pouget w znacznie lepszym świetle, niż na to faktycznie zasługiwał. Była prawie pewna, że ten człowiek to anarchista. Jednocześnie przekonywała siebie, iż na jej opinii mogły zaważyć wrażenia z wczorajszego wieczoru. Bardzo żałowała, że nie może na ten temat porozmawiać z Pieniem, ale Beauvais zjawił się na górze dopiero wtedy, gdy trzeba było znieść profesora do kawiarni.

Kiedy Zaza ujrzała Pierre'a i ich oczy się spotkały, natychmiast zapomniała o wszystkim. Wiedziała tylko, że jest szczęśliwa i że sprawiła to jego obecność. Czowała, jak prąd przebiega jej ciało, a serce z wrażenia przestaje bić. Miała ochotę znaleźć się w jego ramionach i znowu poczuć się bezpieczna. Jednak powstrzymała się i zmusiła, żeby powiedzieć nieco afektowanym głosem:

— Bonsoir, monsieur.

— Bonsoir, mademoiselle — odrzekł Pierre, patrząc na nią wymownie.

Większość przyjaciół profesora zebrała się już na dole i Zaza dostrzegła wśród nich tych dwóch, którzy wczoraj tak bardzo jej się nie spodobali.

W chwili gdy profesor dopytywał, o której godzinie należy się spodziewać przybycia zapowiadanego gościa, w drzwiach pojawił się Emil Pouget. Wyglądem, przypominał typowego urzędnika, ale jednocześnie było w nim coś, co zdecydowanie odróżniało go od pozostałych gości.

Kiedy podszedł do profesora i zajął przy nim miejsce, niemal natychmiast zaczął opowiadać o sukcesach „Le Pere Peinard”, oraz o tym, jak to nakłania swoich czytelników do występowania przeciwko burżujom.

— Nawołuję do kradzieży i podpaleń — chełpił się — do fałszowania pieniędzy, niszczenia domów bogaczy oraz do dezercji z wojska.

Profesor wyglądał na zaskoczonego. Zaza natomiast nie mogła uwierzyć, że ten człowiek naprawdę tak myśli. Podejrzewała, że jest to tylko populistyczny chwyt, aby zjednać sobie słuchaczy.

— Oni mnie nienawidzą! Oni się mnie boją! — wołał Emil Pouget. — Ale cały Paryż mnie czyta, a popularność „Le Pere Peinard” rośnie z tygodnia na tydzień.

Zebrani przy stole z uwagą przysłuchiwali się słowom Emila Pouget, ale zanim profesor zabrał głos, Pierre Beauvais spokojnie oświadczył:

— Uważam, że powinniśmy przerwać tę dyskusję i dokończyć ją przy innej okazji. Profesor obiecał swojej bratanicy, że dziś wieczorem posłuchamy najnowszych wierszy napisanych przez obecnych tu jego przyjaciół. Chcielibyśmy również skorzystać z okazji i posłuchać gry profesora. Nie powinniśmy chyba zapominać, że symbolizm równie dobrze wyraża się w słowie pisanym jak i w muzyce.

Szmer aprobaty rozległ się wśród zebranych, chociaż Zaza zauważyła, że Emil Pouget z rozdrażnieniem rzucił się na oparcie krzesła. Pomyślała jednak, iż chyba niemożliwe, aby zdecydował się ich opuścić.

I jak się później okazało, miała rację: Emil Pouget pozostał na sali. Zaza uśmiechnęła się do Pierre'a, kiedy po chwili zebrani jeden po drugim wstawali i recytowali swoje wiersze. Następnie profesor wyciągnął skrzypce, które Pierre przyniósł z pokoju profesora.

Przez chwilę artysta tulił instrument w ramionach, jakby to było najukochańsze dziecko, po czym oparłszy go o brodę zaczął grać jeden z utworów, którego Zaza tak często słuchała przez ponad dziesięć lat. Zaza pamiętała, jak bardzo był poruszony, ilekroć go wykonywał. Pomyślała, iż ta piękna melodia to jakby wołanie wydobywające się z najdalszych zakamarków jego duszy. Ponieważ kiedyś był wielkim mistrzem i wciąż grał o wiele lepiej niż większość młodych profesjonalistów, na sali panowała absolutna cisza, która zawsze jest wyrazem najwyższego uznania audytorium dla kunsztu artysty. Gdy umilkły dźwięki cudownej muzyki, nastąpiła ta szczególna cisza, kiedy słuchacze, jakby obudzeni ze snu, powoli wracają ze świata marzeń do rzeczywistości. Po chwili zerwała się burza oklasków i wszyscy obecni wznieśli toast za zdrowie artysty.

— Jest pan jednym z największych mistrzów! — odezwał się jakiś głos.

Twarz profesora rozpromieniła się radością, ale Zaza zauważyła, jak usta Emila Pouget wykrzywił grymas. Nic jednak nie powiedział i to jego zastanawiające milczenie sprowokowało kogoś do pytania:

— A ty, Emilu? Co nam zaproponujesz? Ponieważ otaczała go aura tego, który nigdy nie przegrywa, wszyscy z zaciekawieniem czekali na jego odpowiedź.

— Zaśpiewam wam pieśń — rzekł — pieśń, którą wszyscy znacie, i której, jak sądzę, nigdy nie zapomnicie. — Milczał chwilę, po czym dodał: — Pamiętacie Ravachole'a?

— Tak, tak — zakrzyknęli zgodnym chórem.

— Zanim dwa lata temu został stracony — ciągnął Emile Pouget — uwiecznił swoje imię w jednej z najśłynniejszych naszych pieśni, opartej na znanej wam karmanioli* Caira z czasów naszej największej rewolucji.

Wstał i oparł ręce na ramionach profesora i ten natychmiast zrozumiał, czego od niego oczekiwał.

Emile Pouget przy akompaniamencie profesora zaczął śpiewać:

Damom la Ravachole Vive le son, vive le son, Dansons la Ravachole De l'explosion**

* Karmaniola — nazwa pieśni i tańca z czasów rewolucji francuskiej. (Przyp. tłum.)

** „Zatańczmy Ravachole/ Niech żyje ta wspaniała muzyka /Zatańczmy Ravachole/Nasz rewolucyjny taniec”.

Zaza nigdy jeszcze tej pieśni nie słyszała. Wiedziała tylko, że z uwagi na buntowniczą wymowę utworu, jej ojciec zakazał rozpowszechniania na terenie księstwa.

Kiedy Emil Pouget usiadł, ogromny aplauz całej sali zdawał się dorównywać temu, którym przed chwilą obdarowano profesora. Po czym, jak zwykle w takich chwilach bywa, wszyscy naraz zaczęli mówić.

Przy stole profesora najwięcej słyhać było Emila Pouget i nie ulegało wątpliwości, że nikomu nie pozwoli sobie tego prymatu odebrać. Kiedy jego głos stawał się coraz bardziej donośny, Pierre podniósł się i skierował w stronę wyjścia. Mijając Zazę, zatrzymał się na chwilę i szepnął:

— Myślę, że najwyższy czas, abyśmy się ulotnili. Poczekaj parę minut, następnie wyjdź za mną. Spotkamy się w hallu głównym.

Pierre wyszedł z sali i podekscytowana jego propozycją Zaza pomyślała, że pewnie chce ją zabrać gdzieś na tańce. Pamiętała, iż rozmawiali już o tym wcześniej i schodząc na kolację włożyła najpiękniejszą suknię, jaką zabrała ze sobą wyjeżdżając z Melhausen.

Wyobrażała sobie, jak pięknie by wyglądała w jednej ze swoich balowych toalet i jak bardzo Pierre byłby nią oczarowany. Zdawała sobie jednak sprawę, że suknie te były tak eleganckie i kosztowne, iż nawet gdyby któraś z nich znalazła się w jej bagażu, to i tak nie odważyłaby się tu w niej pokazać.

Nawet ta dosyć skromna popołudniowa sukienka, którą zdecydowała się włożyć, sprawiała wrażenie zbyt eleganckiej i kosztownej, aby mogła sobie na nią pozwolić niezbyt zamożna bratanica profesora. Natychmiast jednak powiedziała sobie, że przecież Pierre Beauvais nie ma pojęcia, czy profesor jest bogaty, czy też biedny, i że nigdy by o to nie zapytał. Poza tym, pomyślała, że

może mieć przecież ojca, który dorobił się majątku na dostawach dla wojska czy też produkcji broni.

Wzdrygnęła się na samą myśl o tym. Od chwili gdy przybyła do Paryża, zbyt często słyszała o ludziach, którzy zostali zabici, zastrzeleni, wysadzeni w powietrze czy też po prostu zlikwidowani. Nazwa zresztą zupełnie nie miała znaczenia. Zawsze było to przecież tylko morderstwo; z którym nie mogła się pogodzić. Propozycja uciec przychodziła więc w samą porę. I nie chodziło tylko o to, że przebywanie z Pierre'em sprawiało jej tyle radości, ale również o to, że dalsze słuchanie Emila Pouget było ponad jej siły.

Teraz nie ulegało już dla niej wątpliwości, że ten człowiek nie miał nic wspólnego z symbolizmem. To był po prostu zdeklarowany anarchista. Zaza podejrzewała również, iż w głębi duszy Emil Pouget był oportunistą, który przyjął hasła anarchistów tylko dlatego, że miał w tym własny interes.

Profesor nie powinien mieć nic wspólnego z takimi osobnikami, powiedziała sobie. Jest zbyt wielkim idealistą, zanadto ufa innym i ma za mało zdrowego rozsądku, aby przejrzeć ludzi pokroju Emila Pouget.

Emile Pouget właśnie w tej chwili mówił coś, waląc pięścią w stół i wszyscy byli tak w niego wpatrzeni, że nikt nie zauważył, jak Zaza wstaje od stołu i kieruje się do wyjścia.

Kiedy wbiegła do hallu, Pierre już tam na nią czekał. Uśmiechnął się, gdy ją ujrzał, a jej serce zaczęło mocniej bić i poczuła, jakby ciągnęła ją jakaś magnetyczna siła.

— Czy ktoś zauważył, że wychodzisz? — zapytał Pierre.

— Nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi — odpowiedziała Zaza.

— Kiedy będziemy sami, powiem ci, kto od dłuższego czasu przygląda ci się — szepnął Pierre i poprowadził do wyjścia.

— A co ze stryjem Francois? — zaniepokoiła się nagle Zaza. — Kto go przeniesie do łóżka? Przecież nie wolno mu jeszcze chodzić.

— Wszystko jest uzgodnione — odrzekł Pierre. — Portier ma za godzinę przypomnieć mu, że nie powinien się przemęczać i pozwolić mu zostać kolejną godzinę. Po czym, jeśli będzie trzeba, poda mu mocniejszy trunek i zmusi do opuszczenia towarzystwa, bez względu na to, czy mu się to spodoba czy nie. Zaza roześmiała się.

— Jestem przekonana, że będzie energicznie protestował, ale przecież to prawda, iż nie wolno mu się przemęczać.

— No właśnie — potwierdził Pierre.

Po chwili portier oznajmił, że powóz już czeka i Pierre pomógł Zazie wejść do środka, po czym zajął tuż przy niej miejsce. Kiedy ruszyli, ujął jej dłoń i

podniósłszy do ust, złożył na niej pocałunek. Jego wargi były żarliwe i namiętne i Zaza poczuła ten sam dreszcz, który przeniknął jej ciało, kiedy całował jej usta.

— Kocham cię! — powiedział Pierre. — Każda chwila bez ciebie zdaje mi się wiekiem, a kiedy znowu cię widzę, wydajesz mi się piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem.

— Czas mija... wolno również i dla mnie — wyszeptała Zaza. — Ale... Pierre... tak bardzo się boję, aby mój stryj... nie wplątał się w coś obcując z ludźmi takimi jak Emil Pouget.

— Zgadza się z tobą że to wyjątkowo nieciekawym typ — odrzekł Pierre. — Ogromnie mnie zaskoczyła wiadomość, iż dziś wieczorem miał dołączyć do profesora i jego przyjaciół.

— Sam się wprosił — szybko powiedziała Zaza.

— Czy jesteś tego pewna? — dopytywał się Pierre.

— Absolutnie pewna — odrzekła. — Byłam akurat; na górze, kiedy Laurent, ten człowiek, któremu nie ufam przyszedł do stryja, aby powiedzieć, że Emil Pouget chce się z nim spotkać. — Po chwili milczenia dodała: — Przekazał to w tak schlebiającej formie, że mój stryj był z tego powodu bardzo dumny. Nigdy nie przypuszczałam, iż ten dziennikarz okaże się takim potworem.

Pierre sprawiał wrażenie, jakby nad czymś intensywnie myślał.

— Pouget wyrządził wiele zła — rzekł po chwili — i władze są ogromnie zaniepokojone propagandą anarchistów, którą sieją ludzie podobni do niego. To właśnie oni podburzają robotników, aby wystąpili przeciwko swoim pracodawcom i podkopywali panujący system społeczny.

— Oczywiście nie osiągną swego celu? — z przerażeniem zawołała Zaza.

— We Francji wybuchła już kiedyś rewolucja — odrzekł Pierre.

— To było ponad sto lat temu, jak dziś przypominał nam Emil Pouget.

— Jednak hasła są wciąż takie same: mordować, zabijać, zburzyć panujący porządek, nie dając nic sensownego w zamian.

Palce Zazy kurczowo zacisnęły się.

— To mnie przeraża!

— Będę się o ciebie troszczył — powiedział, jakby pod wpływem nagiego impulsu, po czym nieco innym już tonem dodał: — Oczywiście jeśli to okaże się możliwe.

— Dlaczego tak... mówisz? — zapytała Zaza.

— To tylko taki sposób wyrażania się.

Ale Zaza wiedziała, że to nieprawda. Tymczasem konie zatrzymały się.

— Jesteśmy na miejscu! — oznajmił Pierre. Wysiedli z powozu i po zapłaceniu woźnicy, weszli do cafe chantant, znanej jako „Jardin de Paris”.

Zaza przekonała się, iż zgodnie z jej przewidywaniami, Pierre przywiózł ją do lokalu odwiedzanego przez o wiele elegantszą klientelę niż bywalcy „Cafe des Champs”.

Zajęli stolik na tarasie, w którego centralnej części, znajdował się parkiet do tańca. Z oświetlonego chińskimi lampionami tarasu roztaczał się widok na ogród z mnóstwem pięknych drzew i kwiatów.

Pierre zamówił wino, po czym podniósł się i wyciągnął rękę do Zazy.

— Chodź, pójdziemy zatańczyć — rzekł. — Tak jak, ci to już wcześniej obiecałem, nauczę cię tańczyć polkę.

Podobał się jej ten taniec, ale najbardziej lubiła; walca, kiedy wirowali dookoła, a on trzymał rękę na jej talii. Wiedziała, że jako partnerzy doskonale do siebie pasują i że rytm muzyki jest jednocześnie rytmem ich serc. Tańczyli i rozmawiali, i znowu tańczyli. Ale przyszła chwila, kiedy musieli wrócić do rzeczywistości.

— Robi się późno. Myślę, że powinienem odwieźć cię do hotelu.

Zaza cichutko westchnęła.

— Tak tu cudownie. Czy musimy się już rozstać?

— Decyzja należy do ciebie — odrzekł.

— Chciałabym zostać, ale może jutro czułbyś się zanadto zmęczony.

— Nie to miałem na myśli — odrzekł. — Zresztą nieważne. Porozmawiamy o tym gdzie indziej.

Spojrzała na niego zakłopotana. Nie bardzo wiedziała, o czym chciał z nią mówić.

Pierre uregulował rachunek, po czym opuścili „Jardin de Paris”. W pobliżu stał powóz i Zaza słyszała, jaki Pierre wydaje woźnicy jakieś dyspozycje. Kiedy zajają; przy niej miejsce, objął ją i przyciągnął do siebie.

— Dziękuję ci — szepnęła Zaza. — Dziękuję, że zabrałeś mnie do tego uroczego miejsca. Uwielbiam z tobą tańczyć i cieszę się, że właśnie tu mnie przywiozłeś.

— A czego się spodziewałaś? — zapytał Pierre. — Że cię zabiorę do „Moulin-Rouge”?

Zaza wiedziała, że to było miejsce chętnie odwiedzane przez mężczyzn szukających w Paryżu rozrywki, nawet przez takich jak jej ojciec. Podśluchiwała kiedyś, co jej ojciec mówił do swojego przyjaciela o kankanie i tancerkach z „Moulin-Rouge”. Słyszała, jak opowiadał o jednej z nich o przyzwisku La

Goulue, której taniec był wyjątkowo nieprzyzwoity i którą powszechnie nazywano krwiożerczą Mesaliną.

Zaza była przekonana, że Pierre nigdy by jej nie zabrał do lokalu, w którym występowały takie kobiety. Jednocześnie miała uczucie, że w pewnym sensie Pierre ogranicza jej wolność, tak jak to robiła hrabina Glucksburg.

— O czym myślisz? — zapytał Pierre. Zaza odpowiedziała mu zupełnie szczerze.

— Myślałam o tym, że chcę być wolna. Oczywiście, nie chodzi mi o taką wolność, o jaką walczy Emile Pouget. Marzę o wolności, o jakiej mówią prawdziwi symboliści: wolności, która pozwoli mi być sobą.

— A kiedy już będziesz sobą czego wtedy zapragniesz? — zapytał głębokim głosem, po czym objął ją, czując, jak drży w jego ramionach.

— Chciałabym unieść się wysoko w górę, po czym skoczyć w dół w morskągłębinę. Chciałabym czuć... że nie obowiązują mnie żadne ograniczenia, i że mogę być znowu taka szczęśliwa jak... wtedy, gdy mnie... całowałeś.

Mówiła ledwie dosłyszalnym szeptem, ale do uszu Pierre'a dotarło każde jej słowo.

— Ja także tego pragnę, ukochana. Ale czy ty jesteś pewna, że naprawdę tego chcesz? — zapytał z dziwną powagą.

— Naturalnie, że chcę! — odpowiedziała bez zastanowienia. — Po to właśnie wybrałam się do Paryża. To dlatego dziś wieczorem uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem... szczęśliwa, że los postawił ciebie... na mojej drodze.

Tak bardzo chciała, aby ją pocałował. Ale on nagle umilkł, jakby chciał uporządkować myśli. Po chwili wstał i zwracając się do woźnicy powiedział:

— „Hotel des Champs”, proszę.

Zaza zastanawiała się, co robił wcześniej tego dnia. Jednak o nic go nie zapytała i tylko kiedy powóz zatrzymał się przed hotelem, poczuła smutek, że ten piękny wieczór już się zakończył. Nie mogę być taka zaborcza, powiedziała sobie. Mamy jeszcze przed sobą tyle wieczorów. Przecież jutro znowu go zobaczę.

W hallu siedział zaspany nocny stróż, który ziewając wręczył im klucze. Kiedy weszli na trzecie piętro, Zaza zapytała:

— Jak myślisz, czy stryj już śpi?

— O tej porze śpi już z pewnością — odrzekł Pierre. — Ale żeby cię uspokoić, zaraz do niego zajrzę.

Zatrzymali się przy drzwiach profesora i Pierre ostrożnie nacisnął klamkę. W pokoju było ciemno, ale wyraźnie słyszeli chrapliwy oddech dochodzący od strony łóżka. Pierre zamknął drzwi i uśmiechnął się do Zazy.

— Twojego stryja położono spać, tak jak poleciłem — rzekł. Wziął z ręki Zazy klucz i otworzył drzwi prowadzące do jej sypialni. Kiedy weszli do środka, nie zapalił lampy gazowej, tylko stojącą przy łóżku świecę.

— Nie wydaje mi się, aby to światło było wystarczające.

— Więcej nam nie potrzeba — zauważył Pierre. Następnie zamknął za sobą drzwi, zdjął płaszcz i rzucił go na podłogę. Po czym Zaza znalazła się w jego ramionach.

— Dobranoc, kochany. To był wspaniały... cudowny.. . dzień. Nigdy nie czułam się taka szczęśliwa.

— Kochasz mnie? — zapytał.

— Wiesz dobrze, że tak. O wiele bardziej, niż jestem w stanie to wyrazić.

— Chcę, abyś była moja!

— Jestem twoja... cała twoja — ze wzruszeniem wyszeptała Zaza. — Każda najmniejsza nawet cząstka mego ciała... należy do... ciebie.

— Niezupełnie — rzekł.

Coraz mocniej tulił ją w ramionach, w milczeniu obserwując jej twarz i Zaza odniosła wrażenie, że chce ją o coś zapytać. Po chwili, ponieważ słowa nie były już im potrzebne, zaczął ją całować. Delikatne, po czym coraz bardziej zmysłowe pocałunki zdawały się unosić ją wysoko ku gwiazdom, gdzie byli już tylko oni i ich miłość.

Zaza zupełnie straciła poczucie rzeczywistości i nawet nie zauważyła, że Pierre, wciąż trzymając jej usta w uwięzi pocałunków, zaczął się powoli przesuwając w stronę łóżka. Dopiero kiedy ją na nie przewrócił, dziewczyna cicho krzyknęła.

W pierwszej chwili była zbyt zaskoczona, aby protestować. Tymczasem Pierre podniósł jej stopy do góry i ułożył na kapie łóżka, po czym osunął się tuż obok niej. Jego wargi odnalazły drogę do jej ust i kiedy znowu ją zaczął całować dziko i pożądliwie, przez cienki jedwab sukni poczuła dotyk jego dłoni na piersiach.

I wtedy zaczęła się bronić.

— Nie, Pierre... nie! — krzyczała bezwiednie.

— Co mówisz? — zapytał, jakby jej nie zrozumiał.

— Musisz... iść — powiedziała z wysiłkiem Zaza. — To nie w porządku... że jesteś w mojej... sypialni.

Pierre uniósł głowę i chwilę patrzył na nią w milczeniu.

Zaza zauważyła dziwny wyraz jego oczu. Nagle uświadomiła sobie, że leży na łóżku, a on tuż obok. Czuła, że stało się coś złego, bardzo złego, i nagle

upojenie wywołane jego pocałunkami gdzieś zniknęło. Pozostało jedynie poczucie winy i jakiś nieokreślony lęk.

Pierre jakby wyczuwając jej niepokój, powiedział:

— Moja najdroższa, nie chciałem cię przerazić. Ale przecież wiesz, że tak bardzo pragnę, abyś była moja. Ty również powtarzałaś, że chcesz być wolna.

— Czyżbyś... uważała... — zaczęła Zaza z niedowierzaniem, po czym natychmiast dodała: — Nie powinniśmy robić czegoś, co jest... złe.

— Czyżbyś naprawdę uważała, że nasza miłość może być zła albo grzeszna? Zapewniam cię, że jest czysta i szlachetna.

— Miłość... fizyczna jest... grzechem... jeśli dochodzi do niej przed ślubem.

Widziała, że Pierre nagle jakby zeszywniał. W pokoju zapanowała taka cisza, iż Zazie się zdawało, że słyszy bicie własnego serca.

— Powiedziałem ci — rzekł Pierre — że oprócz miłości nie mogę ci nic zaofiarować, a ty mnie wtedy zapewniłaś, iż niczego więcej nie pragniesz.

— To... cudowne... nadzwyczajne i niewyobrażalne... ekscytujące uczucie... że mnie pokochałeś — odparła Zaza. — Ale jestem przekonana, że nie powinniśmy... leżeć razem w... łóżku. To... przecież grzech!

— Dlaczego tak uważasz? — zapytał Pierre i Zaza dostrzegła w jego głosie jakąś dziwną nieustępliwość.

Niełatwo jej było mówić, kiedy wciąż leżała obok niego, a on z uwagą wpatrywał się w jej twarz. Jednak powoli, z trudem dobierając słowa, zaczęła:

— Ja nie mam pojęcia... ponieważ nikt ze mną o tym nie mówił... co się dzieje, kiedy... dwoje ludzi się kocha... i gdyby to stało się z tobą byłoby... cudowne, ale wiem, że Kościół i Bóg wymagają... abyśmy się wcześniej... pobrali.

— Jeśli więc nie będziemy mogli zostać małżeństwem, przestaniesz mnie kochać?

— Nie, nie! To nieprawda! — wołała z rozpaczą Zaza. — Kocham cię... kocham całym sercem! Nie wiedziałam, że miłość może być taka cudowna... Kiedy mnie pocałowałeś, poczułam, że to, co się we mnie zrodziło, jest... święte.

Jej głos zamierał, jakby już nie miała siły tłumaczyć, co tak naprawdę czuje i czego pragnie. Jej całe ciało tęskniło za nim i wzywało go, a ponieważ był tak blisko, zupełnie nie mogła sobie z tym poradzić. Jednak gdzieś głęboko tkwiło w niej przekonanie, że ich miłość musi pozostać idealna, i że nie wolno im jej zniszczyć przez popełnienie czegoś złego. Czowała zamęt w głowie i nic już nie było ani łatwe, ani proste, kiedy Pierre znajdował się przy niej, budząc emocje, jakich nigdy przedtem nie знаła. Jednocześnie miała wrażenie, że nagle

rozdzieliła ich ogromna przepaść i że wystarczy zrobić krok, a już nie będzie dla niej ratunku.

W pewnej chwili, ku zaskoczeniu Zazy, Pierre wstał i podszedł do okna, po czym odsunąwszy zasłony w zamyśleniu patrzył na roziskrzone gwiazdami niebo.

Zaza wiedziała, że całe jej ciało drży. Podświadomie czuła, że nieoczekiwanie straciła coś niepowtarzalnego.

— Pier...re! — Jej głos łamał się. Odpowiedziało jej milczenie. Po chwili, z trudem wymawiając słowa, odezwała się ponownie: — Przepraszam, że... sprawiłam ci... przykrość... ale ja tego naprawdę... nie chciałam.

Pierre wciąż milczał i Zaza, nie mogąc dłużej tego znieść, zerwała się z łóżka i rzuciła ku niemu.

— Pierre! Pierre! — wołała przez łyzy. — Nie możesz przestać mnie kochać! Tego bym nie zniosła. — Spojrzała na niego błagalnie. Na jej twarzy widać było cierpienie.

— Już dobrze, najdroższa — odezwał się Pierre łagodnie, tuląc ją do siebie. — Czy sądzisz, że mógłbym przestać cię kochać?

— Tak myślisz... naprawdę... tak myślisz? Nie jesteś... zły na mnie?

— Nie jestem zły — rzekł. — Trudno mi tylko zrozumieć, po co przyjechałaś tu z twoim stryjem, skoro on nie ma pojęcia, jak powinien się tobą opiekować, i dlaczego w sposób tak bałamutny rozprawiasz o swoim dość specyficznym rozumieniu słowa „wolność”.

— Ja... nie wiem... o czym mówisz. Co było... bałamutne?

Pierre przez chwilę patrzył na nią badawczo, po czym doszedłszy do wniosku, że mówi szczerze, mocno ją objął i z twarzą wtuloną w jej włosy, w milczeniu patrzył w ciemność.

— Och... Pierre... co ja takiego powiedziałam... co zrobiłam? — skarżyła się jak dziecko, które zaraz wybuchnie płaczem.

— Idź do łóżka, skarbie — odezwał się po chwili. — Porozmawiamy o tym jutro.

— Nie będę... w stanie zasnąć... jeśli pomyślę, że już... mnie nie kochasz. — Podniosła ku niemu twarz, jej głos lekko drżał, a w oczach pokazały się łzy.

— Kocham cię! Oczywiście, że cię kocham! Tak bardzo, że trudno mi zachować zimną krew i o wiele bardziej, niż sądziłem, że będę mógł kogokolwiek pokochać! — wyrzucił z siebie Pierre. Po chwili już spokojniej dodał: — Dobranoc, Zazo. Idź spać. Zapomnij o wszystkim, pamiętaj tylko, że spędziliśmy wspaniały wieczór i bardzo się kochamy.

— Na pewno się na mnie nie... gniewasz?

— Na pewno.

— Może byłam głupia... może powinnam ci... pozwolić, abyś zrobił to... czego... pragnąłeś.

Głęboko wciągnął powietrze, ale po chwili pewnym głosem rzekł:

— Nie, moja droga. To ty miałaś rację, absolutną rację! Przestań się więc zadrećzać.

Czekała, że powie coś więcej, a kiedy milczał, nieśmiało zapytała:

— Czy pocałujesz mnie... na dobranoc tak jak... całowałaś... przedtem?

Długo na nią patrzył, jakby się nad czymś zastanawiał, następnie przyciągnął ją do siebie i delikatnie pocałował.

Przez ułamek sekundy Zaza pomyślała że czar prysnął i Pierre już jej więcej nie pragnie. I kiedy jej wargi zaczęły drzeć, jakby zbierało się jej na płacz, jego usta stały się znowu żarliwe i namiętne.

Czuła, jak żar jego pocałunków powoli zniewala jej duszę. Ale nagle wypuścił ją z objęć, chwycił swój płaszcz, po czym rzucił się do drzwi i wybiegł z pokoju bez słowa.

Jakiś czas słyszała jeszcze jego kroki na korytarzu, po chwili wszystko ucichło. Łzy napłynęły jej do oczu, chociaż ciało wciąż jeszcze tętniło od wzbudzonej przez jego pocałunki krwi. Miała wrażenie, jakby gdzieś wewnątrz niej zapłonął ogień, którego już nikt ani nic nie zdoła ugasić. Jednocześnie była w niej jakaś tęsknota za tym, co utraciła, chociaż nie umiałaby określić, co to było.

— Kocham cię! Kocham! — wołała w ciemność.

Ale czy to był krzyk szczęścia, czy może raczej rozpacz, nawet ona nie potrafiłaby na to pytanie odpowiedzieć.

Rozdział szósty

Zaza obudziła się z niejasnym uczuciem, że stało się coś złego. Po chwili przypomniała sobie wydarzenia ostatniego wieczoru i ogarnęła ją czarna rozpacz. Zasnęła we łzach, zdając sobie sprawę, że sprawiła ukochanemu przykrość. Czowała, iż nie postąpiła właściwie, choć Pierre twierdził inaczej.

Wszystko okazało się takie skomplikowane. Wciąż nie potrafiła znaleźć jednoznacznej odpowiedzi na dręczące ją pytania. Z jednej strony całą jej istotę pochłonęła miłość do Pierra, z drugiej instynkt podpowiadał jej, że chociaż ta miłość jest taka doskonała i święta, to jednak to, do czego on dążył, mogłoby ją zniszczyć. Zastanawiała się nad jego słowami i doszła do wniosku, że najwidoczniej źle zrozumiała to, co powiedziała o poszukiwaniu wolności, i w konsekwencji źle ocenił jej postępowanie.

Teraz sama zadawała sobie pytanie, jak to możliwe, aby księżniczka Marie-Celeste pozwoliła ledwie co poznanemu mężczyźnie, aby ją całował i żeby przy tym tak dalece straciła głowę. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak naganne było jej zachowanie. Co pomyślałaby o niej jej matka? Nie mówiąc już o tym, co powiedzieliby jej ojciec i hrabina Glucksburg. Reakcję tej ostatniej nietrudno było przewidzieć,

— Kocham go! Kocham! — szeptała.

Nie mogąc się doczekać, kiedy znowu go zobaczy, wyskoczyła z łóżka i zaczęła się ubierać. Tego ranka wstała nieco później niż zwykle, ponieważ długo nie mogła zasnąć, i dopiero, gdy świt zaróżowił dachy Paryża, zapadła w krótki nerwowy sen.

— Poczekam na Pierre'a i zjemy razem śniadanie — postanowiła.

Szybko włożyła suknię i zatrzymując się na sekundę, jedynie po to, aby zerknąć na swoje odbicie w lustrze, już otwierała drzwi na korytarz.

Kiedy wyszła z pokoju, usłyszała dobiegające z sypialni profesora głosy. Z ulgą pomyślała, że jest z nim Pierre. Na chwilę zatrzymała się, chcąc poprawić włosy i uspokoić bijące niespokojnie serce.

Już wyciągała rękę, aby zapukać do pokoju profesora, gdy nieoczekiwanie drzwi otworzyły się i Zaza ujrzała doktora Sachet, który właśnie wychodził.

— Bonjour, mademoiselle! — zawołał, patrząc na nią z zachwytem.

— Bonjour, monsieur — odpowiedziała, z trudem kryjąc rozczarowanie. Usiłowała się uśmiechnąć, ale przychodziło jej to z jeszcze większym trudem.

— Mam dla pani dobrą wiadomość — powiedział doktor. — Z nogą pani stryja jest już na tyle dobrze, że może się swobodnie poruszać, nie może jednak chodzić na razie zbyt szybko i zbyt daleko. Jak pani już wcześniej

wspomniałem, mamy w Paryżu znakomite dorożki, które zawiozą profesora, dokąd tylko zechce. — Umilkł, jakby czekał na jej reakcję.

— Dopilnuję, monsieur, aby stryj się nie przemęczał — zapewniła Zaza.

— Jestem przekonany, że będzie się nim pani znakomicie opiekowała — zauważył doktor. — Poza tym mam tu dla pani coś, o czym mówiliśmy wcześniej. — Wyjął z kieszeni dosyć dużą paczkę i wręczył ją Zazie.

— Maczka kostna! — zawołała.

— To jest porcja wystarczająca na dwa miesiące — rzekł doktor. — A tu na tej kartce ma pani zapisany adres mojego przyjaciela. Jeśli się do niego pani zwróci, przyśle do Melhausen potrzebną ilość.

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję! — powiedziała Zaza. — Jestem pewna, że to pomoże mojej siostrze.

— Mam taką nadzieję — dodał doktor Sachet. — Koniecznie musi mnie pani poinformować, jak postępuje kuracja.

— Oczywiście — zgodziła się Zaza, zastanawiając się jednocześnie, czy to w ogóle będzie możliwe.

— Na mnie już czas. Moi pacjenci czekają — rzekł doktor. — Au revoir, profesorze. Jeśli nie będę mógł pana odwiedzić jutro, to z pewnością zrobię to następnego dnia. Proszę nie zapominać, że obiecał pan zagrać dla mnie przed wyjazdem z Paryża.

— Dotrzymam obietnicy — odrzekł profesor. — I dziękuję panu. Jest pan prawdziwym przyjacielem.

Obydwaj panowie uśmiechnęli się do siebie i doktor opuścił pokój.

Profesor usiadł w łóżku.

— Mam zamiar wstać, ma princesse — rzekł. — Obejrzymy razem trochę Paryż. Chciałbym ci pokazać tyle wspaniałych rzeczy.

— Bardzo się... cieszę — odparła Zaza.

Miała nadzieję, że profesor nie zorientował się, jak bardzo była skonsternowana. Jeśli wybierze się z profesorem, nie zobaczy się z Pierre'em, a o tym nie chciała nawet myśleć. Każda cząstka jej ciała tęskniła za nim, każdy nerw drżał, wyrrywając się do niego.

— Zejdź teraz na śniadanie — powiedział profesor — a ja za chwilę dołączę do ciebie.

Zazie bardzo ta propozycja odpowiadała, ponieważ była przekonana, że Pierre od dawna już czeka na nią w restauracji.

Zaniosła do swojego pokoju otrzymany od doktora preparat i zbiegła schodami na dół. Kiedy zdyszana wpadła do restauracji, przekonała się, że sala

była pusta, jeśli nie liczyć kelnera nakrywającego do stołu, przy którym siedziała poprzednio.

— Bonjour, mademoiselle — rzekł. — Dziś pani się trochę spóźniła.

— Tak, rzeczywiście — przyznała Zaza. — Gdzie jest monsieur Beauvais?

— Monsieur już wyszedł, mademoiselle. Dziś bardzo wcześnie zjadł śniadanie.

Zaza zaniemówiła z wrażenia.

— W... wyszedł? — zapytała nieswoim głosem.

— Otrzymał jakąś wiadomość, mademoiselle, i bardzo się spieszył.

Kelner odsunął przed nią krzesło i Zaza zmusiła się, aby usiąść. Przez ułamek sekundy z przerażeniem pomyślała, że Pierre opuścił hotel na zawsze. Ale skoro otrzymał jakąś wiadomość, to sprawy nie wyglądały tak źle.

Zaza nie czuła się najlepiej i kiedy kelner przyniósł jej kawę i ciepłą brioche, szybko kawę wypila, czując, że ją postawi na nogi.

Do sali weszli tymczasem inni goście hotelowi i kelner musiał się nimi zająć, co Zaza przyjęła z zadowoleniem, ponieważ zupełnie nie miała ochoty na pogawędkę. Myślała tylko o tym, iż tego ranka nie zobaczy już Pierre'a, i że profesor chce ją zabrać na zwiedzanie Paryża. Zastanawiała się, jak by zareagował, gdyby mu oświadczyła, że nie ma ochoty ani na zwiedzanie miasta, ani na pójście gdziekolwiek, że nie chce dyskutować o symbolizmie, muzyce czy czymkolwiek innym, ponieważ nie było przy niej Pierre'a.

— Muszę wziąć się w garść — powiedziała do siebie surowo, chociaż nie bardzo wiedziała, jak to zrobić.

Jadąc dorożką wzdłuż nabrzeża Sekwany Zaza nie widziała słońca odbijającego się w nurtach rzeki ani nie czuła muśnięć lekkiego wiatorku, poruszającego liśćmi drzew rosnących na bulwarach. Wszędzie widziała jedynie twarz Pierre'a i słyszała jego głos.

Jestem beznadziejnie, obłędnie zakochana, pomyślała. Po chwili poraziło ją pytanie: „I co masz zamiar z tym zrobić?”. „Cóż mogę zrobić?”, zapytała samą siebie. Prędzej czy później będzie zmuszona powrócić do Melhausen. Nie mogła przecież pozostać w Paryżu na zawsze. Obawiała się poza tym, że ojciec może w końcu skojarzyć jej zniknięcie z wyjazdem profesora.

Nawet gdyby ukryła się w Paryżu pod przybranym nazwiskiem to i tak niewiele by to pomogło. Profesor był zbyt znaną osobistością i policja w Melhausen bez trudu ustaliłaby miejsce jego pobytu i rozszyfrowała, kto dotrzymuje mu towarzystwa.

Kiedy jeszcze żyła matka Zazy, często rozmawiano przy stole o talencie profesora. Zwracano uwagę na to, iż był nie tylko muzykiem ale również i poetą.

Zaza przypomniała sobie, jak kiedyś jej ojciec z irytacją zawołał:

— Symbolizm! A cóż to słowo właściwie znaczy! To tylko nazwa nadana grupie długowłosych romantyków, którym się wydaje, że wystarczy powiązać słowa w pęczek, aby udawały dzwonki.

Wielka księżna roześmiała się.

— Musimy iść z postępem, Fryderyku — powiedziała. — Symbolizm staje się bardzo modny, nawet w kręgu naszych przyjaciół.

— Muzykę jestem jeszcze w stanie tolerować — odrzekł wtedy wielki książę — ale poezji nigdy w życiu. Jeśli zechcesz zaprezentować ją w pałacu, z góry ostrzegam, że będę nalegał, abyś to zrobiła gdzie indziej.

Jej matka bardzo się wtedy z niego śmiała, ale Zaza nie miała wątpliwości, że ojciec nigdy nie zapomniał, iż profesor był nie tylko nauczycielem muzyki, ale również symbolistą.

Jeśli zechcą go odnaleźć, przybędą do Paryża. Jak wtedy profesor ukryje, że towarzyszy mu bratanica do złudzenia przypominająca księżniczkę Marie-Celestę?

Muszę wrócić do Melhausen, zanim profesor wpadnie z mojego powodu w tarapaty, pomyślała Zaza. Odnosiła wrażenie, że chociaż kiedyś narzekał na życie w Melhausen, uważając je za gnuśne i pozbawione mocniejszych wrażeń, teraz stracił jakoś ochotę do zamieszkania w Paryżu z przyjaciółmi, którzy przez tyle lat go do tego namawiali.

Widziała, że był głęboko rozczarowany, pomimo iż nigdy jej tego wprost nie powiedział. Gdyby sprawy szły po jego myśli, Zaza wiedziała, iż chętnie opowiadałby jej teraz, o czym dyskutował z przyjaciółmi, ale on wcale o tym nie wspominał, co było według niej bardzo wymowne. Rozmawiał z nią wyłącznie o Paryżu, jego historii i zabytkach.

Obejrzeliby z zewnątrz katedrę Notre-Dame. Następnie weszli do środka i kiedy usiedli w jednej z ostatnich ławek, profesor pokazał jej niektóre z najstarszych rzeźb, po czym zwrócił uwagę na niezwykłą atmosferę panującą w, jak to określił, jednej z najbardziej ezoterycznych budowli we Francji.

Dalsza trasa ich przejażdżki wiodła do Łuku Triumfalnego poprzez słynne Pola Elizejskie, gdzie pod rozłożystymi kasztanowcami bawiły się gromady dzieci, a uliczni sprzedawcy nawoływali do kupna bajecznie kolorowych balonów.

Zaza poczuła się jeszcze bardziej samotna. Tęskniła za Pierre'em, chciała aby był blisko niej, aby patrzył jej w oczy i mówił komplementy, które przyspieszały bicie jej serca.

— Znam pewną maleńką cafey gdzie można coś zjeść.

Zaza wydała cichy okrzyk. Miała nadzieję, że Pierre zje z nimi lunch.

— To doskonały pomysł, profesorze — zauważyła. — Ale czy nie moglibyśmy przedtem wrócić do hotelu? Wydaje mi się, iż nie nadłożymy zbyt wiele drogi.

— Oczywiście — zgodził się profesor.

Zaza poleciła fiakrowi, aby podjechał do „Hotel des Champs”, a kiedy dorożka zatrzymała się przed wejściem, zaproponowała:

— Proszę poczekać w powozie, profesorze. Ja nie zabawię zbyt długo. Zajrzę tylko na chwilę do mojego pokoju.

— Nie musisz się spieszyć — rzekł profesor. — We Francji można zjeść o każdej porze dnia i nocy.

Mówił z wyraźną satysfakcją i Zaza przypomniła sobie, jak punktualnie siadano do stołu w pałacu i jak jej ojciec złościł się o każdą minutę spóźnienia.

Wyskoczyła z dorożki i wbiegła do hotelu. Recepcjonista siedział w hallu i czytał gazetę.

— Czy monsieur Beauvais już wrócił? — z lękiem zapytała Zaza.

— Nie, mademoiselle. Nie mogłem go nie zauważyć.

Czuła, jak uchodzi z niej życie.

— Proszę, niech pan sprawdzi — poprosiła. Recepcjonista zawołał odźwiernego, ale ten nie miał wątpliwości, iż monsieur Beauvais opuścił hotel wczesnym rankiem i dotychczas nie wrócił.

Zaza poszła na górę, czując się nieszczęśliwa i bliska łez. Czym zawiniła, że Pierre wyszedł, nie zostawiając dla niej żadnej wiadomości? Czyżby nie wiedział, jaką zrobi jej tym przykrość?

Kiedy weszła do pokoju i zerknęła w lustro, ujrzała rozpacz w swoich niebieskoszarych oczach i drzenie warg, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. Jeszcze wczoraj była taka szczęśliwa. Teraz czuła się tak, jakby nagle zgasło słońce i dokoła zapanowały ciemności. Nie było przy niej Pierre'a i to ją tak przygnębiło. Nic innego jej teraz nie pozostawało, jak zejść na dół, gdzie w powozie czekał profesor.

Zupełnie nie pamiętała, co oglądali ani też co robili wieczorem, kiedy wyszli z maleńkiej restauracji.

Właściciel lokalu wylewnie przywitał profesora i zaprowadziwszy do stolika, osobiście ich obsłużył. Jedzenie było wyborne, a butelka wina, którą profesor otrzymał w dowód przyjaźni, równie znakomita.

Zaza bardzo lubiła profesora i robiła wszystko, aby nie zorientował się, jak złym jest nastroju. Zdawała sobie sprawę, co ten przyjazd do Paryża dla niego znaczył, i nie chciała sprawić mu przykrości brakiem entuzjazmu czy zainteresowania dla jego opowieści. Zmuszała się, aby wyglądać tak, jakby chłonoła każde jego słowo. I chociaż jej oczy bez przerwy utkwione były w jego twarzy, cała jej istota wyrywała się do Pierre'a, a z każdą upływającą godziną wzrastał jej niepokój, iż być może na zawsze go utraciła i doprowadzał ją do rozpacz.

— Dlaczego byłam tak beznadziejnie głupia? — wciąż zadawała sobie pytanie.

Kiedy profesor szedł powoli po schodach, trzymając się poręczy i odpoczywając po każdym trzech kolejnych stopniach, Zaza nagle odwróciła się i zbiegła na dół do maleńkiego hallu.

— Czy jest pan zupełnie pewien — zwróciła się drżącym głosem do recepcjonisty — że monsieur Beauvais nie opuścił już hotelu na dobre? A może wychodząc zabrał ze sobą bagaż?

— Nie, mademoiselle — zawołał recepcjonista. — Bagaż monsieur Beauvais jest wciąż w jego pokoju, a rachunek za pobyt nie uregulowany. — Uśmiechnął się porozumiewawczo i powiedział ojcowskiem tonem: — Proszę się nie martwić, mademoiselle, z pewnością monsieur wróci na kolację i zdaży na spotkanie w cafe z pani stryjem i jego przyjaciółmi.

— Proszę mu powiedzieć, kiedy go pan zobaczy, że chciałabym z nim porozmawiać.

— Oczywiście, mademoiselle. Wszystko będzie w porządku.

Idąc na górę Zaza wyrzucała sobie, że nisko upadła, skoro odkrywa swoje uczucia przed służbą hotelową. Ale nie dbała o to, co recepcjonista sobie pomyśli. Musiała się upewnić, czy Pierre tu jeszcze powróci i czy go znowu zobaczy.

Jednak do kolacji w dalszym ciągu nie było żadnej wiadomości od Pierre'a i kiedy Zaza zeszła wraz z profesorem do cafe, przy stole zastali tę samą co zwykle grupę przyjaciół wraz z Murentem i Boiseau, których tak bardzo nie lubiła. Z ulgą natomiast zauważyła, że tym razem nie było wśród nich Emila Pouget.

Pomimo to rozmowa prawie natychmiast zeszła na temat tego, co nazywano tu działaniem celowym. Między nimi a profesorem wspieranym przez jego

przyjaciół o bardziej umiarkowanych poglądach wybuchł spór, który szybko przyjął dosyć ostrą formę.

Zaza myślami była nieobecna. Jej oczy wciąż były zwrócone na wejście do hotelu i każdy, kto się pojawił w drzwiach powodował przyspieszone bicie jej serca, bo łudziła się, że to może być Pierre.

Wieczór zdawał się nie mieć końca, a ona nawet nie wiedziała, czy coś jadła, czy też talerze z zamawianymi przez nią potrawami zabierane były ze stołu nietknięte. Myślała jedynie o tym, że straciła Pierre'a, i miała wrażenie, jakby jakaś lodowata dłoń ścisnęła jej serce i w końcu nic już więcej nie czuła, tylko coraz bardziej nasilający się ból.

Pierre! Pierre! Dlaczego ciebie tu nie ma?

Tym razem profesor około północy sam oświadczył, że czuje się zmęczony, i że chciałby już udać się do swego pokoju. Zaza wciąż się łudziła, że Pierre jeszcze się zjawi i dlatego chciała pozostać w cafe. Wiedziała jednak, że bez profesora nie mogłaby sobie na to pozwolić. Z ociąganiem szła więc za nim, kiedy skrajnie wyczerpany, kulejąc, pokonywał schody. W końcu dotarli do jego pokoju i Zaza zapalwszy lampę gazową zapytała:

— Czy mam panu pomóc, profesorze, czy poradzi pan sobie sam?

— Oczywiście, że sobie poradzę, ma princesse — zapewnił ją — Jestem już zupełnie zdrowy, tylko trochę zmęczony. Jutro znowu będę na chodzie i razem wybierzemy się do Akademii. Zawsze tak bardzo chciałem ci ją pokazać.

— Ogromnie się z tego cieszę — powiedziała Zaza. — Dobranoc, profesorze. Spokojnych snów.

— Niech Bóg ma cię w swojej opiece — odpowiedział.

Zaza zostawiła go i udała się do swojego pokoju. Nie mogła uwierzyć, iż minął cały dzień, a od Pierre'a nie było żadnego znaku. Dlaczego odszedł? Dlaczego ją porzucił? Jak to możliwe, aby był taki okrutny? Doskonale przecież wiedział, jak bardzo będzie przeżywała jego zniknięcie.

Nagle przeraziła ją myśl, że Pierre miał wypadek, że stał się ofiarą zamachu bombowego. Po chwili jednak uspokoiła się, tłumacząc sobie, iż gdyby na mieście zdarzyła się eksplozja, Laurent i Boisseau mówiliby o tym wieczorem. Nie mogła sobie przypomnieć ani jednego słowa, które padło wtedy w czasie dyskusji, ale gdyby mówiono o zamachu, z pewnością nie uszłoby to jej uwagi.

Długo chodziła po pokoju, nie rozbierając się. Po pewnym czasie usiadła na łóżku, czując, że gdzieś z głębi jej duszy wyrywa się krzyk wzywający Pierre'a i że bez względu na to, gdzie jest, musi ją usłyszeć. Nie mogła uwierzyć, aby jego miłość skończyła się w ciągu jednej nocy, aby przestał uważać, że są dla siebie stworzeni, tak jak mówił jeszcze wczoraj.

To nie może być prawda, powtarzała w myślach bez końca. Kocham cię! Kocham! — wołała w duchu. — Usłysz mnie! Przyjdź do mnie! Tak bardzo cię pragnę!

Czuła, jakby z głębi jej udęczonego serca płynęły w kierunku Pierre'a jakieś niewidzialne fale, które miały mu zanieść jej rozpaczliwe wołanie: Pragnę cię! Pragnę cię!

Chociaż Zaza nie wymawiała tych słów na głos, zdawały się płynąć w powietrzu i rozbrzmiewać w małym pokoju, aby po pewnym czasie wrócić do niej gdzieś z daleka, dokąd, jak z rozpaczą myślała, sama nie była w stanie dotrzeć.

Dopiero po kilku godzinach rozebrała się i położyła do łóżka. Noc prawie już się skończyła, gwiazdy na niebie wyraźnie zbladły i na wschodzie pojawiły się pierwsze symptomy świtu. Była tak zmęczona i nieszczęśliwa, że gdy tylko dotknęła głową do poduszki, prawie natychmiast zapadła w sen.

Zaza budząc się powoli, miała wrażenie, jakby ktoś na jej udęczone serce lał kojący rany balsam. Poczowała dotyk ust Pierre'a na swoich wargach i pomyślała, iż jeśli to sen, to chciałaby, aby trwał wiecznie. Po chwili uświadomiła sobie, że to był naprawdę on. Pochylał się nad nią i delikatnie ją całował. Zamruczała cicho ze szczęścia i uniosła głowę.

— Obudź się, skarbie!

Otworzyła oczy i ujrzała go tuż obok siebie. Jego twarz wyraźnie rysowała się w świetle wpadających przez okno promieni słonecznych,

— Pierre! Wróciłeś! — zawołała uszczęśliwiona.

— Wróciłem — odezwał się. — Wstawaj, najdroższa. Musicie natychmiast opuścić Paryż: ty i profesor!

Ton jego głosu był tak niezwykły, że sen prysnął od razu.

— Co... powiedziałeś? — zapytała, patrząc na niego szeroko rozwartymi oczami.

— Musicie natychmiast opuścić Paryż!

— Ale... dlaczego? Co ty... mówisz? Co się... stało?

— Zamordowano prezydenta!

Zaza patrzyła na niego w zdumieniu, jakby nie rozumiała, co powiedział, po czym z wysiłkiem wykrztusiła:

— To... nie może być... prawda!

— To jest prawda — oświadczył Pierre. — Zamordowano go w Lyonie i władze aresztują wszystkich anarchistów i osoby, które miały z nimi jakikolwiek kontakt.

Zaza cichutko krzyknęła i gwałtownie usiadła na łóżku.

— Myślisz, że... profesor?

— Profesor i jego przyjaciele są zbyt znani, aby nie znaleźli się wśród podejrzanych. To jest właśnie powód, dla którego wszyscy natychmiast opuścili nie tylko Paryż, ale i Francję.

Siedziała patrząc na niego ogromnymi ze zdumienia oczami i Pierre obserwując ją z zachwytem rzekł zmienionym głosem:

— Wyglądasz rankiem prześlicznie. Tak sobie ciebie wyobrażałem, choć nie sądziłem, że masz takie długie włosy.

Dopiero teraz Zaza zdała sobie sprawę, iż ma na sobie jedynie cienką, prawie przezroczystą koszulkę, i odruchowo skrzyżowała przed sobą ręce, jakby chciała uczynić z nich naturalną zasłonę dla piersi.

Pierre widząc, jak bardzo jest zmieszana, uśmiechnął się.

— Chciałbym tu pozostać i mówić ci bez końca, jaka jesteś piękna, i jak bardzo cię kocham — rzekł. — Ale w tej chwili ważniejsze jest, abyście opuścili Francję. Pospiesz się, mój skarbie! Pójdę i obudzę tymczasem profesora.

Odwrócił się do drzwi i wtedy Zaza cicho krzyknęła.

— Jeśli mamy wracać do Melhausen — powiedziała — kiedy cię zobaczę?

— Sam się już nad tym zastanawiałem — odrzekł Pierre. — Myślę, że znajdziemy jakieś wyjście. Na pewno będzie to łatwiejsze niż odwiedziny w więzieniu. A więc pośpiesz się!

Wyszedł zamykając za sobą drzwi. Zaza wciąż za nim patrzyła, nie mogąc przestać myśleć, iż już niedługo przyjdzie im się rozstać. Po chwili dopiero dotarło do niej, że w grę wchodziło nie tylko bezpieczeństwo profesora, ale również i jej własne.

Co będzie, jeśli zamknąwszy ją w więzieniu odkryją, kim jest naprawdę? Już mogła sobie wyobrazić ten skandal. Widziała, jak lotem błyskawicy dociera nie tylko do Melhausen, ale również do wszystkich dworów europejskich, z większością których spokrewnieni byli jej rodzice. Wiadomość, że księżniczka wybrała się do Paryża jedynie w towarzystwie mężczyzny, będzie skandalem o takiej sile rażenia, jak wybuch podłożonej przez anarchistę bomby. Zaza wiedziała, iż do końca życia zostanie skazana na towarzyski ostracyzm i nic już nie zdoła tego zmienić.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy uciekła z pałacu, zdała sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji swojej neodpowiedzialnej decyzji.

Śmiertelnie przerażona ubrała się błyskawicznie i spakowała swoje rzeczy. Prawie nie patrząc w lustro uczesała się i włożyła słomkowy kapelusz.

Pierre, jakby przewidując, ile czasu będzie na to wszystko potrzebowała, zapukał do jej drzwi, właśnie wtedy, gdy wkładała szcztokę i grzebień do torby.

— Profesor jest gotowy — oznajmił. — Zszedł już na dół i reguluje rachunek.

Podszedł do Zazy, wziął od niej torbę podróżną i zaciągnął rzemienne pasy. Następnie uniósł głowę i popatrzył na nią. Ich oczy spotkały się, jakby przyciągane siłą istniejącego między nimi uczucia.

— Och, Pierre! Pierre! — zawołała. — jak to możliwe, abym miała ciebie opuścić? Ale jeśli my uciekamy, czy ty... nie powinienesz zrobić to samo? Przecież oni mogą ciebie... zaaresztować!

— Nie zrobią tego — odrzekł.

Było coś w jego głosie, co spowodowało, że nieco się od niego odsunęła, chociaż jej ręce wciąż oplatały jego szyję.

— Jak możesz być tego taki pewien? — zapytała, ale знаła już odpowiedź. — Masz... powiązania z... policją? — Z trudem wymawiała słowa, jakby mimo wszystko nie chciała w to uwierzyć. Była pewna, że to prawda, ale tak bardzo chciała, aby Pierre zaprzeczył. Jednak on tego nie zrobił.

— Coś w tym rodzaju — przyznał. — I właśnie dlatego wiem, co może wam grozić.

— Szpiegowałeś... symbolistów! Och, Pierre, jak mogłeś!

— Nie symbolistów — odrzekł — lecz ludzi w rodzaju Emila Pouget. Prawdziwi symboliści tacy jak twój stryj nikogo by nie skrzywdzili.

— Ale dlaczego to robiłeś?

— To długa historia — odparł. — Musisz mi zaufać.

— Zaufałam ci — zauważyła Zaza. — Ale teraz... uważam, że jesteś... wrogiem.

Pierre uśmiechnął się.

— Wiesz, że to nieprawda, przynajmniej jeśli chodzi o nas dwoje. Kimkolwiek bym nie był i kimkolwiek ty byś była, wciąż należymy do siebie. Bardzo cię kocham, najdroższa. Kocham tak, jak nikogo nie kochałem i jak nikogo już nigdy nie pokocham!

Objął ją i przyciągnął do siebie, a kiedy jego usta dotknęły jej warg, pomyślała, iż nic już się więcej nie liczy. Mógł być policjantem, sędzią czy nawet katem, nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Ważne było tylko to, że go kochała. Kiedy ją całował, zapominała o wszystkim. Czuła, jak jej ciało pulsuje od siły doznań, które w niej budził, i pragnęła, aby to trwało wiecznie.

W pewnej chwili Pierre bez słowa wypuścił ją z ramion, chwycił bagaż i wzięwszy ją za rękę, pociągnął w stronę drzwi. Kiedy schodzili na dół, Zaza

czuła, jak jej serce bije niespokojnie i wiedziała, iż gdyby Pierre ją poprosił, aby z nim została, uczyniłaby to bez wahania, bez względu na cenę, jaką musiałaby zapłacić.

W hallu nigdzie nie było widać profesora. Okazało się, że portier sprowadził już dla nich powóz, i profesor stał przed hotelem, czekając na Zazę. Podeszli do niego i Pierre wstawił do środka bagaż.

— Pociąg do Melhausen odchodzi o piątej trzydzieści — dodał.

— Doskonale! I bardzo dziękujemy! — rzucił profesor, pospiesznie wsiadając do powozu.

— Ty z nami... nie jedziesz? — zapytała Zaza. Pierre pokręcił przecząco głową.

— Proszę...

— Nie mogę — rzekł.

— Kiedy cię znowu zobaczę? — wyrzuciła z siebie.

— Przyjadę do Melhausen, przyrzekam — odparł — ale nie mogę dokładnie powiedzieć kiedy.

Widział w jej oczach udrękę, tak jak ona w jego. Był to ból nie do zniesienia. Nic nie mówili do siebie, jakby obydwójce wiedzieli, że słowa nie są już im potrzebne. W pewnej chwili Pierre ujął jej rękę i złożył na niej pocałunek, po czym zanim się zorientowała, co się dzieje, pomógł jej wsiąść i konie natychmiast ruszyły.

Zaza wychyliła się, przekonana, iż Pierre wciąż jeszcze stoi na ulicy obserwując ich odjazd, ale dostrzegła jedynie jego znikającą za drzwiami hotelu sylwetkę. Chciała go zawołać, chciała pobiec za nim i poprosić, aby raz jeszcze ją pocałował. Po chwili zrozumiała, że to koniec. Nigdy go już więcej nie zobaczy. Nawet jeśli przyjedzie do Dornę, ich spotkanie nie będzie już możliwe.

Gdzieś z daleka, jakby z innego świata, dobiegł do niej głos profesora:

— Nigdy bym me przypuszczał, że coś takiego może się wydarzyć! — powtarzał. — Zabójstwo prezydenta to istne szaleństwo! — Milczał chwilę, po czym dodał: — Monsieur Sadi Carnot był przyzwoitym człowiekiem. Zabijając go, niczego nie osiągnęli. Jedynym rezultatem tego szaleńczego czynu będzie, jak wspomniał Beauvais, aresztowanie wszystkich osób powiązanych z anarchistami. — Profesor złapał się za głowę. — Pomyśleć, że naraziłem cię na takie niebezpieczeństwo! Właśnie cię! Ciebie, która tak bezgranicznie mi zaufałaś!

W jego głosie było tyle bólu, że Zaza zaczęła go pocieszać.

— Wszystko w porządku, profesorze. Pierre nas uratował. Kiedy wrócimy do Melhausen, nikt się nawet nie dowie, gdzie byliśmy.

— Musimy być bardzo ostrożni — dodał profesor. — Wciąż jednak nie mogę sobie darować, że z mojego powodu coś ci grozi. Nigdy nie powinnaś mieć nic wspólnego z takim kanalami! Wybacz, ale inaczej nie potrafię nazwać tych ludzi.

— To nie pana wina — powtórzyła Zaza. — Przyjechał pan do Paryża, aby dyskutować o poezji i o wolności jednostki. Jak mogliśmy przewidzieć, że zostaniemy uwikłani w kontakty z ludźmi, dla których życie ludzkie nic nie znaczy?

— To potworne! — mówił do siebie profesor. Był tak wstrząśnięty, że Zaza wszelkimi sposobami starała się go uspokoić.

— Gdy tylko przekroczymy granicę Melhausen — odezwała się — nikomu już nie przyjdzie do głowy kojarzyć nas z wypadkami w Lyonie. Poza tym, chociaż Pierre o tym nie wspomniał, wiadomość o zabójstwie prezydenta z pewnością nie ukaże się wcześniej niż w godzinach popołudniowych.

— A więc skąd o tym wiedział Beauvais? — zdziwił się profesor.

Zaza nie chciała mówić mu, że Pierre ma coś wspólnego z policją. Jej samej zresztą wydawało się to nieprawdopodobne. Chociaż, kiedy głębiej się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, iż od samego początku był tajemniczą postacią.

Przypomniała sobie, że tuż po wypadku ujrzała Pierre'a jak idąc w towarzystwie urzędników kolejowych dopytywał, czy wśród pasażerów są jacyś poszkodowani. Utrzymywał, iż jest symbolistą, ale jednocześnie w niczym nie przypominał przyjaciół profesora podających się za symbolistów. Niektórzy z nich z pewnością byli poetami i wiersze, które recytowali w kawiarni, zawierały ten sam niepowtarzalny klimat, tak charakterystyczny dla poematów Mallarmego czy Verlaine'a. Ale to, co mówili, pozostawało w absolutnej sprzeczności z ideałami, którym powinni być wierni, oraz z mistycyzmem, który stanowił istotę ich artystycznego credo.

Zaza pamiętała, jak profesor mówił jej przed laty, że symbolizm przywiązujący tak wielką wagę do tajemniczego, niewidzialnego świata ducha, znalazł gorących zwolenników nie tylko wśród poetów, ale również wśród artystów i muzyków.

Czy to możliwe, aby ten ruch sprzymierzał się z przemocą, okrucieństwem i terrorem, których rzecznikami byli anarchiści?

Mogła zrozumieć, jak ogromny szok i rozczarowanie przeżył profesor. Pomyślała, iż z pewnością lepiej by dla niego było, gdyby pozostał ze swymi

ideałami w Melhausen! Czują, że najbardziej ciążyła mu świadomość, iż nieopatrznie wplątał ją w to wszystko, i kiedy pociąg ruszył, zwróciła się do niego:

— Bez względu na to, co się stało, chcę panu podziękować za ten wspólny wyjazd do Paryża. To była dla mnie najcudowniejsza i najbardziej ekscytująca przygoda w życiu.

— Czy rzeczywiście tak uważasz, maprincessel — zapytał.

— Powiedziałam to, co naprawdę czuję — odrzekła Zaza. — Nigdy nie zapomnę, jakie to miało dla mnie znaczenie. To wspomnienie pozostanie w moim sercu na zawsze.

Jej głos lekko zadrżał i profesor spojrział na nią z niepokojem, po raz pierwszy zapominając o swoich własnych problemach.

— Nie chcesz chyba powiedzieć — odezwał się niepewnie — że ten młody Beauvais znaczy coś... szczególnego dla ciebie?

Byli sami w przedziale i Zaza mogła mu szczerze odpowiedzieć.

— Kocham Pierre'a — przyznała. — Kocham go całą duszą. Opuszczając pałac sądziłam, iż nigdy nie zaznam miłości, i że w moim życiu nie będzie to miało żadnego znaczenia.

— Ależ Wasza Wysokość! — zawołał z konsternacją profesor. — To nigdy nie powinno się wydarzyć!

— Ale się wydarzyło, profesorze, i ani pan, ani ja, ani nikt inny na świecie nic już nie może na to poradzić!

— To jednak niemożliwe. Ty, księżniczko, i pan Beauvais, o którym chyba tylko można powiedzieć, że jest poetą.

Zaza, nie komentując jego stów, po prostu stwierdziła:

— To, kim on dla mnie jest, zachowam w pamięci i w sercu aż do śmierci.

Zaza nie była już w stanie powstrzymać napływających do oczu łez i profesor nie znajdując właściwych słów, które mogłyby oddać to, co czuje, ujął w ręce jej drobną dłoń.

— Moje dziecko — rzekł, zapominając o etykiecie. — Winię siebie za to, co się stało. To w żadnym wypadku nie powinno się wydarzyć. Trzeba być takim starym durniem jak ja, aby zdecydować się na krok tak karygodny. Oczywiście mam na myśli zabranie ciebie do Paryża.

— Już panu powiedziałam, profesorze, że to była najcudowniejsza rzecz, jaka mogła mi się kiedykolwiek przydarzyć.

— Ależ właśnie to nie powinno się przydarzyć! — zaprotestował profesor. — Jesteś księżniczko członkiem rodziny panującej, w dodatku osobą inteligentną i rozumną. Moja wina, iż myśląc jedynie o twoim szlachtetnym

charakterze, zapomniałem, że posiadasz równie piękne ciało. — Wykonał nieokreślony ruch ręką, tak bardzo typowy dla Francuzów. — Powiniennem przewidzieć, że każdy mężczyzna może zakochać się w tobie. A jednak nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego się zdarzy.

— Zdarzyło się... po prostu się zdarzyło — powiedziała Zaza. — To było takie cudowne... takie nadzwyczajne. Nigdy o tym nie zapomnę — powtarzała rozmarzonym głosem.

Oparła się wygodnie na siedzeniu, nie przestając myśleć o swoim ukochanym.

Kiedy przyjechali na dworzec, profesor kupił bilety pierwszej klasy i wszystko wskazywało na to, że będą przez cały czas podróżowali sami. Ten pociąg najwyraźniej nie cieszył się powodzeniem wśród bogatych i znamienitych pasażerów. Jechał bardzo wolno i zatrzymywał się na każdej stacji, aby zabrać chłopów wiozących swoje produkty na targ lub komiwojażerów z pełnymi próbek różnych towarów walizami, które układali na półkach wagonów drugiej i trzeciej klasy.

Po jakimś czasie Zaza zorientowała się, że profesor zasnął, najwidoczniej wyczerpany ostatnimi wydarzeniami związanymi z zabójstwem Sadi Carnota.

Zaza pomimo iż ostatniej nocy spała tak niewiele, nie czuła zmęczenia. Z rozpaczą myślała, że pociąg coraz bardziej oddala się od wszystkiego, co miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Była jednak na tyle rozsądna, aby zdawać sobie sprawę, iż rozpacz niczego tu nie zmieni.

Musiała wracać do pałacu, aby dalej wieść życie, z jakiego tylko na tak krótko udało się jej wyrwać, musiała ułagodzić jakoś gniew ojca na jej samowolę i przygotować się do małżeństwa z człowiekiem, którego nigdy nie widziała i którego bez względu na to, kim był, nigdy nie będzie darzyć uczuciem, ponieważ kochać mogła tylko Pierxe'a.

Jej miłość do Pierre'a była czymś wyjątkowym, co zdarza się tylko raz w życiu. Zastanawiała się, czy on odczuwa to samo. Być może mężczyźni są inni — zbyt mało na ten temat wiedziała.

Pierre obiecał, że przyjedzie do Melhausen i bez trudu odnajdzie profesora, który, oczywiście powie mu prawdę. Bała się, że wtedy Pierre wyjedzie nawet nie próbując zobaczyć się z nią. Zostanie w jego sercu wspomnieniem, ale z czasem zapomni o niej, zajęty robieniem kariery i tysiącem innych rzeczy. Podczas gdy ona aż do końca życia pozostanie więźniem złotej klatki.

Pociąg pokonywał tymczasem kolejne kilometry na terytorium Francji. Pasażerowie wsiadali i wysiadali, ale w ich wagonie ona i profesor wciąż byli jedynymi podróżnymi.

Profesor obudził się, chwilę mówił coś wzburzonym głosem na temat tego, co się wydarzyło, po czym ponownie zasnął. Zaza niewiązącymi oczami spoglądała na przesuwany się za oknami krajobraz, ale widziała tylko Pierre'a, słyszała jego głos i czuła dotyk jego ust.

— Kocham go! — powtarzała bez końca w rytm toczących się kół.

Tymczasem dojechali do granicy i Zaza obudziła profesora, prosząc, aby przygotował paszporty. Zastanawiała się, czyjej ojciec polecił już szukać profesora, ale uznała to za mało prawdopodobne. Minęło za mało czasu, aby mógł zacząć się niepokoić. Prawdopodobnie złościł się jedynie, że opuściła pałac bez jego zgody. Przypuszczała, iż dopiero po tygodniu zaczęłyby się naprawdę martwić i próbowali ustalić, u kogo się zatrzymała.

Myślała już o tym, jaką historyjkę opowie, kiedy wróci do domu, chociaż nie miała wątpliwości, że ojciec w ogóle nie zechce jej słuchać i że wybuchnie gniewem, zanim ona zdąży otworzyć usta.

Tym razem to nie młody, przystojny oficer sprawdzał paszporty, lecz starszy mężczyzna najwyraźniej znużony całą procedurą. Bez słowa wziął od nich dokumenty i przejrzawszy je dosyć pobieżnie, przeszedł do następnego wagonu.

— A więc jesteśmy w domu! — rzekł z ulgą profesor. — Jakże inaczej wyobrażałem sobie nasz powrót! Wciąż jeszcze nie mogę dojść do siebie po tym, co wydarzyło się w moim ukochanym Paryżu.

— A ja niczego nie żałuję — oświadczyła Zaza.

Popatrzył na nią tak, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale westchnął tylko i Zaza chcąc przerwać kłopotliwe milczenie, dodała:

— Znowu nie zabraliśmy ze sobą nic do jedzenia, a muszę przyznać, że zaczynam już odczuwać głód. Marzę również o filiżance kawy, która jak sądzę, od razu poprawiłaby mi nastrój.

— Wybacz mi, maprincesse — rzekł profesor. — Nie opiekowałem się tobą tak, jak powinienem. A prawdę mówiąc od chwili wyjazdu z Dornę, niewiele dla ciebie zrobiłem.

— Nonsens! — zawołała Zaza. — Zdobędziemy coś do jedzenia i picia na następnej stacji. Jeśli dobrze pamiętam, pociąg stoi tam dosyć długo.

— Rzeczywiście — odparł profesor. — Postaram się kupić ci taką samą bułkę z szynką która poprzednio tak ci smakowała.

Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo i Zaza powiedziała:

— Mamy przed sobą co najmniej trzy kwadransy jazdy, a więc niech się pan prześpi, profesorze. Wiem, że jest pan bardzo zmęczony.

— Masz rację — przyznał. — Jestem już na to wszystko za stary. — Mówiąc to, ułożył się wygodnie na siedzeniu i skrzyżowawszy ręce na piersiach, zamknął oczy.

Zaza nie miała ochoty na rozmowę. Wolą patrzeć przez okno i myśleć o jedynym człowieku, którego kochała. Pierre... Pierre... Pierre... zdawały się wtórować jej koła pociągu.

Około godziny później pociąg wjeżdżał na stację i Zaza spojrzawszy na profesora przekonała się, że ten wciąż mocno śpi. Nie będę go budzić, pomyślała. Sama przyniosę coś do jedzenia.

Kiedy się pakowała w hotelu, schowała pieniądze do torebki i teraz biorąc ją do ręki przypomniała sobie, że nigdy nie miała czasu, aby porozmawiać ze swoim opiekunem, ile jest mu winna za całą podróż. Koniecznie muszę to załatwić, zanim dotrzemy do Dornę, postanowiła.

Wysiadła z pociągu i szybkim krokiem ruszyła do dworcowego bufetu. Na szczęście w środku było zaledwie kilka osób i Zaza od razu otrzymała dwie filiżanki kawy i dwie bułki z szynką. Wybrała najmniejszą z posiadanych złotych monet, aby uregulować rachunek, ale i tak musiała czekać na wydanie reszty.

— Czy nie ma pani drobniejszych pieniędzy, mademoiselle? — zapytał z pretensją w głosie stojący za ladą mężczyzna, jakby podejrzewał, że chce go oszukać.

— Niestety — zaczęła się tłumaczyć Zaza.

W końcu barman rzucił jej resztę pieniędzy z taką miną, jakby uważał, że popełniła jakieś przestępstwo.

Kiedy wróciła do przedziału, profesor wciąż spał. Pomyślała, iż jeśli miał wypić kawę, powinna go obudzić. Zdecydowała jednak, że sen w tej chwili jest ważniejszy, a kawę można kupić na następnej stacji. Szybko więc wypila zawartość obydwu filiżanek, odłożyła na bok jedną bułkę z szynką i odniosła tacę i filiżanki z powrotem do bufetu. Odebrawszy kaucję, wróciła do pociągu, z satysfakcją zauważając, iż nareszcie sama potrafiła o siebie zadbać.

Przez cały czas ktoś się mną opiekuje, pomyślała. Najpierw profesor, a później Pierre. Właściwie od chwili ucieczki z pałacu nie robiłam nic.

Pociąg tymczasem ruszył i Zaza skończywszy jeść swoją bułkę łakomie spojrzała na tę, którą odłożyła dla profesora. Tyle czasu minęło od jej ostatniego posiłku. Poza tym wczoraj martwiąc się o Pierre'a, musiała jeść bardzo mało. Właściwie to niewiele z tamtego wieczoru pamiętała. Szybko jednak przywołała się do porządku, powtarzając sobie, iż nie wypada być takim łapczywym.

Już wiem, co zrobię, pomyślała. Obudzę profesora przed następną stacją aby mógł pójść do bufetu i wypić coś gorącego. Po mniej więcej dwudziestu minutach wyciągnęła rękę i dotknęła śpiącego profesora.

— Profesorze! — zawołała.

Nie było żadnej reakcji. Pociągnęła go za rękę.

— Profesorze, niech się pan obudzi.

Nagle poczuła lęk i usiadłszy obok niego, w panice zaczęła szukać w jego kieszeni małej buteleczki z kroplami. Ale kiedy je w końcu znalazła, wiedziała, że nie były już potrzebne.

Profesor nie żył!

Rozdział siódmy

Zaza szła korytarzem w towarzystwie hrabiny Glucksburg, słuchając po raz kolejny w ciągu ostatnich czterech dni wygłaszanej przez nią uwagi:

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego Wasza Królewska Wysokość, spędza tyle czasu przy fortepianie, skoro nie ma już nauczyciela od muzyki.

Tak jak się spodziewała, ojciec, nie wysłuchawszy nawet tego, co miała do powiedzenia, zrobił jej straszną awanturę za to, że ośmieliła się opuścić pałac bez jego zgody.

Zaza sprawiała wrażenie przygnębionej i zrezygnowanej. Wciąż nie mogła dojść do siebie po nieoczekiwanej śmierci profesora. Zdawała sobie sprawę, że jego ciało szybko zostało odkryte przez kogoś z obsługi pociągu, albo przez innych pasażerów i podjęła wszelkie środki ostrożności, aby uniknąć skandalu, do którego niewątpliwie by doszło, gdyby dłużej pozostała w przedziale.

W chwili gdy przekonała się, że profesor nie żyje i że nic już nie może dla niego zrobić, zrozumiała, iż teraz musi zacząć działać.

Kiedy później o tym myślała, trudno jej było uwierzyć, że potrafiła być wtedy taka opanowana i rozważna, chociaż niewiele brakowało, aby wybuchła płaczem. Straciła przecież jedyne przyjaciela, jakiego miała w pałacu, jedyną osobę, która podzielała jej zainteresowania i rozumiała tęsknotę za wolnością.

Profesor cieszył się ogromnym szacunkiem w Dornę i nie można było dopuścić, aby przez jakąś plotkę czy skandal jego reputacja została narażona na szwank. Już samo podejrzenie, że wyjechał do Paryża w towarzystwie młodej kobiety, bardzo by mu zaszkodziło, nawet jeśli nigdy by nie odkryto, kim ta kobieta była.

Zaza ułożyła plan działania, po czym usiadła obok profesora i delikatnie dotknawszy jego rękę, łamiącym się ze wzruszenia głosem powiedziała:

— Dziękuję ci, profesorze, za serce, które zawsze mi okazywałeś... Za to, że mi pomagałeś i prowadziłeś przez te wszystkie lata, które spędziliśmy razem. Nigdy cię... nie zapomnę... i zawsze będę wdzięczna, że mnie zabrałeś do Paryża.

Czuła, iż gdziekolwiek teraz jest, z pewnością rozumie, co usiłowała mu powiedzieć i że nie będzie już sobie robił z jej powodu wyrzutów.

Kiedy dwadzieścia minut później pociąg wjeżdżał na małą stacyjkę, Zaza była bardzo blada, ale zupełnie już opanowana. Wyjrząwszy przez okno, przekonała się, iż nie licząc dwóch tragarzy zajętych przy wagonie w drugim końcu pociągu, peron był zupełnie pusty. Zabrała więc bagaż, po czym szybko

opuściła swój przedział i przez nikogo nie zauważona przeniosła się do następnego, również pierwszej klasy, i kompletnie pustego.

Gdy tylko pociąg zatrzymał się na stacji w Dornę, wyskoczyła na peron i zmieszawszy się z innymi pasażerami, ruszyła do wyjścia. Przed dworcem wynajęła dorożkę i poleciła zawieźć się do pałacu.

— Proszę podjechać do bocznych drzwi — dodała i pomyślała, że dorożkarz wziął ją prawdopodobnie za nową guwernantkę księżniczek.

Konie zatrzymały się przed wejściem, z którego Zaza i Rachela korzystały, kiedy udawały się na przejażdżkę z hrabiną Glucksburg, albo czasem na krótki pieszy spacer.

— Wasza wysokość! — ze zdumieniem zawołał jeden z lokai, kiedy tylko weszła do hallu.

Zaza poleciła wyjąć jej bagaż z powozu, a sama udała się korytarzem w stronę bocznych schodów, aby jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju. Miała nadzieję, że zdąży zobaczyć siostrę, zanim się natknie na hrabinę Glucksburg. Natychmiast więc pospieszyła do sypialni Racheli.

— Zazo, wróciłaś! — zawołała radośnie Rachela, widząc wchodzącą siostrę. — Nie spodziewałam się ciebie tak szybko!

— Musiałam wrócić — odrzekła Zaza. — Za chwilę dowiesz się, dlaczego. Ale najpierw, zanim zdołają nam przeszkodzić, opowiedz mi, co tu się w tym czasie wydarzyło.

Rachela roześmiała się.

— Nigdy nie słyszałaś takiej awantury! Papa dosłownie się wściekł, kiedy hrabina poinformowała go o twojej ucieczce z pałacu. Myślę, że później bardzo tego żałowała, ponieważ papa straszliwie ją skrzyczał. Wciąż powtarzał, iż powinna ciebie lepiej pilnować.

— Czy otrzymał mój list? — zapytała Zaza.

— Tak, ale dopiero wtedy, gdy hrabina powiadomiła go, że nie może ciebie znaleźć, a jedna z pokojówek doniosła, iż zabrałaś z szafy swoje rzeczy.

— I co było potem?

— Papa wpadł w furję. Przyszedł do mnie i pytał, czy wiem, co się z tobą stało. Powiedziałam, że nie mam zielonego pojęcia, i wtedy papa wychodząc z mojego pokoju z gniewem mi rzekł, że pożałujesz tej samowoli.

Zaza wzruszyła ramionami.

— Dlaczego nie zostałaś dłużej? — zapytała Rachela. — Czy Paryż ci się nie spodobał?

— Jest cudowny! — z zachwytem zawołała Zaza. — To najpiękniejsze miasto na świecie!

— Dziś rano otrzymałam od ciebie list — powiedziała Rachela. — Nic w nim jednak nie napisałaś, co tam robisz.

— Skoro, jak mówisz, otrzymałaś go dopiero dziś rano, nie miałaś pewnie czasu, aby zastosować się do moich wskazówek. Ale teraz wszystko sama ci wyjaśnię. Poza tym przywiozłam coś, co pomoże ci na twoje bóle kręgosłupa.

— Naprawdę? — ucieszyła się Rachela. — Już czuję się o wiele lepiej, ponieważ jesteś przy mnie. Tęskniłam za tobą Zazo. Nawet nie wiesz, jak bardzo!

Zaza objęła siostrę i serdecznie ją ucałowała. Następnie zaczęła jej szczegółowo opowiadać o tym, co się wydarzyło od chwili, gdy opuściła pałac. Rachela słuchała jak urzeczona i kiedy Zaza skończyła swą opowieść, z niepokojem zapytała:

— Jeśli profesor nie żyje, to w jaki sposób Pierre cię odnajdzie?

— Gdyby profesor żył, i tak nie byłoby to możliwe — odrzekła Zaza.

Rachela spojrzała na nią prawie z oburzeniem.

— Zazo! Jak możesz być takim tchórzem i mieć aż tak mało wiary w siebie? Musisz się z nim zobaczyć! Możesz się z nim spotkać nocą w ogrodzie albo wybrać się na zakupy do miasta i zgubić po drodze hrabinę. To nie powinno być trudne.

— Powiedzmy, że się nawet z nim zobaczę, jakie to będzie miało znaczenie?

— zauważyła Zaza. — Wiesz równie dobrze jak ja, iż jeśli Pierre jest powiązany z policją, szybko się zorientuje, jaka przepaść nas dzieli.

— Myślałam, że go kochasz?

— Kocham go! — odparła Zaza. — Kocham całą duszą! Kocham go tak, że nie jestem w stanie myśleć o czymkolwiek innym! Ale wiem, że nigdy mnie nie poślubi, nawet gdybym go o to poprosiła.

— Skąd możesz to wiedzieć? — zapytała Rachela.

— Ponieważ musiałby stracić swoją pracę, a jeśli spróbowałby wziąć ze mną ślub w Melhausen, papa mógłby go wtedy wtrącić do więzienia i nawet we Francji nie miałby spokoju.

— Są przecież inne kraje.

— W jaki sposób moglibyśmy żyć bez pieniędzy ścigani jak złodzieje? A gdyby nas ujęto, wiesz, że papa mógłby mnie tu sprowadzić, po czym na przykład zamknąć w jakimś klasztorze. — Głos Zazy był bardzo smutny i gorzki. Po chwili wstała z łóżka i podeszła do okna. — To nie ma sensu, Rachelo. Wszystko dokładnie przemyślałam. Krótko żyłam w świecie marzeń i wspomnienia muszą mi wystarczyć do końca życia. Rachela wyciągnęła przed siebie rękę.

— Och, Zazo. Nie znoszę historii, które nie kończą się happy endem! Chcę, abyś wyszła za mąż za Pierre'a. Chcę, aby wasza miłość nie miała sobie równych na świecie.

— To nie ma sensu — ponuro powtórzyła Zaza. — Znowu wróciłam do mojej „złotej klatki” i nie mam złudzeń, Rachelo, że z tej klatki nigdy się już nie wydostanę.

Wciąż sobie to powtarzała, każdego dnia i każdej bezsennej nocy. Płakała, leżąc w ciemności i tęskniąc za Pierre'em. W końcu zaczęła się przekonywać, że jej siostra ma rację i że powinna zrobić wszystko, aby go odzyskać.

Snęła marzenia, że wyjeżdża do Paryża, aby go odszukać, po czym razem uciekają do Anglii, Hiszpanii, czy dokądkolwiek, gdzie będą mogli czuć się bezpiecznie. Wszystko to jednak istniało wyłącznie w jej wyobraźni i z rzeczywistością niewiele miało wspólnego.

Nawet gdyby Pierre ją poślubił wiedząc, kim jest, zostaliby pozbawieni środków do życia. Najważniejszą jednak przeszkodą było to, iż jako niepełnoletnia potrzebowała zgody rodziców na zawarcie związku małżeńskiego.

— Gdybym chociaż mogła z nim być trochę dłużej — często sobie powtarzała. — Gdybym miała więcej wspomnień... więcej cudownych przeżyć do przechowania w moim sercu.

Zdarzały się chwile, kiedy żałowała, że mu nie uległa, gdy znaleźli się sam na sam w jej pokoju. Zaraz po tym powtarzała sobie, iż mogłoby to popsuć jej wizerunek w jego pamięci. Tak mało przecież wiedziała o uczuciach mężczyzn. Jedno tylko nie ulegało dla niej wątpliwości: jej usta tęskniły do jego pocałunków, a w piersiach wciąż czuła ból tym silniejszy, im częściej o nim myślała.

Tymczasem dotarły do pokoju muzycznego i hrabina, przerywając tok myśli Zazy, odezwała się:

— Jeśli wasza wysokość rzeczywiście ma zamiar ćwiczyć przez najbliższe pół godziny, ja zajmę się swoimi sprawami. Czy dasz mi, księżniczko, słowo honoru, że nie opuścisz tego pokoju przed moim powrotem?

— Przyrzekam, hrabino — potulnie odpowiedziała Zaza.

— Dałaś mi słowo, księżniczko! Postaram się więc ci zaufać — chłodno oświadczyła hrabina. — Wrócę za pół godziny. — Wyszła z pokoju zamykając za sobą drzwi tak dokładnie, jakby za chwilę miała zamiar przekreślić w zamku klucz.

Zaza podniosła wieko fortepianu i pomyślała o profesorze. Bardzo za nim tęskniła. Tęskniła do spotkań przy muzyce, kiedy korzystając z drzemki

hrabiny dyskutowali o symbolizmie i wolności przekonań. Pomyślała ponuro, że teraz nie ma już nikogo, kto by ją rozumiał. Starła się nie słyszeć wewnętrznego głosu zdającego się mówić: „Pierre żyje! Pierre ciebie rozumie! Pierre może dać ci to wszystko, co dawał ci profesor, a nawet znacznie więcej!”.

Zaczęła grać, ale muzyka już jej nie porywała tak jak dawniej. Teraz żywsze uczucia budziły się w niej jedynie wtedy, gdy jej myśli krążyły wokół Pierre'a. Jej palce zdawały się bez życia i Zaza czuła, że gra bez wyrazu, i że fascynacja i oczarowanie, które dawniej wzbudzała w niej muzyka, gdzieś bezpowrotnie zniknęły.

Kiedy hrabina wróciła do pokoju, Zaza bez słowa wstała i zamknęła wieko fortepianu.

— Przypominam ci, księżniczko, że ani jutro, ani przez kolejne pięć dni nie będziesz miała okazji do gry — z wyraźnym zadowoleniem oświadczyła hrabina.

— Dlaczego? — zapytała Zaza.

— Czyżbyś zapomniała, że księżę Aristide przybywa z oficjalną wizytą?

Zaza starała się o tym nie myśleć. Oczywiście, wiedziała, że księżę ma przyjechać, ale była tak zajęta swoimi problemami, a dni mijały tak szybko, iż zupełnie zapomniała zarówno o księciu jak i powodzie, dla którego przybywał do Melhausen.

Teraz, kiedy weszła do pokoju siostry i hrabina zostawiła księżniczki same, Zaza zwracając się do Racheli, powiedziała:

— Czy wiedziałaś, że księżę Aristide przyjeżdża już jutro?

— Wiedziałam — odrzekła siostra. — Ale nie chciałam ci o tym przypominać. Pomyślałam, że będziesz z tego powodu jeszcze bardziej nieszczęśliwa.

— Nie sądzę, aby to było możliwe — odrzekła Zaza. — Och, Rachelo, jak myślisz, może Pierre jest już gdzieś w Dornę i dowiedziawszy się, że profesor nie żyje, usiłuje mnie odnaleźć?

— Dlaczego więc nie pojedziesz do domu profesora? Może spotkasz tam kogoś z jego krewnych i zapytasz, czy ktoś się o ciebie dowiadywał — zaproponowała praktyczna jak zwykle Racheli.

— Chyba nie wierzysz, że hrabina wyrazi na to zgodę! — z powątpiewaniem zauważyła Zaza. — Papa nie pozwolił mi nawet uczestniczyć w pogrzebie profesora. Nie sądzę więc, aby teraz pozwolił pójść do jego domu.

Wielki księżę zdecydowanie sprzeciwił się prośbie córki.

— Pogrzeb to nie jest odpowiednie miejsce dla kobiet — oświadczył. — A poza tym to był tylko twój nauczyciel.

— Był kimś o wiele ważniejszym — zaprotestowała Zaza, ale ojciec nie chciał jej słuchać.

— Możesz wysłać wieniec i depeszę z wyrazami współczucia — rzucił ostrym głosem, tak jak miał zwyczaj to robić od czasu powrotu córki do domu.

W końcu przyjął do wiadomości jej wyjaśnienia, że wyjechała do krewnych jednej ze swoich guwernantek, ponieważ chciała zastanowić się nad małżeństwem z księciem Aristidem.

— Nie rozumiem, nad czym się tu zastanawiać? — zdziwił się ojciec. — To wielkie szczęście mieć konkurenta, który pochodzi z takiego pięknego kraju. Szkoda, że Melhausen nie leży bardziej na południe. Zimy bywają tu czasami tak dokuczliwe.

— Miałam na myśli nie tyle kraj, ile człowieka, który nim rządzi — zauważyła Zaza.

Wielki ksiązę już jej nie słuchał, chociaż niczego to i tak już by nie zmieniło.

Zaza nie czuła ani lęku, ani zdenerwowania przed spotkaniem z księciem Aristidem. Od czasu powrotu do domu żyła we własnym świecie, zupełnie obojętna na to, co się wokół niej działo. W tej sytuacji czy mogło to mieć dla niej znaczenie, jaki ten człowiek był lub co ją czeka w przyszłości? Przypuszczała, że jej życie pozornie nie ulegnie zmianie, tylko radości już w nim nigdy nie zazna.

— Głowa do góry, Zazo! — pocieszała ją Rachel. — Ślub z pewnością będzie wspaniały, a pałac księcia jeszcze bardziej imponujący niż nasz. Poza tym uwolnisz się wreszcie od papy i jego awantur! — Po chwili milczenia dodała: — Czy wiesz, że czuję się już na tyle dobrze, aby wziąć udział w ceremonii twoich zaślubin? Może nawet zostanę twoją druhną.

Zaza ożywiła się.

— Czy to możliwe? — zapytała. — Czy rzeczywiście czujesz się lepiej?

— Dziś rano, kiedy się obudziłam, miałam ochotę wstać. Wyszłam więc z łóżka i przespacerowałam się po pokoju. Przyszło mi nawet do głowy, aby się ubrać i zejść do ogrodu, ale wyobraziłam sobie, jaka byłaby awantura.

— Jesteś pewna, że czujesz się lepiej? — ponownie zapytała Zaza.

— Najzupełniej.

— Wyglądasz też nieco lepiej — zauważyła Zaza. — I twoja cera jest zdrowsza.

— Myślę, że to zasługa tego lekarstwa, które przywiozłaś z Paryża — wykrzyknęła uradowana Rachel.

— Dieta również zrobiła swoje — dodała po chwili Zaza.

Szef kuchni nie krył zdumienia, kiedy usłyszał, co ma gotować dla Racheli, ale Zaza wytłumaczyła mu, jakie to ma znaczenie dla jej zdrowia. Następnie przekonała go, iż tylko on potrafi przyrządzić wątrobę na różne sposoby, aby chora mogła ją jeść z apetytem codziennie.

Teraz patrząc na Rachełę, Zaza uwierzyła, iż w stanie zdrowia jej siostry rzeczywiście nastąpiła poprawa. Skóra Racheli była mniej przezroczysta, a ruchy rąk bardziej energiczne.

— A co z twoim kręgosłupem? — zapytała.

— Już nie dokucza mi tak bardzo jak przedtem — odrzekła Rachela. — Och, Zazo, jeśli naprawdę wyzdrowieję, do końca życia będę dziękować Bogu, że zdecydowałaś się na ucieczkę do Paryża.

— Wszystko będzie dobrze — gorąco zapewniła ją Zaza. — Kiedy zużyjesz przywiezioną przeze mnie mączkę, natychmiast zwrócę się z prośbą do przyjaciela doktora Sachet, aby przysłał następną porcję.

— Będę więc mogła być twoją druhną?

— Obiecuję ci, że tak długo nie pójdę do ołtarza, aż stan twego zdrowia ci to umożliwi.

Zaza pomyślała, iż być może ten właśnie argument pozwoli jej opóźnić małżeństwo z księciem Aristidem, chociaż czyż to możliwe, aby mogła mieć większy wpływ na wybór terminu ślubu niż miała na wybór małżonka?

Ponieważ wiedziała, jakie to miało znaczenie dla Racheli, z uśmiechem dodała:

— Ogromnie się cieszę, że zostaniesz moją druhną. Postaraj się więc nie sprawić mi zawodu. Wybierzemy dla ciebie najpiękniejszą suknię i wszyscy będą patrzyli na druhnę, a nie na pannę młodą.

— Bardzo mi miło, kiedy tak mówisz, Zazo — uśmiechnęła się Rachela. — Ale to niemożliwe. Dobrze wiem, iż nigdy nie będę tak piękna jak ty.

Zaza pochyliła się, aby ją ucałować, i pomyślała, że jest tylko jeden mężczyzna na świecie, dla którego chciałaby być piękna, ale ponieważ nigdy go więcej nie zobaczy, uroda przestała mieć dla niej znaczenie.

Zgodziła się, aby to hrabina wybrała dla niej suknię, w której miała wystąpić podczas spotkania z pretendencem do jej ręki.

Wielki książę zdecydował powitać gościa na dworcu, ale kiedy zasugerowano, że powinna towarzyszyć mu córka, odrzekł, iż kobiety są zbędne przy tego typu uroczystościach i że książę spotka się z jego córką w pałacu, kiedy rozpocznie się część oficjalna wizyty.

Jak zwykle nikt z otoczenia wielkiego księcia nawet nie próbował wpłynąć na zmianę jego decyzji. Zaza wiedziała, dlaczego sugerowano, aby towarzyszyła ojcu. Dla nikogo nie było tajemnicą, iż im szybciej para narzeczonych pokaze się publicznie, tym większy entuzjazm wzbudzi wśród mieszkańców księstwa. Nic przecież nie ekscytuje tłumów bardziej niż ślub pary królewskiej. Oczywiście połączenie dwóch panujących w Europie rodzin było wydarzeniem ogromnej wagi, ale jeśli się pamiętało o ostatnich wypadkach we Francji, uspokojenie atmosfery w księstwie miało jeszcze większe znaczenie.

Zaza od chwili powrotu do domu zachłannie czytała wszystkie dostępne jej gazety. To, o czym mówił Pierre, krzyczało z nagłówków nawet tych gazet, które zazwyczaj zajmowały się wyłącznie wydarzeniami w Melhausen.

Sensacyjne zabójstwo francuskiego prezydenta Sadi Carnota wywołało szok w całej Francji. Policja paryska natychmiast postanowiła postawić wszystkich znanych anarchistów przed sądem i udowodnić, że to oni odpowiadają za mnożące się w kraju zamachy.

Zaza czytała, że przeszukano dziesiątki podejrzanych domów i aresztowano wiele osób, wśród których znalazł się również jeden z głównych oskarżonych: Emil Pouget. Okazało się, że w ciągu ostatnich dwóch lat w Paryżu miało miejsce jedenaście dużych zamachów bombowych, w wyniku których zginęło wielu niewinnych ludzi. W tej sytuacji trudno było się dziwić, iż Francuzi zdecydowali się na tak ostre środki represji przeciwko inicjatorom wojny z burżuazją.

Wielki książę miał oczywiście wiele na ten temat do powiedzenia:

— Im szybciej ci przekłeci bandyci zostaną zgilotynowani, tym lepiej! — rzekł. — Francuski rząd był dla nich zbyt dotąd łaskawy. Oświadczam, iż pierwszy wybuch bomby w Melhausen spowoduje zgilotynowanie wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy będą z tym mieli cokolwiek wspólnego — krzychał głośniejszym głosem niż zwykle i Zaza wiedziała, że jej ojciec po prostu się bał. Pomyślała, iż być może odpowiadając przemocą na przemoc, niczego i tak się nie osiągnie, ale nie uznała za celowe podzielić się tą uwagą z ojcem.

Zgadzała się z jego ministrami, że królewski ślub w Melhausen może wpłynąć na uspokojenie nastrojów w księstwie i odwrócić uwagę jego mieszkańców od bulwersujących wydarzeń we Francji. Całe Dornę będzie szczęśliwe i radosne i tylko jedna osoba uzna, iż nie ma ku temu powodów. Tą osobą będzie właśnie ona.

Niestety nic nie mogła na to poradzić. Musiała pogodzić się z tym, co zdawało się nieuniknione. Ubrana w wytworną suknię, w towarzystwie hrabiny

Glucksburg i w otoczeniu wielu dostojników, czekała na przybycie do pałacu orszaku królewskiego.

Wiedziała, że jest bardzo blada i że pod oczami ma głębokie cienie, ale nikt jak dotąd nie zwrócił na to uwagi. Przypuszczała, że dla większości otaczających ją kobiet była jedynie symbolem królestwa, a nie istotą z krwi i kości. Tak długo jak postępowała zgodnie z oczekiwaniami, traktowano ją niczym automat, który się włączał, kiedy się nacisnęło właściwy guzik.

Tej nocy Zaza długo płakała, wzywając Pierre'a. Każda cząstka jej ciała drżała z tęsknoty, wrywając się do niego.

— Pierre! Pierre! — łkała w ciemności. Czuła się tak, jakby zstępowała w otchłań, gdzie nie było ani światła, ani żadnej nadziei.

Wstała z bólem głowy, zupełnie obojętna na to, co się ma wydarzyć. Nie interesowało ją co powie czy zrobi książę Aristide. Gdyby po przyjeździe nie chciał się z nią spotkać, byłaby jedyną osobą, która nie czułaby się tym ani zaszokowana, ani nawet zdziwiona.

Być może anarchiści mieli rację, że monarchia była anachronizmem, który należał już do przeszłości, i że nie będzie już na świecie miejsca ani dla monarchów, ani dla burżuazji.

Brakowało jej profesora, z którym mogłaby o tym porozmawiać. Była kompletnie sama i musiała liczyć wyłącznie na siebie.

Zorientowała się, że hrabina coś do niej mówi, ale nic do niej nie docierało.

— Przepraszam... — szepnęła. — Co pani powiedziała?

— Powiedziałam — gwałtownie zareagowała hrabina Glucksburg — że Ich Królewskie Wysokości właśnie przybyły.

Zaza rozejrzała się dokoła i zauważyła, iż mężowie stanu i ich małżonki utworzyli szpaler po obu stronach czerwonego dywanu biegnącego od drzwi wejściowych w kierunku podium, do którego mieli podejść jej ojciec i książę Aristide.

Stała na podium wraz z hrabiną, aby ich powitać. Tu właśnie miała spotkać księcia po raz pierwszy. Cichy szmer rozległ się w końcu ogromnej sali, która ze swymi imponującymi kryształowymi żyrandolami należała do najbardziej reprezentacyjnych pomieszczeń w pałacu.

— A oto i oni! — z przejęciem szepnęła hrabina.

Nagle Zaza poczuła, iż powinna stąd uciec jak najszybciej. Nie chciała nawet poznać księcia, człowieka, którego miała poślubić i który prawdopodobnie tak samo tego pragnął jak ona.

Anarchiści mieli rację, pomyślała. Wszystkie monarchie powinny być zlikwidowane. Gdyby tak się stało, byłaby zwykłą kobietą, która może poślubić

tego, kogo kocha, i która nie ma żadnych innych obowiązków poza dbaniem o dom i chowaniem dzieci.

Gdybym w tej chwili miała w ręku bombę, pomyślała, rzuciłabym ją bez namysłu. Jednak dobrze wiedziała, że ani nie ucieknie, ani nie zachowa się jak rewolucjonistka. Wychowanie, jakie odebrała, zmuszało ją, aby postępowała tak, jak się tego po niej spodziewano. I nieważne było, co o tym sama sądziła. Na chwilę zamknęła oczy i pomyślała o swoim ukochanym, o jego objęciach i pocałunkach, które unosiły ją gdzieś wysoko aż do nieba.

Brzęk złotych ostróg ojca idącego w stronę podium wyrwał ją ze świata marzeń. Krokami księcia Aristida towarzyszył podobny dźwięk, który mieszał się z szelestem jedwabnych sukien, kiedy panie składały przed nim ceremonialny ukłon.

— Niech mi będzie wolno przedstawić moją córkę Marie-Celeste — usłyszała głos ojca.

Zaza złożyła przed księciem bardzo niski ukłon, nie podnosząc oczu. Nie miała ochoty patrzeć na żadnego mężczyznę poza tym jednym, którego kochała nad życie.

— To dla mnie ogromny zaszczyt powitać Waszą Królewską Wysokość — odezwał się głęboki głos.

Zaza poczuła przez giemzową skórę rękawiczki silny uścisk jego palców i kiedy podniosła się po pełnym gracji ukłonie, dosłownie zamarła z wrażenia.

To były oczy Pierre'a, jego twarz, jego dłoń, która dotykała jej palców. Jeśli ona nie mogła ukryć zdumienia, równie zdumiony był on!

Patrzyli na siebie i nie wierzyli własnym oczom.

Gdzieś, jakby z bardzo daleka, Zaza usłyszała głos ojca:

— Powitaj Jego Królewską Wysokość w Melhausen, Marie-Celeste.

Widziała, że był zaskoczony, iż jego córka nie potrafi się zachować zgodnie z etykietą.

Ale Zaza myślała tylko o tym, że Pierre tu był. Obydwoje wciąż milczeli jak zakłęci. Wiedzieli tylko jedno: znowu byli razem. Reszta zdawała się nie mieć dla nich żadnego znaczenia.

Zaza powoli i bardzo ostrożnie przekradała się bocznymi korytarzami pałacu. Panował tu prawie półmrok, ponieważ paliły się tylko niektóre światła, a i te były przyściemnione. Po chwili zeszła na dół, kierując się do bocznego wejścia, aby ominąć główny hall, gdzie czuwali nocni portierzy. Następnie wśliznęła się do jednego z salonów na parterze, podeszła do ogromnych oszklonych drzwi prowadzących do niewielkiego ogrodu położonego z tyłu bocznego skrzydła pałacu i ostrożnie je otworzyła.

Ogród otoczony był murem, który odgradzał go od obchodzących tereny przypałacowe wartowników. Zaza skierowała się do znajdującej się w środkowej części ogrodu fontanny i kiedy była już w jej pobliżu, z półmroku wyłoniła się jakaś postać.

— Pierre! — wyszeptała z trudem. — To... niemożliwe! Nie mogę... uwierzyć, że to... naprawdę ty!

— A co ja mam powiedzieć? — zapytał głębokim głosem. — Jak to możliwe, aby Marie-Celeste była moją ukochaną, prześliczną Zazą której tak rozpaczliwie szukałem od chwili, gdy tylko opuściła Paryż?

— Jak to się stało? — dopytywała Zaza.

— Opowiem ci o tym za chwilę — rzekł. — Ale najpierw muszę się upewnić, że to naprawdę ty, że Marie-Celeste to ta sama kochająca wolność dziewczyna, którą całowałem nad brzegiem Sekwany. — Mówiąc to otoczył ją ramionami i mocno przytulił do siebie. — Czy chcesz, abym się upewnił? — zapytał i zaczął ją całować.

Zaza poczuła się znowu tak jak wtedy, gdy ją całował w Paryżu. Tym razem jednak jej doznania były jeszcze pełniejsze i bardziej szalone, ponieważ jeszcze tak niedawno obawiała się, że na zawsze go straciła i że nigdy już nie zazna szczęścia, jakie tylko on jej dać mógł.

Całował ją tak długo, aż wszystko wokół nich zniknęło. Pozostali tylko oni i ich miłość. Czują, jak unosi ją gdzieś wysoko aż do migocących na niebie gwiazd.

W jakiś czas potem poprowadził ją do uroczej ławeczki ukrytej wśród egzotycznych kwiatów, w których tonął niemal cały ogród. Wciąż trzymał Zazę w ramionach.

— Myślałem, że już nigdy... cię nie zobaczę — wyszeptała. Głos jej drżał, jakby nadal się obawiała, że go utraci.

— Ja też myślałem, że już nigdy cię nie odnajdę — powtórzył za nią książę. — Wysłałem w ubiegłym tygodniu jednego z moich najbardziej zaufanych ludzi, aby przeszukali Dornę. Niestety okazało się, że jedyna krewna profesora nosząca jego nazwisko, liczy sobie ponad trzydzieści lat i jest dosyć pospolitą, nie grzeszącą inteligencją osobą.

Zaza cichutko roześmiała się.

— Korzystałam z paszportu Gabrielle Dumont.

— Nie przyszło mi to do głowy. W końcu zacząłem podejrzewać, że jesteś jedynie wytworem mojej wyobraźni.

— Ja również tak myślałam — przyznała. — Och, Pierre, tak bardzo się bałam, że już nigdy cię nie zobaczę. Jak to się mogło wydarzyć?

— Sam sobie zadaję to pytanie — rzekł Pierre.

— A gdybyś... mnie odnalazł... co miałeś zamiar... zrobić?

— O tym miałem właśnie z tobą porozmawiać. — Mówił bardzo poważnie, a kiedy Zaza spojrzała na niego z zaciekawieniem, dodał: — Miałem zamiar zapytać cię, najdroższa, czy zgodzisz się na zawarcie ze mną małżeństwa morganatycznego.

— A co z... Marie-Celeste?

— Przyznałbym się, że moje serce należy do kogoś innego. Z pewnością zirytowałyby to twój ojciec oraz doradców zarówno w Valoire jak i w Melhausen.

— I... pomyślałeś, że się zgodzę?

— Bardzo, bardzo się bałem, że odmówisz.

— Och, kochany... czy uważasz, że mogłabym... odmówić ci... czegokolwiek? To przecież... nieprawdopodobne.

— Już mi raz odmówiłaś — spokojnie zauważył Pierre.

Ukryła twarz w jego ramionach.

— Nawet nie wiesz..! jak często... gorzko... żałowałam, że byłam... taka głupia...

— Postąpiłaś słusznie — odparł. — Wiem, że czułaś, tak samo zresztą jak i ja, że zniszczylibyśmy to, co w naszej miłości jest takie cudowne i doskonałe. Miałaś rację odsuwając mnie wtedy od siebie.

Podniosła ku niemu twarz. Jej oczy były ogromne i lśniły tajemniczo w blasku księżyca, a usta zdawały się zapraszać do pocałunku i Pierre patrząc na nią z uśmiechem rzekł:

— Teraz wszystko jest wreszcie w porządku, mój skarbie. Tak właśnie, jak być powinno.

— Mimo to... boję się — szepnęła Zaza.

— Boisz się? — ze zdumieniem zawołał Pierre.

— To wszystko jest zbyt idealne... zbyt cudowne. Boję się, że w jednej chwili możemy... zginąć od... bomby jakiegoś anarchisty, ponieważ... bajki tak naprawdę się nigdy nie zdarzają.

— Ta bajka już się zdarzyła — pewnym głosem rzekł Pierre. — Po tym, co stało się we Francji, czuję, iż jedyną eksplozją, która może się nam przytrafić maleńki skarbie, jest wyłącznie eksplozja miłości.

— To... już się... stało.

— Właśnie! — przyznał Pierre. — Będę cię chronił, opiekował się tobą i bardzo, bardzo kochał aż do końca naszych dni.

Zaza przytuliła się do niego.

— Jak szybko możemy... się pobrać?— zapytała. — Myślałam, żeby odłożyć ten ślub, ale teraz... już chciałabym być twoją żoną.

— Nie miałem zamiaru poślubić księżniczki Marie-Celeste z Melhausen — przyznał Pierre. — Ale teraz o niczym więcej nie marzę jak tylko o tym, abyśmy jak najszybciej zostali małżeństwem.

— Być może powinniśmy zwrócić uwagę na fakt, iż im szybciej odbędzie się nasz ślub, tym większa gwarancja, że w Melhausen nie dojdzie do żadnej akcji anarchistów — zauważyła Zaza. — To jest argument, z którym papa z pewnością się zgodzi.

Ale już po chwili, nie czekając na Pierre'a odpowiedź, dodała:

— Jeszcze mi nie powiedziałeś, co robiłeś w Paryżu, czy raczej, na czym polegały twoje powiązania z policją.

— Tyle jest jeszcze rzeczy, których o sobie nie wiemy — odrzekł Pierre. — W tej chwili jednak najważniejsze, że trzymam cię w ramionach i że nie będę już musiał walczyć z moim premierem i ministrami. Kiedy oznajmiłem, iż mam zamiar zawrzeć morganatyczne małżeństwo, premier bardzo się oburzył i wyglądało na to, że cały rząd pada się do dymisji!

— Wciąż nie odpowiadasz na moje pytanie — zauważyła Zaza.

— To proste. Ponieważ jestem symbolistą, zaoferowałem pomoc Francuzom, którzy zupełnie nie radzili sobie z anarchistami

— Co symbolizm ma z tym wspólnego?

— Wiedziałem, że anarchiści wykorzystują symbolistów jako przykrywkę dla swojej prawdziwej działalności. A ponieważ byłem znany na południu jako poeta, prezydent, którego śmierć tak bardzo mnie dotknęła, poprosił mnie, abym się zorientował, które kluby stanowią realne zagrożenia dla państwa. — Milczał chwilę, po czym dodał: — Był sprawiedliwym człowiekiem i nie chciał, aby prześladowano tych, którzy nie zrobili nic złego, a jedynie domagali się dla obywateli wolności słowa i przekonań.

— To było z twojej strony bardzo ryzykowne. Jestem pewna, iż gdyby ludzie tacy jak Pouget, Laurent czy Boisseau... zorientowali się, kim jesteś, za wszelką cenę postaraliby się ciebie pozbyć.

— Podjąłem to ryzyko, ponieważ chciałem chociaż raz zrobić coś zupełnie innego.

— A więc ty również chciałeś być wolny!

— Wolność, to coś, w co zawsze wierzyłem — rzekł Pierre. — Ale pozwól, że dodam mój skarb, iż to nie jest ten rodzaj wolności, który uważam za odpowiedni dla pięknych młodych kobiet.

— Jeśli masz zamiar zamknąć mnie w złotej klatce — zaprotestowała Zaza, — nie wyjdę... za ciebie.

Jego ramiona jeszcze mocniej zacisnęły się wokół niej.

— Czy rzeczywiście uważasz, że mógłbym ci na to pozwolić? — zapytał. — Uwierz mi, iż teraz, kiedy cię wreszcie odnalazłem, nigdy już nie pozwolę ci uciec!

Obejmował ją tak mocno, że Zaza czuła bicie jego serca i chciała powiedzieć, iż niczego więcej nie pragnie, jak być jego więźniem przez całe życie. Ale ponieważ uważała, że nie powinna być aż tak uległa, cichutko zaprotestowała:

— Muszę mieć... wolność... do myślenia.

— Na to być może wyrażę zgodę — wspaniałomyślnie oświadczył Pierre. — Ale już nigdy nie wyjedziesz do Paryża ani sama, ani w towarzystwie zgrzybiałego starca, który nie potrafi się tobą właściwie zająć i nigdy już nad brzegiem Sekwany nie będziesz całowała dopiero co poznanego młodzieńca.

— To nie fair! — zaprotestowała Zaza. — Dobrze wiesz, że nikogo przedtem nie całowałam. A poza tym, jak mogłam ci na to nie pozwolić, skoro już... do ciebie należałam?

— Wciąż tak to czujesz? — zapytał, patrząc na nią wymownie.

— Wiesz, że tak — odpowiedziała. — Należę przecież do ciebie, jestem częścią ciebie. Kiedy myślałam, iż nigdy więcej cię nie zobaczę, wydawało mi się, że umieram.

Słyszając jej przepętniony bólem głos domyślił się, ile wycierpiała, i z czułością musnął ustami jej policzek, po czym ponownie zapytał:

— Naprawdę mnie kochasz?

— Kochałam cię... już przed... tysiącem lat.

— Myślałem, że miłość, taka jak nasza, nie istnieje już na tym świecie.

— Teraz, kiedy się znowu... odnaleźliśmy... jak moglibyśmy kiedykolwiek się rozstać?

Książę Aristide nie odpowiedział, ponieważ zaczął całować kąciaki jej ust, po czym delikatną smukłą szyję.

— Czy nie jesteś... zaszokowany — szeptem zapytała Zaza — że pozwoliłam ci na... pocałunki?

— Nie jestem zaszokowany, moja jedyna, i zgadzam się z tobą, że stało się tak dlatego, iż już od dawna należymy do siebie — odrzekł Pierre. — Ale ostrzegam cię, będę bardzo zazdrosnym mężem. Jeśli kiedykolwiek spojrzysz na kogoś tak jak na monsieur Beauvais, przysięgam, że sprawię ci lanie i

zamknę w jednej z wież w jego zamku, gdzie nikt poza mną nie będzie miał do ciebie dostępu.

Zaza roześmiała się.

— Chyba nie sądzisz, że byłabym do tego zdolna? Och, Pierre, chcę być z tobą... chcę być... blisko ciebie, tak jak teraz... lub nawet jeszcze... bliżej.

Ramiona Pierre'a zacisnęły się wokół niej aż do bólu.

— Jeśli nie przestaniesz mówić takich rzeczy — powiedział — porwę cię jeszcze tej nocy i nie bacząc na skandal, wywiozę do Valoir, gdzie natychmiast się pobierzemy. Obywatele Melhausen zostaną w tej sytuacji pozbawieni udziału w uroczystościach, które mają być dla nich czymś w rodzaju rzymskiego cyrku.

— Papa byłby wściekły! — wykrzyknęła Zaza. Jego słowa i pocałunki sprawiły jednak, że drżała w jego ramionach.

— Kocham cię, kocham cię tak nieprzytomnie — powtarzał Pierre — że nie jestem już w stanie myśleć ani pamiętać, co powiedziałem czy też czego nie powiedziałem, ani na co się zgodziłem. Wiem tylko, że odnalazłem cię, kiedy robiłem wszystko, aby odwołać mój, ślub z dziewczyną o imieniu Marie-Celeste: Zaza śmiała się uszczęśliwiona.

— Jak teraz wytłumaczysz im, że jednak chcesz się z nią ożenić... i to jak najszybciej?

— To proste — odrzekł Pierre. — Każdy mężczyzna, który spojrzy na ciebie, najdroższa, bez trudu mnie zrozumie. Ale pamiętaj: nigdy przedtem cię nie spotkałem.

— Ani ja ciebie — dodała Zaza. — Jak to możliwe, że księżę Aristide i mój Pierre, to jedna i ta sama osoba? Wciąż trudno mi w to uwierzyć.

— Udowodnię ci to po ślubie — odparł z uśmiechem Pierre. — A mnie, moja śliczna, trudno uwierzyć, że skończyły się wszystkie kłopoty, rozterki i nieprzespane noce.

— Ostatniej nocy wzywałam cię... mówiłam ci, jak... bardzo jestem nieszczęśliwa... dlaczego mnie nie słyszałeś?

— Może dlatego, że sam również byłem nieszczęśliwy — odrzekł Pierre. — Wraz z kilkoma przyjaciółmi czekałem tuż przy granicy z Melhausen na człowieka, który miał cię odszukać. Człowiek ten wkrótce przybył, aby mnie poinformować, że jego wysiłki nie dały żadnych rezultatów. I wtedy właśnie wpadłem w panikę. Nagle uświadomiłem sobie, iż jeśli cię straciłem, życie przestaje mieć dla mnie jakikolwiek sens.

— Kochany, kochany, odnalazłeś mnie! — wołała Zaza. — Znowu jesteśmy razem. Mogę cię kochać i troszczyć się o ciebie, a ty będziesz troszczyć się o mnie, i nigdy już nie będę się niczego obawiała.

— Nawet anarchistów? — zapytał Pierre.

— To nie ich bomby mnie przerażają — odrzekła Zaza — a przynajmniej.., nie tak bardzo. To świadomość, że jestem poddawana surowej dyscyplinie, że ogranicza się moje prawa, a więc faktycznie więzi, tak jak to miało miejsce od śmierci mojej matki, była dla mnie nie do zniesienia. Dlatego chciałam być wolna. Chciałam mieć prawo do własnych myśli, do oddychania. .. pełną pierś, do przebywania z ludźmi, którzy rozumieją poezję.

— A teraz wychodzisz za mąż za poetę-symbolistę — zauważył Pierre. — Będę pisał tomy wierszy w hołdzie dla twojej urody, aż w końcu cię znudzą, tak jak być może już cię znudziły.

— Czy sądzisz, że to możliwe? — zapytała Zaza.

— Nie — odpowiedział. — Uważam, iż mamy sobie tak wiele do powiedzenia, i tyle miłości do ofiarowania, iż nawet gdybyśmy żyli tysiąc lat, nie wystarczyłoby nam czasu, aby wszystko zrealizować.

— O, mój najdroższy, twoje słowa brzmią jak najpiękniejsza muzyka — zawołała Zaza. — Czy może być coś bardziej fascynującego niż małżeństwo z tobą?

Mówiąc to zarzuciła mu ręce na szyję i mocno się do niego przytuliła.

Pierre znowu ją zaczął całować, aż szalejąca w nim namiętność i ją objęła niczym płomień.

— Kocham cię... kocham! — powtarzała bez końca.

— Ubóstwiam cię, najdroższa! — szepnął Pierre. — A teraz, skarbie, ponieważ chcę się tobą opiekować i nie pozwolę więcej na żadne ekstrawagancje, tak jak ten wyjazd do Paryża w poszukiwaniu wolności, mam zamiar natychmiast posłać cię do łóżka.

— Och, nie, proszę! Nie chcę się jeszcze z tobą rozstawać!

— Już niedługo nigdy się nie rozstaniemy, najdroższa. Będziemy zawsze razem, w dzień i w nocy, a wtedy, mój skarbie, nauczę cię, co znaczy być wolnym w miłości.

— Bardzo bym tego chciała — cichutko szepnęła Zaza.

— Jednak teraz, ponieważ w żadnym wypadku nie mogę dopuścić do skandalu, proszę, abyś poszła do swego pokoju. Wiem, że to będzie trudne nie móc się spotykać w ciągu tych wszystkich nocy, kiedy będę oficjalnym gościem twego ojca, ale nic nie możemy na to poradzić.

— Mówisz do mnie tak jak hrabina Glucksburg i papa— zaprotestowała Zaza. — Wyjechałam z profesorem do Paryża, aby uciec od nieustanego strofowania i od obowiązku robienia tylko tego, co „właściwe” z uwagi na moją „pozycję”.

Pierre gwałtownie wypuścił ją z objęć.

— Jesteś wolna! — powiedział. — Zupełnie wolna, jeśli tego właśnie pragniesz! Możesz nie wyrazić zgody na małżeństwo ze mną a ja to zaakceptuję, uważając, że widocznie nie pasujemy do siebie. Ale jeśli mnie kochasz, to zrozumiesz, że wolność nie oznacza jedynie buntu przeciwko wszystkiemu i wszystkim. Wolność istnieje w miłości, ponieważ w miłości zawsze daje się chętnie i szczerze.

Zaza po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że Pierre ma rację i że przez całe życie na takie słowa czekała.

Nagle rzuciła się ku niemu i, objąwszy go za szyję, mocno do niego przywarła.

— Pragnę tylko twojej miłości— zawołała — i tak długo jak będziesz mnie kochał, zrobię... wszystko, czego ode mnie zażadasz. Będę tobie posłuszna, tylko proszę... nigdy nie przestań mnie kochać... ponieważ tego nie potrafiłabym... znieść.

— Zawsze będę cię kochał — łagodnie powiedział Pierre.

— A ponieważ ja też ciebie kocham — dodała Zaza — zrobię wszystko... co tylko zechcesz.

Uśmiech, jaki pojawił się na jego twarzy, powiedział jej, że takiej właśnie deklaracji od niej oczekiwał. I teraz dopiero Zaza zrozumiała, na czym polega szczęście.

— Kocham cię... kocham cię! — wyszeptała. — Och, Pierre... naucz mnie być rozważną i mądrą... naucz mnie być taką jaką chcesz, aby była twoja żona.

— Nauczę cię po prostu miłości — powiedział. — Wszystko inne samo przyjdzie.

— Jesteś pewien?

— Absolutnie! — odrzekł. — Będę cię kochał, najdroższa, dopóki gwiazdy świecą na niebie, dopóki nie wyschną oceany, aż do końca świata! — Zabrzmiało to tak, jakby wymawiał słowa przysięgi.

Po czym znowu wziął ją w ramiona i kiedy zaczął ją całować z niezwykłą pasją i pożądaniem, poczuła się tak szczęśliwa jak nigdy przedtem. Wiedziała, że odnalazła wolność, której od tak dawna szukała, wolność, dzięki której mogła się przenieść do mistycznego świata symbolistów, wolność, która istnieje w płomiennej prawdziwej miłości, tej miłości, która pochodzi od Boga.

Jestem wolna, pomyślała, kiedy zaciskające się wokół niej ramiona Pierre'a zdawały się ją tej wolności pozbawiać.— Chcę kochać... kochać... kochać, aż w całym wszechświecie nie będzie już istniało nic poza miłością.

Zaza poczuła się znowu jak wtedy, gdy ją całował w Paryżu. Tym razem jednak jej doznania były jeszcze pełniejsze i bardziej szalone, ponieważ jeszcze tak niedawno obawiała się, że na zawsze go straciła i że nigdy już nie zazna szczęścia, jakie tylko on jej dać mógł.

Całował ją tak długo, aż wszystko wokół nich zniknęło. Pozostali tylko oni i ich miłość. Czowała, jak unosi ją gdzieś wysoko aż do migocących na niebie gwiazd.